- Rozmowa z Krzysztofem Krawczykiem — str. 1 i 10
- Nasz człowiek w Lizbonie — str. 6
- Ślady zapomnianych przodków — str. 13
- „ZBIR" czyli strzelający komputer — str. 15

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 44 (1492) ROK XXIX 1 LISTOPADA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

Foto: Grzegorz Gałasiński

Premia szturchana

ROMAN KUBIAK

Iskrą były pieniądze.

Wybraniec podchodził do wybrańca i klepał go w ramię. Ten klepnięty szedł do kasy i brał forsę. Jeden brał osiemdziesiąt tysięcy, a drugi dziesięć. Temu, który brał dziesięć, kazali podzielić na trzech. Ci, którzy wzięli osiemdziesiąt, ukryli listę płac. Dlatego od iskry wybuchł pożar.

Najpierw robotnik chciał poznać prawdę, potem dojść sprawiedliwości. Za to dostał po łapach. Więc za robotnikiem stanęło dwustu innych. Za ludźmi stanęła partia, za partią związkowcy. Osaczony dyrektor mówi, że przez najcięższe czasy jakoś przeszli bez strajków, a teraz...

Teraz jest bardzo źle. Bo nie może być dobrze, kiedy dwustu ludzi jednocześnie zaciska pięści, a czterdziestu chce rzucić robotę. Między garstką wybrańców a wielką resztą wzburzonych rośnie barykada. Ta barykada to

DOLA ZA „DOLA"

Było tak: zimą robili „dola" — doczepną odśnieżarkę lotniskową. Fabryka nazywa się „MADRO" i produkuje ciężkie maszyny drogowe. „Dol" nie był urządzeniem zbyt skomplikowanym, pracowali już przy rzeczach znacznie trudniejszych, choćby przy maszynach z hydraulicznym napędem. Tych odśnieżarek zmontowali kilkanaście, tylko krótką serię. Wszystkie zaraz poszły do odbiorców, a robota poszła w zapomnienie. Aż któregoś wiosennego dnia poczta przyniosła przekazy pieniężne. Nie każdemu, tylko grupce wybranych. Ci wybrani dostali pieniążki na domowe adresy i siedzieli cicho. Ale w zakładzie, gdzie pracuje zaledwie trzysta osób nie uchowa się żadna tajemnica. Ktoś wybadał, że forsa była spora. Grubo ponad dwa miliony złotych. Podobno podzielili ją między siebie dyrektorzy, kierownicy i majstrowie.

Ludzie nie lubią, kiedy duża forsa rozchodzi się po cichu. Chcą wiedzieć co i jak. Więc zapytali partyjnych, związkowców i tych z rady pracowniczej. Ale oni też nie wiedzieli co jest grane. Dyrektor powiedział tylko, że fabryka dostała nagrodę za zrobienie „dola". Powiedział też, że teraz jest reforma gospodarcza i trzeba myśleć po nowemu. Po nowemu, to znaczy inaczej. Że teraz będzie się premiować takich, którzy mają otwarte głowy i dobre pomysły, a nie tylko silne ręce. Dlatego zgodnie z przepisami i prawem, nagroda należy się konstruktorom maszyny.

Teza o równych żołądkach stała jeszcze na mocnych nogach, ale dyrektorskie wyjaśnienia trochę ludzi przekonały. No bo skoro konstruktorzy maszynę obmyślili i dopilnowali jej zrobienia, to słusznie należy im się dola. Tyle, że powszechne odczucia robotników w kwestii profitów były nieco inne. Wysokość premii jakoś im nie przystawała do nakładów inżynierskiej pracy. Wcześniej produkowali przecież nie raz i nie dwa podobne urządzenia, a nawet o niebo trudniejsze i dostawali za nie raptem po parę tysięcy premii na głowę. A teraz niektórzy wzięli za jednym zamachem tyle, ile robotnik bierze za cztery miesiące harówki. Więc robotnicy zaczęli inżynierom uważniej patrzeć na ręce.

Cała sprawa podziału korzyści z myślenia i wdrażania mogła być pierwszą znakomitą lekcją ekonomicznej edukacji załogi. Mogła obalić dawny sposób myślenia, który głosił, że pracuje się tylko przy warsztatach, a przy deskach kreślarskich zbija się bąki. Wszystko to być mogło, nawet powinno, ale we wrześniu do fabryki przywieźli pękatą kasę. Opróżniano ją w

5

Chłopiec do bicia czy Nikifor na estradzie?

Rozmowa z KRZYSZTOFEM KRAWCZYKIEM

Do Polski powrócił w 1985 roku po 6-letniej nieobecności. Był na kontrakcie PAGARTU w USA. Nie udało mu się przebić polską głową amerykańskiego muru.

To co prezentuje na estradzie nigdy nie podobało się wszystkim, zawsze był ulubionym chłopcem do bicia, szczególnie teraz, choć notowania na różnych listach przebojów i telewizyjny plebiscyt „Opole-86" wyraźnie wskazują, że jest najpopularniejszym polskim piosenkarzem.

W 1986 roku Krzysztof Krawczyk skończył 40 lat, obchodzi również 20-lecie pracy artystycznej.

— Jest pan piosenkarzem komercyjnym i wiem, że nie wstydzi się tego, ale wszyscy mają mu to za złe i wyśmiewają się coraz głośniej i śmielej. Czy moralny kac, którego nabawił się pan w Polsce jeszcze przed wyjazdem do Ameryki, zmalał czy zwiększył się ostatnio?

— Przede wszystkim nie wszyscy. W najbliższym czasie odbieram dwie kolejne „Złote Płyty", a moje ostatnie koncerty w sierpniu 1986 roku, w amfiteatrach na Wybrzeżu, tylko na 6 imprezach osiągnęły liczbę 12 tysięcy sprzedanych biletów. Sytuacja jest patowa. Programy estradowe reprezentują mizerny poziom. Chyba nie doczekam się w Polsce wprowadzenia zawodu menażera. Sale widowiskowe i ich zaplecza znajdują się w opłakanym stanie, a prawie 40 proc. narzut, który stosuje każda instytucja sprzedająca artystę w terenie, powoduje, że bilet kosztuje wielokrotnie więcej niż 500 złotych. Na ten temat mówi się i pisze bardzo dużo i właściwie poza działaniem pełnomocnika do spraw reformy kulturalnej w MKiS dyr. Stanisława Nowotnego, który spowodował, że w rozrywce jednak coś się dzieje — robi się mało. Na mojego moralnego kaca nie znalazłem do dzisiaj żadnego środka.

— Na podstawie opinii prasowych, jakie w ostatnim czasie nagromadziły się na pana temat rysuje się straszliwy obraz „refrenisty gastronomicznego beczącego głośniej i ładniej niż Marco Antonelli?"

— Wspaniale! Potwierdza się coraz bardziej opinia o tym, że grupę dziennikarzy, których my nazywamy destruktorami należy zweryfikować. Powołuję się na publiczną wypowiedź (w telewizyjnym „Pegazie") Włodzimierza Korcza, który powiedział, że chciałby usłyszeć konstruktywną krytykę, a nie plotki, oszczerstwa, rozgrywki personalne. Na mój temat napisano już bardzo wiele dobrego i bardzo wiele złego. Na estradzie pracuję już 20 lat, jeżeli zdrowie dopisze, a słuchacze będą chcieli — jeszcze trochę pośpiewam. Psy szczekają, karawana idzie dalej!

— Powitano pana w Polsce niezbyt sympatycznie: „Krawczyk powrócił do kraju i jak powiedział w telewizyjnym magazynie „Brawo" Barbary Pietkiewicz: „Chce iść naprzód z otwartym czołem". „Naprzód więc do przychodni chirurgicznej" — dodał Janusz Przybysz w „Karuzeli". Wrócił! Rany Boskie, idol z dawnych lat, najprzystojniejszy jak wszyscy pomocnicy fryzjera razem wzięci" — uzupełnił Jerzy Kaczmarek w „Konkretach".

— Trudno się dziwić takim opiniom, jeżeli po 6-letniej nieobecności „syna marnotrawnego", który dla pewnych dziennikarzy powinien w ogóle przestać śpiewać, zostaję „Piosenkarzem Roku 1985" w plebiscycie „Panoramy", będąc w kraju zaledwie cztery miesiące. Nie wiem co miał na myśli Janusz Przybysz wysyłając mnie do przychodni chirurgicznej, równie dobrze mógłbym go wysłać do przychodni zdrowia psychicznego.

— Czytał pan co napisał tygodnik „Wprost" w artykule „Gra pozorów"? „Całkiem niepotrzebnie robi się zamieszanie wokół powrotu do kraju popularnego jeszcze niedawno piosenkarza Krzysztofa Krawczyka. Pracującego w USA artystę ubiera się w męczeńskie szaty. Taktyka artystycznego powrotu, jaką obrał KK jest prawidłowa. Jeżeli bowiem nie zrobił większej kariery w kraju, do którego właśnie po nią przyjechał, to trzeba teraz mówić i narzekać, dyskutować i minimalizować wszystko, co w jej zrobieniu przeszkadzało"?

— Poza przypadkiem Jana Kiepury nie znam artysty polskiego, który zrobiłby karierę w USA w pełnym tego słowa znaczeniu. Przyznaję, że Urszula Dudziak pod koniec lat 70. została sklasyfikowana na V miejscu wśród najlepszych wokalistek jazzowych świata. Faktem jest, że jej mąż Michał Urbaniak i Adam Makowicz wspaniale radzą sobie w nowojorskiej dżungli środowiska jazzowego. Chwała im za to. Nigdy nie mówiłem, że jadę do USA robić karierę. Przed wyjazdem powiedziałem: „czy

10

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch": 3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3270. B-5.

Przegląd prasy

Występując przed kamerami telewizji Michaił Gorbaczow oskarżył rząd i koła militarystyczne USA o fałszowanie prawdziwego przebiegu spotkania w Reykjaviku oraz manipulowanie nastrojami społecznymi. Pełny tekst przemówienia opublikowała „TRYBUNA LUDU" (nr 249). Sekretarz generalny KC KPZR jeszcze raz przypomniał najważniejsze

PROPOZYCJE RADZIECKIE

Oto one: *„Po pierwsze, zredukować o połowę całą bez wyjątku broń strategiczną. Po drugie, w pełni zlikwidować radzieckie i amerykańskie rakiety średniego zasięgu w Europie i niezwłocznie przystąpić do rozmów w sprawie rakiet tego typu w Azji, a także w sprawie rakiet o zasięgu poniżej tysiąca kilometrów, których liczbę zapronowaliśmy od razu zamrozić. Po trzecie, umocnić system obrony przeciwrakietowej, i rozpocząć na pełną skalę rozmowy w sprawie całkowitego zakazu prób nuklearnych".* Zdaniem M. Gorbaczowa, koła związane z militaryzmem przestraszyły się i natychmiast podjęły kampanię dezinformacji, aby wprowadzić w błąd opinię publiczną i utrudnić rządom zajęcie stanowiska.

„Mimo, że cały obraz rozmów w Reykjaviku został zniekształcony.. — czytamy — *w ostatnich dniach podjęte zostały działania, które z normalnego ludzkiego punktu widzenia, wyglądają zupełnie jak działanie dzikusa po tak ważnym spotkaniu na szczeblu najwyższego kierownictwa obu krajów. Mam na myśli wydalenie z USA kolejnych 55 pracowników ambasady i konsulatu ZSRR. Oczywiście, podejmiemy bardzo surowe środki odwetowe, że tak powiem na zasadzie wzajemności. Nie zamierzamy tolerować takich skandalicznych wybryków".*

Michaił Gorbaczow stwierdził dalej, że społeczeństwo amerykańskie nie zna prawdy o rzeczywistej treści polityki radzieckiej, ponieważ sprytnie i skutecznie izoluje się je od obiektywnych informacji. Jest to coraz bardziej społeczeństwo zamknięte.

Co zatem myślą Amerykanie? Czy Ronald Reagan spotkał się z negatywną reakcją własnych wyborców? Okazuje się, że nie. Wyniki badań na ten temat przytacza w „ŻYCIU WARSZAWY" (nr 250) Karol Szyndzielorz. Być może pod wpływem manipulacji większość społeczeństwa amerykańskiego popiera stanowisko prezydenta w kwestii SDI (Inicjatywa Obrony Strategicznej). Prawie 60 proc. Amerykanów uważa, że Stany Zjednoczone nie powinny godzić się na porozumienie ze Związkiem Radzieckim w sprawie kontroli zbrojeń, gdyby oznaczało to konieczność rezygnacji z prac nad broniami umieszczonymi w kosmosie. Blisko trzy czwarte ankietowanych uznało, że Reagan słusznie odmówił w Reykjaviku zmiany swoich poglądów.

Prasa codzienna przyniosła jednak także pewne

OPTYMISTYCZNE WIEŚCI

związane z oceną spotkania przywódców USA i ZSRR. Otóż tzw. Parlament Zachodnioeuropejski obarczył Stany Zjednoczone odpowiedzialnością za fiasko szczytu w Reykjaviku. W rezolucji przyjętej niewielką większością głosów parlament EWG w Strasburgu wyraził *„głębokie ubolewanie, że nieelastyczne przywiązanie Amerykanów do projektu inicjatywy obrony strategicznej wojen gwiezdnych spowodowało zmarnowanie historycznej okazji, by znacznie zredukować liczbę międzykontynentalnych rakiet strategicznych i usunąć wszystkie rakiety średniego zasięgu obu supermocarstw (rozmieszczone) w Europie".* Rezolucja podkreśla, że program wojen gwiezdnych służy wyłącznie interesom USA, dlatego nie do przyjęcia jest, żeby stanowił przeszkodę w osiągnięciu porozumienia rozbrojeniowego dotyczącego Europy. Projekt rezolucji zgłosili socjaliści, a głosowali za nim deputowani z ugrupowań lewicowych i centrowych. Natomiast przeciwko byli reprezentanci partii konserwatywnych i prawicowych.

Od ważnych spraw międzynarodowych przejdźmy do istotnych problemów krajowych. Na łamach „PRAWA I ŻYCIA" (nr 43) gen. Edward Drzazga odpowiada na pytania Danuty Frey dotyczące funkcjonowania Głównej Inspekcji Terenowej. W dotychczas przeprowadzonych kontrolach województw najlepiej wypadło szczecińskie, a następnie gdańskie, lubelskie, katowickie i bydgoskie. Najniżej zaś oceniono zamojskie i łomżyńskie. Ale słabo też zaprezentowały się województwa płockie i ostrołęckie. *„Niekiedy* — mówi główny inspektor kontroli w Urzędzie Rady Ministrów — *widzi się różne dziwne rzeczy. Byłem na przykład niedawno w Kadzidle, w woj. ostrołęckim. Zajeżdżam do tamtejszej Spółdzielni Usług Rolniczo-Transportowych i widzę: bałagan, brud, zaniedbany sprzęt. A prezes spółdzielni pijany, śpi z głową opartą na biurku. Z godzinę tak chyba chodziłem, a ten dalej śpi. W końcu wezwałem milicjanta i lekarza z probierzem trzeźwości... Albo inny przykład. Nasza*

KONTROLA UJAWNIŁA,

że w spółdzielni mieszkaniowej w Wysokiem Mazowieckiem, główna księgowa, będąca jednocześnie członkiem zarządu uzyskała mieszkanie M-5 dla swego samotnego syna, M-4 dla siebie i męża oraz doprowadziła do zakwalifikowania córki do przydziału M-2". Jedna z gmin otrzymała ocenę niedostateczną GIT, choć wcześniej z ramienia województwa przeszła aż około 360 kontroli w ciągu roku.

Przeciętnie kompleksowa kontrola w województwie trwa dwa tygodnie. Od czerwca 1983 roku skontrolowano 25 województw. Ponadto przeprowadzono 11 rekontroli, żeby sprawdzić, czy wdrożono zalecenia i wnioski. Trzon zespołu kontrolnego GIT tworzy ok. 30 inspektorów cywilnych. Wspierają ich dodatkowo inspektorzy z odpowiednich ministerstw i urzędów centralnych. Na tydzień przed rozpoczęciem kontroli powiadamiane są zawsze władze danego województwa; lecz nie wiedzą, dokąd konkretnie udadzą się inspektorzy. Ci ostatni zaś otrzymują szczegółowe zadania dopiero każdego dnia rano, na parkingu przed wyjazdem. Dzięki temu nie ma żadnych „przecieków".

Przy okazji różnych kontroli wychodzą na jaw liczne zjawiska dysfunkcjonalne i negatywne strony naszego życia społecznego. Interesują się nimi także naukowcy. Podczas sympozjum zorganizowanego w listopadzie 1983 r. przez Komitet Badań i Prognoz PAN „Polska 2000" rozszerzono pojęcie patologii społecznej. W najnowszych opracowaniach funkcjonuje już określenie — „zagrożenia i kwestie społeczne". Pisze o tym w miesięczniku „CZŁOWIEK I ŚWIATOPOGLĄD" (nr 7—8) Jerzy W. Wójcik. Za

KWESTIE SPOŁECZNE

w Polsce dość zgodnie uznaje się następujące zjawiska: zagrożenie bytu biologicznego i stanu zdrowia społeczeństwa; zagrożenie środowiska naturalnego oraz niedoinwestowanie jego ochrony; rozpad etosu pracy (niska dyscyplina i jakość, zanik szacunku dla fachowości itp.); zagrożenie środowiska społecznego plagami pijaństwa, łapownictwa, chamstwa, nietolerancji itp.; obniżenie poziomu uczestnictwa w kulturze; pogłębianie się dualizmu życia społecznego (łamanie — formalnie obowiązujących — zasad ustrojowych poprzez pielęgnowanie „układów", „pleców" itp.); nieprawidłowości w sprawowaniu władzy (zły dobór kadr, biurokracja, przywileje, arogancja); kryzys prawa i instytucji prawnych (inflacja przepisów, dowolność interpretacji, niskie morale i kwalifikacje urzędników); dezintegrację świadomości i systemu wartości społeczeństwa; wadliwe funkcjonowanie i małą skuteczność organizacji wychowawczych. *„Nie tylko znawca przedmiotu i badacz* — pisze autor artykułu — *ale każdy czytelnik prasy codziennej, doszukać się może jeszcze wielu innych form patologii, zagrożeń i kwestii społecznych. Warto jednak wymienić nasilające się przestępstwa gospodarcze i szczególny klimat w okresie kryzysu gospodarczego, spekulację, nadmierne bogacenie się na skutek machinacji sprzecznych z prawem".*

W tym samym miesięczniku piszą m. in. Jan Malec o narkomanii i Henryk Pielka o uzależnieniu alkoholowym rodziców. Pomieszczono też artykuł Andrzeja Wieluńskiego pt.

„GŁOSA SCEPTYKA"

Czytamy w nim: *„Alkoholizm, narkomania, prostytucja, złodziejstwo, głupota wraz z wszelkim możliwym do zdefiniowania złem nie spadły w Polsce z nieba ani nie są produktem kryzysu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, nie są też — jak chcą tego niektórzy zwolennicy myślenia magicznego — immanentną składową systemu socjalistycznego, a więc zjawiskiem liczącym sobie lat zaledwie czterdzieści. Twierdzenie, że w Polsce międzywojennej wszyscy pracowali znakomicie, załamanie się zaś i kryzys etosu pracy, co więcej: etosu obywatelskiego, dokonały się właśnie dopiero w tej Ludowej, jest twierdzeniem naiwnym, empirycznie niesprawdzalnym, jako że są kraje o tym samym co Polska ustroju społeczno-politycznym, za to o nieporównywalnie niższym stopniu patologizacji życia społecznego".*

Autor upatruje źródeł zła w systemie wychowawczym (rodzina, szkoła, kościół, zakład pracy, środki masowego przekazu, organizacje społeczne i polityczne, itp.). Wychowanie zaś jest takie, jakie społeczeństwo, państwo i prawo. Zjawiska negatywne są — jego zdaniem — rezultatem poważniejszej choroby społeczeństwa. Wybór metody terapeutycznej musi zależeć od prawdziwości diagnozy.

Kryzys moralny naszego społeczeństwa budzi zaniepokojenie zarówno w kręgach marksistowskich jak i katolickich. W miesięczniku „ŻYCIE KATOLICKIE" (nr 3) ks. Janusz Mariański stwierdza, że Kościół nie może obarczać wyłączną odpowiedzialnością za istniejące zło tylko władze polityczne i świeckie instytucje wychowawcze. W tym zakresie istnieje

WSPÓLNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Charakteryzując przemiany moralne w społeczeństwie polskim zwraca on uwagę na odchodzenie od etyki zasad do etyki sytuacji. Tracą na znaczeniu normy trwałe i kategoryczne, a narastają oceny zrelatywizowane. Coraz więcej ludzi postępuje w zależności od konkretnych okoliczności życiowych, a nie według absolutnych i niezmiennych norm. *„Wiele wskazuje na to* — czytamy — *że pogłębia się egoistyczny stosunek do otoczenia, izolacja od otaczającego świata, szukanie koniunkturalnych znajomości opartych na oczekiwaniu poparcia, przysługi i protekcji (oczekiwanie rewanżu), obojętność względem spraw innych ludzi i ich przeżyć, a nawet swoisty brutalizm życia codziennego".*

Janusz Mariański podkreśla jednak, że zarysowany przez niego skrótowo negatywny obraz moralności nie jest powszechny, że nie istnieją w naszym społeczeństwie tylko zjawiska negatywne, gdyż taka zbiorowość przestałaby po prostu istnieć. Socjologowie analizują głównie zjawiska negatywne, ponieważ łatwiej je uchwycić i zbadać niż przemiany pozytywne.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Zgrane karty

Przypuszczam, że nie mnie jednego pewne nowsze okoliczności zmuszają do cofnięcia się wspomnieniem do wydarzeń sprzed sześciu lat. Przypominam sobie z tamtych czasów rozmowę ze zwolenniczką nowo powstałych związków zawodowych, do których i ja odnosiłem się początkowo z życzliwym zainteresowaniem, a nawet z nadzieją na odnowę naszego życia społecznego.

Zaniepokoiły mnie jednak żądania bardzo znacznej jednorazowej podwyżki płac, byłem bowiem zdania, że w sytuacji niedostatku towarów należałoby płace raczej zamrozić do czasu wydatniejszego zwiększenia produkcji. Usłyszałem w odpowiedzi (a osoba ta obeznana była z ekonomią), że owszem, jest to żądanie „na wyrost", bez aktualnego pokrycia w towarach, ale że nie odbije się ono ujemnie na rynku, dzięki niechybnemu wzrostowi wydajności pracy, zwiększającemu wydatnie zaopatrzenie rynku.

Uwierzyłem argumentom i uczciwości intencji mojej rozmówczyni, mając w pamięci o dziesięć lat wcześniejsze, dotrzymane hasło „Pomożemy"!, a także — jeszcze wcześniej — ożywienie i wzrost gospodarczy bezpośrednio po Październiku 56. Różnica jednak, jak dziś wiemy, polegała na tym, że od Sierpnia 80 zaczął następować (zapoczątkowany w gospodarce o rok wcześniej) spadek produkcji, w znacznej mierze wskutek strajków, gdyż — co dzisiaj oczywiste — ratowanie gospodarki kraju bynajmniej nie było celem niektórych przywódców strajkowych, lecz przeciwnie, dążyli oni do załamania, nadwątlonej za czasów przedsierpniowych, wydolności gospodarki, żeby, przez obniżenie poziomu życia, spotęgować niechętne nastroje wobec ustroju socjalistycznego.

No, i rzeczywiście udało się opozycji zredukować zaopatrzenie uspołecznionego handlu do butelek z octem, rozpętać do niebywałych rozmiarów spekulację artykułami powszechnego użytku, spowodować bujny wzrost pasożytniczych fortun. Te cele osiągnęli przywódcy opozycji, trzeba przyznać, z dużą precyzją.

Myślę, że dzisiaj każdy, kto ten przebieg wydarzeń ma w pamięci i cały ich scenariusz, przedstawiony tu w uproszczeniu, rysuje mu się w sposób dostatecznie przejrzysty, ten nie powinien mieć złudzeń, że ci, którzy do owego stanu doprowadzili w walce o władzę, prowadzonej z premedytacją, mogli by dziś, kiedy zwrócono im wolność, wyznać publicznie skruchę i zakasać rękawy. Trudno bowiem oczekiwać, żeby ci, którzy są moralnymi sprawcami stanu wojennego (bo przecież nie ci, co go wprowadzili), jak moralnym sprawcą kryzysu i strajków lata roku 80 była ekipa sprawująca wówczas władzę (a nie ci, co strajkowali), żeby dziś, mając darowaną karę, chwycili skwapliwie wyciągniętą dłoń porozumienia. Na wszystko zresztą potrzebny jest czas...

Oburzenie jednak musi budzić fakt, że niektórzy z nich, jakby nie ciążyła na nich żadna odpowiedzialność za trudne dla nas wszystkich lata, zwracają się bez żenady w imieniu polskiego społeczeństwa (choć przez nikogo nie upoważnieni) do prezydenta Stanów Zjednoczonych o uchylenie sankcji gospodarczych przeciwko Polsce, ani słowem nie wspominając o ich bezprawiu. Gest to dosyć tani, wiedzą oni bowiem o szykującym się od dość dawna zniesieniu sankcji pod naciskiem amerykańskiej i zachodnioeuropejskiej opinii, która daje o sobie znać od czasu sprzed amnestii (przez nikogo na Zachodzie nie spodziewanej).

Tym krokiem nasi opozycjoniści chcą przypisać sobie w oczach polskiego społeczeństwa rzekome wpływy na politykę międzynarodową, aby im uwierzono, że mają oni jeszcze szansę zdziałać dla Polski dużo dobrego, byle tylko dopuszczono ich do władzy. Przedtem zresztą argumentowali, że sankcje nie szkodzą narodowi, godzą tylko w rząd (jakież świątoszkowate oburzenie wybuchło na oświadczenie Urbana, że rząd się wyżywi!), obecnie przyznają jakby nigdy nic, że sankcje są odczuwane przez polski świat pracy.

Być może autorzy memoriału do prezydenta USA mają w kraju, tu i ówdzie, zwolenników, którzy z nienawiści do ustroju socjalistycznego najpierw zaaprobowali ich destrukcyjną działalność ekonomiczną i polityczną, a po wprowadzeniu stanu wojennego zsolidaryzowali się z ich apelami o utrzymanie sankcji wobec Polski. Działania owej podpisanej pod apelem dziewiątki świadczą w każdym razie o tym, że niezbyt wysoko oceniają oni poziom politycznego myślenia swojej potencjalnej bazy i jest to chyba znów ten przypadek, kiedy trzeba przyznać im rację.

Ogół społeczeństwa jednak, miejmy nadzieję, dzięki twardej szkole życia odebranej w ostatnich latach, zdał sobie chyba sprawę, że tylko wydajna i sumienna praca, pomnażająca dobra rynkowe i możliwości eksportu może stanowić podstawę poprawy bytu i że powtórka osławionej „wałęsówki" wymiotłaby znów sklepowe półki, może nawet i z octu...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Już niebawem w naszym tygodniku można i warto będzie przeczytać:

— reportaż ROMANA KUBIAKA o długowłosych chłopcach z popularnego zespołu Blue Haze, którzy nie widzą świata bez muzyki;
— rozmowę DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO z dyrektorem łódzkiej delegatury „Inter-Polcomu" na temat funkcjonowania firm zagranicznych w Polsce;
— artykuł WITOLDA KASPERKIEWICZA o radykalnych zmianach w życiu społecznym i gospodarczym Chin;
— reportaż MARKA KOPROWSKIEGO o niezwykłych występach teatru amatorskiego na łące przy torach kolejowych:
— artykuł o nieszczęśliwych dzieciach sławnych i bogatych rodziców, które są obrzucane pieniędzmi, lecz źle kochane i niewdzięczne;
— dalszy ciąg sensacyjnego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO z Meksyku;
— kolejny odcinek noweli szwedzkiej słynnego markiza de Sade'a;
oraz — jak zawsze — felietony, recenzje, wiersze, listy do redakcji.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zanim rozpoczął się przełom

21 grudnia 1949 roku uroczyście obchodzono 70 rocznicę urodzin Józefa Stalina. Do Moskwy na Kreml płynęły tysiące podarunków z całego świata. Poeci pisali wiersze o Stalinie. Płynęły depesze z życzeniami. Stalin był uosobieniem walki rewolucyjnej, walki z faszyzmem, niezłomności narodów ZSRR. Żołnierze radzieccy szli do ataku z okrzykiem: — *Za Rodinu! Za Stalina!* O Stalinie śpiewano pieśni. W grudniu 1951 roku w Polsce wydano „Dzieła" Józefa Stalina w nakładzie 2 milionów egzemplarzy. Na zebraniach i wiecach skandowano: *„Sta-lin-Bie-rut!"*.

Józef Stalin zmarł 5 marca 1953 roku. Wielu ludziom zamarły serca. Oczekiwano najgorszego — kataklizmu dziejowego. Ale nic się nie stało. 7 marca 1953 roku przemianowano Katowice na Stalinogród. W czerwcu 1953 roku w Moskwie aresztowano Ławrentija Berię, a w grudniu tegoż roku skazano go na śmierć. W grudniu 1953 roku uciekł do Berlina Zachodniego Józef Światło — dyrektor X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Początek lat pięćdziesiątych — to

CZAS HEROICZNEGO WYSIŁKU I STRACHU

„W okresie lat 1950—1953 — mówił na II Zjeździe PZPR Bolesław Bierut — uwaga partii oraz państwa ludowego i jego organów skupiała się i musiała się skupiać na rozwiązaniu zagadnień związanych z socjalistycznym uprzemysłowieniem kraju jako podstawowej dźwigni rozwoju całej gospodarki narodowej.

Polityka koncentracji sił na socjalistycznym uprzemysłowieniu kraju była nieodzownym warunkiem przezwyciężenia wiekowego zacofania na jakie Polska skazana była pod rządami obszarników i kapitalistów.

Trzeba stwierdzić, że podstawowe zadanie socjalistycznego uprzemysłowienia kraju zostało w ciągu lat 1950—1953 zrealizowane w zasadzie pomyślnie".

W niespełna 30 lat później komisja KC PZPR powołana przez IX Nadzwyczajny Zjazd partii dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej w swoim sprawozdaniu stwierdzi, że osiągnięcia planu sześcioletniego, które *„stały się trwałym elementem w świadomości społeczeństwa"*, osłabiły w znacznym stopniu *„błędy i wypaczenia popełnione w sprawowaniu władzy, prowadzące do sztywnego, biurokratycznego, a przy tym częstokroć sprzężonego z nieuzasadnionym stosowaniem środków przymusu, sposobu kierowania"*.

Konieczność rezygnacji z własnych rozwiązań, wynikających z przeszłości i specyfiki historycznego rozwoju Polski i przyjęcia za jedyne i niepodważalne doświadczeń Związku Radzieckiego w budownictwie socjalistycznym doprowadziła nie tylko do uproszczeń w traktowaniu polskiej tradycji, ale i do rezygnacji z tej tradycji. Z historii Polski wykreślono wiele nazwisk i faktów. Operacja taka spotkała również dzieje polskiego ruchu robotniczego. Czołowi działacze PPR z Władysławem Gomułką na czele oskarżeni zostali o *„odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne"* a PZPR przyznawała się do nawiązywania jedynie do *„lewicowego, jednolitofrontowego nurtu w PPS"*. „Gomułkowszczyzna" i prawicowe elementy PPS w referacie Bolesława Bieruta na II Zjeździe PZPR w marcu 1954 roku oskarżone zostały o *„próbę podważenia spoistości ideologicznej polskiej klasy robotniczej, które zmierzały do oderwania jej — podobnie jak w Jugosławii — od obozu socjalistycznego"*.

Były to czasy braku tolerancji. Pod hasłem jedności i spójności oraz walki klasowej wprowadzono w sztuce i literaturze jeden tylko nurt — socjalistyczny realizm. W styczniu 1950 roku zamknięty został tygodnik „Odra", w marcu tegoż roku „Kuźnicę" połączono z „Odrodzeniem" w „Nową Kulturę", której redaktorem naczelnym został Paweł Hoffman. Na VI Plenum KC PZPR na początku 1951 roku Bolesław Bierut zgłasza postulat włączenia literatury do walki o wyniki planu sześcioletniego. Na początku 1950 roku zainicjowano wyjazdy pisarzy w teren, co dało w rezultacie 38 powieści, 16 tomów opowiadań, 6 tomów poezji i 4 sztuki teatralne. Niektóre z tych utworów nie straciły swej artystycznej wartości do dziś. Na początku 1950 roku w „Odrodzeniu" samokrytykę złożyli Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Borowski i Konstanty Ildefons Gałczyński. *„Na Uniwersytecie Łódzkim z 14 kierunków humanistycznych ocalały trzy"* — pisze Mieczysław Woźniakowski w książce „Było tak i siak". Pisze on dalej, że był to

CZAS PRZYKRĘCANIA ŚRUBY

„Ale „przykręcanie śruby" wynikało również z teorii o zaostrzającej się walce klasowej. Wszędzie mieliśmy „wrogów". Ponieważ „wrogowie" coraz lepiej się maskowali, więc i czujność nasza powinna była być coraz doskonalsza. A więc — nieufność. Do wszystkich do każdego".

Aktywiści ZMP stali się „partnerami" nauczycieli. Mogli nie tylko opiniować swoich kolegów, ale i nauczycieli. Owże Mieczysław Woźniakowski wspomina jak to niezwykle zdolny uczeń III TPD Andrzej R. otrzymał opinię z ZMP: *„Kocha wino i kobiety, prowadzi burżuazyjny tryb życia. Wróg Polski Ludowej"*. Opinia ta zamknęła mu drogę do Politechniki Łódzkiej. Na szczęście tylko na jeden rok.

Negatywny stosunek do przeszłości wyrażał się nie tylko w przekreślaniu wszystkiego, co uważano za obce klasowo, ale i stosunku do ludzi.

„Któregoś dnia — wspomina w książce „Los się przychylił" Adam Michalski, oficer Ludowego Wojska Polskiego, pracownik Sztabu Generalnego — *dowiedziałem się, że zostali aresztowani generał Józef Kuropieska, pułkownik Maksymilian Chojecki i pułkownik Adam Uziembło. Wkrótce usłyszałem od sąsiadów, że został aresztowany w naszym budynku mieszkalnym major Orlik. Potwierdziła to jego żona. Byliśmy wstrząśnięci. A potem słyszeliśmy także o aresztowaniach innych osób w wojsku. Wiadomości te niepokoiły, szczególnie nas, wojskowych. Obawialiśmy się bowiem, że w każdej chwili może to spotkać każdego z nas"*.

W kwietniu i maju 1950 roku aresztowani zostali między innymi generałowie: Stanisław Tatar, Jerzy Kirchmayer, Franciszek Herman, Stefan Mossor, Bronisław Maszlanka, Marian Utnik oraz pułkownicy Stanisław Nowicki i Kazimierz Pluta-Czachowski. Wszyscy związani z przedwrześniowym Wojskiem Polskim a niektórzy z Armią Krajową lub Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie. Do końca 1952 roku zostali skazani: niektórzy na dożywocie, niektórzy na karę śmierci. W 1955 roku zostali zrehabilitowani.

W lipcu 1951 roku — podczas urlopu w Krynicy — został wraz z żoną aresztowany Władysław Gomułka. Osadzono go w silnie strzeżonym więzieniu w Miedzyszynie koło Warszawy. Zlikwidowano mieszkanie Władysława Gomułki przy alei Wojska Polskiego. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło uchwałę o wykluczeniu Władysława Gomułki z partii, ale uchwały tej nie publikowano nigdzie. W październiku 1951 roku Sejm Ustawodawczy — na wniosek Generalnego Prokuratora — uchylił immunitet poselski Władysława Gomułki i Mariana Spychalskiego. Marian Spychalski, Grzegorz Korczyński i Zenon Kliszko zostali aresztowani w październiku tegoż roku.

12 lipca 1953 roku ekipa PAX przejęła redagowanie „Tygodnika Powszechnego", odsuwając od redagowania tego pisma dotychczasową redakcję z Jerzym Turowiczem jako redaktorem naczelnym. We wrześniu tego roku internowany został kardynał Stefan Wyszyński.

ROK 1953

był pełen nieoczekiwanych wydarzeń. Zmarł Józef Stalin. W ZSRR rozprawiono się z „beriowszczyzną". W Panmundżen zawarto rozejm między Koreą Północną i ochotnikami chińskimi z jednej strony a Koreą Południową i amerykańską armią interwencyjną z drugiej. Polska weszła w skład komisji rozejmowej. 12 sierpnia 1953 roku dokonano w ZSRR pomyślnej próby z bombą wodorową i 15 sierpnia „Prawda" opublikowała komunikat o opanowaniu przez ZSRR produkcji bomby wodorowej. 7 września odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego KPZR, na którym I sekretarzem KC KPZR wybrano Nikitę Chruszczowa.

29 i 30 października 1953 roku obradowało IX Plenum KC PZPR, na którym omówiono zadania partii w podnoszeniu stopy życiowej mas pracujących. Podjęto decyzje o przyśpieszeniu produkcji artykułów konsumpcyjnych oraz zwiększeniu produkcji rolnej. Postanowiono zwołać na początku 1954 roku II Zjazd PZPR.

Do prac przygotowawczych przystąpiono w połowie listopada 1953 roku. Sprawami przygotowawczymi do II Zjazdu PZPR zajmowało się Biuro Organizacyjne KC PZPR, które obok Biura Politycznego KC istniało między I a II Zjazdem PZPR. W maju 1950 roku — na IV Plenum KC PZPR — powołano sekretariat Biura Organizacyjnego, do którego weszli: Bolesław Bierut jako przewodniczący i jako sekretarze: Franciszek Mazur, Zenon Nowak, Edward Ochab, a nieco później Władysław Dworakowski i Edmund Pszczółkowski. W lutym 1954 roku powołano komisję organizacyjną II Zjazdu. Na jej czele stanął Edward Ochab, a jego zastępcą został Edmund Pszczółkowski. Datę rozpoczęcia obrad II Zjazdu wyznaczono na 10 marca 1954 roku.

Kampania przedzjazdowa rozpoczęła się w grudniu 1953 roku. W dyskusji na zebraniach przedzjazdowych wiele mówiono o tym, że

WALKA TOCZY SIĘ NA DWA FRONTY

Z jednej strony przeciw oportunizmowi. Z drugiej — przeciw lewacko-sekciarskim wypaczeniom Wszakże dyskusję tę oceniano negatywnie i kierownictwo partii zaleciło wydziałom KC PZPR, aby przystąpiły do „upolitycznienia" dyskusji. Próbowano tego dokonywać poprzez prasę, jak i liczne organizowane kursy szkoleniowe dla aktywu. Dyskutowano również o zadaniach wynikających z uchwał IX Plenum KC PZPR. Kampanię tę wykorzystywano też do poprawy przygotowań do wiosennych siewów. Już na II Zjeździe PZPR I sekretarz KW PZPR w województwie łódzkim — Michalina Tatarkówna-Majkowska powie: *„Dzięki czynowi przedzjazdowemu województwo łódzkie może dziś zameldować, że przygotowania do kampanii wiosennej zakończyły się przedterminowo"*.

Dokonano też w grudniu 1953 i na początku 1954 roku licznych zmian kadrowych. W grudniu 1953 roku kierownikiem Wydziału Rolnego KC PZPR został Mieczysław Jagielski. Redaktorem naczelnym „Chłopskiej Drogi" mianowano Macieja Elczewskiego, do 16 grudnia 1953 roku I sekretarza KW PZPR w Koszalinie. W styczniu 1954 roku kierownikiem Wydziału Przemysłu Lekkiego został Mieczysław Marzec, a połączonego Wydziału Propagandy i Prasy KC PZPR — Jerzy Morawski. Artur Starewicz został sekretarzem CRZZ, Leon Kasman — wiceministrem handlu wewnętrznego.

I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR od grudnia 1952 roku Władysław Matwin został mianowany naczelnym redaktorem „Trybuny Ludu". Na jego miejsce w Komitecie Warszawskim PZPR przyszedł I sekretarz KW PZPR w Kielcach, gdzie pełnił tę funkcję od marca 1961 roku. Na miejsce Macieja Elczewskiego do Koszalina poszedł Józef Rygliszyn — w latach 1950—1951 I sekretarz KW PZPR w Białymstoku. Na miejsce Stanisława Pawlaka do Kielc poszedł z Olsztyna Stanisław Krupa, który pełnił tam funkcję I sekretarza KW od marca 1952 roku. W Olsztynie funkcję I sekretarza KW objął Jan Klecha. Była to

TYPOWA KARUZELA KADROWA

Antoni Czubiński w książce „Czerwiec 1956 w Poznaniu" zwraca uwagę, że Wielkopolska miała silnie rozwiniętą tradycję dobrze pojętego regionalizmu, gdzie liczyli się przede wszystkim ludzie związani z regionem. *„W nowej rzeczywistości były to tradycje niepopularne, nie zasługujące na uznanie i kontynuację. Wobec braku rodzimych kadr z tradycją rewolucyjną i internacjonalistyczną ważniejsze stanowiska w partii, administracji, władzach bezpieczeństwa itp. obsadzano ludźmi z innych regionów. Nie znali oni lokalnych warunków, tradycji, mentalności ludności. Na czterech kolejno po sobie następujących do 1956 roku I sekretarzy KW PZPR w Poznaniu z regionu tego nie wywodził się ani jeden"*. Byli to: Marian Minor (od zjednoczenia do marca 1949), Józef Olszewski (1949—1950), Feliks Baranowski (1950—1951), Stefan Misiaszek (1951—1952), Leon Stasiak (1952 — listopad 1956). Leon Stasiak w czerwcu 1952 roku do Poznania przyszedł z I sekretarza KW PZPR w Łodzi, gdzie tę funkcję pełnił od lipca 1950 roku.

Wielu działaczy partyjnych wędrowało wówczas od województwa do województwa, nigdzie nie wiążąc się dłużej, nie zapuszczając nigdzie korzeni. Etatowi I sekretarze. Jerzy Pryma I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie został 12 października 1949 roku i był tam do listopada 1951 roku, od listopada 1951 został I sekretarzem Komitetu Krakowskiego PZPR. W lutym 1952 roku został I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Warszawie (województwo), a we wrześniu 1955 roku przyszedł na I sekretarza KW PZPR w Łodzi, gdzie w listopadzie 1956 roku złożył rezygnację. Później był wiceprzewodniczącym Prezydium WRN w Łodzi. Grzegorz Wojciechowski wędrówkę swoją rozpoczął w 1948 roku w Lublinie, gdzie był po zjednoczeniu I sekretarzem KW PZPR do kwietnia 1949 roku. Z Lublina przyszedł do województwa łódzkiego, a w kwietniu 1951 roku odszedł do Białegostoku. Przykładów takich można znaleźć dużo więcej.

Jan Ptasiński, który od lutego 1952 roku do listopada tegoż roku był I sekretarzem KŁ PZPR, a poprzednio I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie, tak opisuje w książce „Obrachunek własny" swoją „nominację" na I sekretarza KŁ PZPR.

„W drugiej połowie stycznia 1952 roku zatelefonował do mnie Władysław Dworakowski, ówczesny kierownik Wydziału Organizacyjnego KC PZPR, i dość tajemniczo oznajmił: — Przyjedź jutro do Warszawy, mam z polecenia gospodarza (Bolesława Bieruta — przyp. J. P.) omówić z tobą bardzo ważną sprawę. (...)

Dworakowski nie konkretyzował propozycji, tylko kluczył przekonując mnie, że nie powinienem jej odrzucać. (...)

W końcu dowiedziałem się, że jest już uchwała Sekretariatu KC PZPR o przeniesieniu mnie na stanowisko I sekretarza Komitetu Łódzkiego. Nie oponowałem, tylko zwróciłem uwagę Dworakowskiemu, że mogę mieć duże trudności, zwłaszcza w początkowym okresie, w kierowaniu pracą partyjną w Łodzi, gdyż dotychczasowa moja działalność ocierała się wprawdzie o ośrodki wielkiego przemysłu, ale nie wyniosłem z niej żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o pracę w wielkich aglomeracjach miejsko-przemysłowych. Mój rozmówca, który był swego czasu I sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR, uśmiechnął się tylko i zaglądnął do kalendarza, by zaproponować mi termin podjęcia nowej pracy".

Władysław Dworakowski — gwoli wyjaśnienia — od 12 września 1948 roku był I sekretarzem Komitetu Łódzkiego PPR, a po zjednoczeniu został I sekretarzem KŁ PZPR. 11 lipca 1949 roku został wybrany I sekretarzem KŁ i KW PZPR w Łodzi. Były to dwie różne instancje partyjne, które do 12 kwietnia 1950 r. miały wspólnego I sekretarza. W kwietniu 1950 roku w Łodzi tę funkcję objął Jan Jabłoński, w województwie — Witold Sienkiewicz.

W czasie trwania kampanii przed II Zjazdem PZPR

WYBRANO 1277 DELEGATÓW

Na II Zjeździe obecnych było 1268 delegatów. Bolesława Bieruta wybrano delegatem na konferencji w Warszawie-Śródmieściu. W Łodzi wybrano 47 delegatów. Byli między innymi wśród nich: Roman Zambrowski, Władysław Dworakowski, Wanda Gościmińska, Jan Jabłoński, Kazimierz Mijal, Jan Ptasiński, Kazimierz Witaszewski. W województwie łódzkim wybrano 55 delegatów, a wśród nich: Celinę Budzyńską, Mariana Minora, Lucjana Rudnickiego, Michalinę Tatarkównę-Majkowską, Eugeniusza Stawińskiego, Adama Dolińskiego.

Wśród wybranych delegatów 823 miało pochodzenie robotnicze, 296 — chłopskie, 106 — inteligenckie. Robotników było 234, chłopów — 146, w tym 73 członków spółdzielni produkcyjnych, 34 gospodarzy indywidualnych. Wybrano na delegatów 417 pracowników aparatu partyjnego, a w tym: 50 — sekretarzy POP komitetów gromadzkich i zakładowych, 172 — sekretarzy komitetów powiatowych, miejskich i dzielnicowych, 45 — kierowników wydziałów w komitetach wojewódzkich, 73 — sekretarzy komitetów wojewódzkich, 77 — pracowników Komitetu Centralnego PZPR. Poza tym wybrano: 26 pracowników aparatu ZMP, 36 pracowników aparatu związków zawodowych, 30 pracowników MO i UB, 79 żołnierzy i 95 pracowników aparatu administracji państwowej. Nie ukończyło 25 lat 40 delegatów, a ukończyło 60 lat 32. Wykształcenie średnie i niepełne średnie miało 332 delegatów, wyższe i niepełne wyższe — 221, absolwentami szkół partyjnych było 345 delegatów.

II Zjazd PZPR otworzył Józef Cyrankiewicz. Referat sprawozdawczy wygłosił Bolesław Bierut, sprawozdanie Komisji Rewizyjnej — Wacław Rózga. Główne zadania gospodarcze na lata 1954—1955 omówił Hilary Minc, o zadaniach rolnictwa w tym samym czasie mówił Zenon Nowak. Zmiany w Statucie PZPR przedstawił Edward Ochab. Delegacji KPZR przewodniczył Nikita Chruszczow i on też wygłosił przemówienie powitalne. Zjazd zakończył obrady 17 marca 1954 roku. Tego dnia odbyło się też pierwsze plenarne posiedzenie nowo wybranego Komitetu Centralnego, które wybrało Biuro Polityczne, Sekretariat i Centralną Komisję Kontroli Partyjnej.

I sekretarzem KC PZPR został Bolesław Bierut. W skład Biura Politycznego KC weszli: Bolesław Bierut, Aleksander Zawadzki, Józef Cyrankiewicz, Hilary Minc, Zenon Nowak, Konstanty Rokossowski, Edward Ochab, Jakub Berman, Franciszek Mazur, Franciszek Jóźwiak, Stanisław Radkiewicz, Władysław Dworakowski, Roman Zambrowski. Zastępcami członków BP zostali Adam Rapacki i Hilary Chełchowski. W skład sekretariatu KC weszli poza Bolesławem Bierutem: Edward Ochab, Franciszek Mazur i Władysław Dworakowski. Przewodniczącym CKPP został Franciszek Jóźwiak.

Bolesław Bierut złożył rezygnację ze stanowiska premiera, wychodząc z założenia, że II Zjazd PZPR nakłada na Biuro Polityczne i sekretarzy KC dużo większe obowiązki niż do tej pory i powinien on zatem skoncentrować się wyłącznie na pracy w partii. Komitet Centralny przychylił się do takiego stanowiska i postanowił rekomendować na premiera Józefa Cyrankiewicza, a na pierwszych zastępców premiera: Hilarego Minca i Zenona Nowaka. 17 marca 1954 roku Rada Państwa mianowała Józefa Cyrankiewicza premierem, pierwszymi zastępcami Hilarego Minca i Zenona Nowaka, a wicepremierem Jakuba Bermana. W maju 1954 roku wicepremierem został mianowany Stanisław Łapot, a w kwietniu 1955 roku Franciszek Jóźwiak.

Z Biura Politycznego KC PZPR wybranego na II Zjeździe odeszli: Stanisław Radkiewicz w lipcu 1955 roku, Jakub Berman w lipcu 1956 roku, Bolesław Bierut, który zmarł w Moskwie 12 marca 1956 roku. Przed VIII Plenum KC PZPR z 19 października 1956 roku do Biura Politycznego weszli: Edward Gierek, Roman Nowak i Adam Rapacki (z zastępcy członka BP). Skład zastępców członków BP uzupełnili w tym czasie: Stefan Jędrychowski i Eugeniusz Stawiński. Zmian tych dokonano na VII Plenum KC PZPR w lipcu 1956 roku.

DYSKUSJA ZACZĘŁA SIĘ

w drugim dniu obrad 11 marca 1954 roku. Obradom przewodniczył Aleksander Zawadzki. Trwała ona do 16 marca. Zabrało głos 66 delegatów. Obradom przewodniczyli kolejno: Alicja Musiałowa, Wiktor Kłosiewicz, Franciszek Jóźwiak, Adam Rapacki, Stanisław Radkiewicz, Władysław Dworakowski, Roman Zambrowski, Stanisław Pawlak, Edmund Pszczółkowski i Bolesław Bierut.

W dyskusji nad kolejnymi referatami głos zabrało 10 I sekretarzy komitetów wojewódzkich, 4 sekretarzy komitetów powiatowych, 2 komitetów miejskich i jeden zakładowego, 6 ministrów, 10 członków centralnych władz partyjnych, przewodniczący PKPG, przewodniczący ZG ZMP i dwóch przewodniczących zarządów wojewódzkich ZMP, 3 przewodniczących spółdzielni produkcyjnych, przewodniczący CRZZ, ZLP Ligi Kobiet, szef Głównego Zarządu Politycznego WP, sekretarz naukowy PAN, dyrektor Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR, szef Zarządu Polityczno-Wychowawczego w kolejnictwie, wiceprezes Rady Ministrów, kierownik wydziału KC PZPR, przewodniczący prezydium stołecznej RN, 2 rektorów szkół wyższych, dyrektor stoczni, dyrektor szkoły, 3 terenowych działaczy partyjnych, inżynier, troje robotników i jeden rolnik indywidualny.

Zjazd podsumował dotychczasowy dorobek partii, wskazał na jej osiągnięcia, ale nie ukrywał braków. W dyskusji na II Zjeździe PZPR pojawił się dość wyraźny nurt krytyczny, ale nie był on tak silny, jakby już tego oczekiwano. Zresztą Jakub Berman, który nieoficjalnie podsumowywał dyskusję, powiedział:

„Każdy z obecnych na sali delegatów na nasz Zjazd chyba przyzna, że pewien nadmiar deklaratywności w dotychczasowej dyskusji zjazdowej raczej zasłonił istniejące w terenie realne osiągnięcia, niemniej jednak nie będzie mógł zaprzeczyć temu, że prawdziwego przełomu w pracy wciąż jeszcze nie ma..."

Na ten przełom przyszło jeszcze poczekać. Ale trzeba w pełni sobie uświadomić, że bez nurtu krytycznego na II Zjeździe PZPR i z przełomem byłyby trudności.

Cóż zatem na tym Zjeździe takiego powiedziano?...

My nie szukamy złodzieja...

Rozmowa z zastępcą dyrektora łódzkiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli — STANISŁAWEM LASKOWSKIM.

Przeciętny obywatel z NIK ma raczej rzadko do czynienia. Słyszy czasem o mrożących krew w żyłach kontrolach ze straszliwymi reperkusjami lub przeczyta w gazecie lakoniczny komunikat PAP o waszych wizytach w jakimś zakładzie i zwykle smutnych ich efektach. Czym przede wszystkim zajmuje się Izba?

— Musimy wyjść od źródeł, czyli od konstytucji PRL. A ta wyraźnie określa, iż NIK, podporządkowana wyłącznie Sejmowi, współuczestniczy, pomaga parlamentowi w realizacji zadań kontrolnych, począwszy od centralnych organów administracji państwowej na terenowych, podległych im jednostkach skończywszy. Przyglądamy się działalności aparatu państwowego, gospodarczego, organizacji spółdzielczych, ale napiszmy wyraźnie: interesuje nas wyłącznie finansowo-gospodarcza i organizacyjno-administracyjna strona ich pracy.

— Kontrolować więc możecie działalność organów najwyższego stopnia, powiedzmy Ministerstwa Sprawiedliwości również...

— Oczywiście, we wspomnianym wyżej zakresie.

— Jakie są zlecenia? Posłużmy się jakimś przykładem z ostatnich miesięcy...

— W głównym nurcie naszych działań i to ostatnich lat, nie tylko miesięcy, znalazły się tak węzłowe problemy społeczno-ekonomiczne kraju, jak choćby ocena funkcjonowania nowego systemu zarządzania, wdrożonego reformą.

— No i jak ta ocena wypada, bo przecież przyglądacie się reformie, a raczej procesowi jej wdrażania od...?

— Od 1982 roku i rzeczywiście mamy wieloletnią, obiektywną ocenę. Powiedzmy otwarcie: szereg mechanizmów nadal nie stwarza przymusu efektywnego gospodarowania. Wiele jednostek osiąga korzystne wyniki finansowe mimo... gorszej pracy. Stwierdziliśmy spadek produkcji, niski stopień wykorzystania zdolności wytwórczej, słabą jakość wyrobów, często występowało marnotrawstwo. A jednak zyski rosły, często dwu-, trzykrotnie w stosunku rocznym.

— Cuda w ekonomii należą do rzadkości...

— Wręcz — nie występują. Ale tu wyjaśnienie jest proste. Wykorzystując znany wszystkim brak równowagi rynkowej, przedsiębiorstwa te, mimo stosowanych przez rząd blokad cen na wyroby rynkowe i zaopatrzeniowe — znalazły furtkę. W celu ominięcia tych ograniczeń, stosowano pewne manipulacje asortymentowe, wprowadzano rzekome nowości i ustalano wyższe ceny. Były i takie przypadki, gdy przedsiębiorstwo produkowało 60 procent „standardu", czyli wyrobów średniej jakości, a pozostałe to były tak zwane wyroby luksusowe. Te 40 procent produkcji zwolnione było z blokad cenowych i wypracowywało wyśrubowanymi cenami zysk dla całości.

— Szalenie ciekawe metody, przy normalnie funkcjonującym rynku raczej niemożliwe do zrealizowania?

— Oczywiście, a mogę służyć konkretnymi przykładami. Jedno z przedsiębiorstw branży dziewiarskiej w województwie skierniewickim zwiększyło w ten sposób w 1985 roku swój zysk... czterokrotnie, w porównaniu z rokiem poprzednim.

— Rola Najwyższej Izby Kontroli nie ogranicza się jednak do „rozgryzienia" metody sztucznego windowania zysków i wskazania palcem winnych?

— Przede wszystkim musimy przedstawiać centrum tego typu niekorzystne dla gospodarki zjawiska. Ze wszech miar naganne, bowiem takie przedsiębiorstwo wszelkie nieuzasadnione koszty i straty „finansuje" wyższymi cenami swych wyrobów. Osiąga nadmierne zyski, zwiększa w sposób nieuzasadniony płace.

— Ale możliwości takiego postępowania stwarza rozchwiany rynek, choć myślę, że w wielu branżach takie zjawiska już by nie mogły mieć miejsca.

— I ma pan rację. W fabrykach produkujących choćby dywany, niektóre wyroby wełniane, wyroby ze szkła — takie jak opisane manipulacje nie byłyby możliwe. Nasycony rynek nie umożliwia już zbytu towarów kiepskiej jakości. Ale to na razie rodzynki.

— A dlaczego inspektorzy NIK akurat do wspomnianego wyżej zakładu trafili? Czy to też polecenia odgórne czy jakieś sygnały — powiedzmy — z terenu?

— W tym przypadku zaintrygowały nas te kary za złą jakość, ale badaliśmy wiele zakładów, gdzie podobnej natury nieprawidłowości wystąpiły. Generalnie zaś bierzemy pod uwagę przy typowaniu firmy czy branży wiele informacji, w tym także wyniki prac GUS, dane bankowe, aparatu skarbowego. Niekorzystne wyniki pracy jakby ukierunkowują nasze działania. Przez ponad kwartał badaliśmy wpływ systemu ekonomicznego na poprawę jakości produkcji i efekty, a wyniki w postaci zbiorczej informacji centrala NIK przekazała na forum Sejmu.

— Zwykle nie obywa się bez pewnych propozycji personalnych...

— Jeszcze do tej sprawy wrócę, tu chcę tylko wyraźnie stwierdzić, że my nie nastawiamy się przede wszystkim na szukanie złodzieja czy osoby odpowiedzialnej za marnotrawstwo czy niegospodarność. Oczywiście, jeśli w czasie naszych prac takie zjawiska zauważamy — nie pozostajemy obojętni, ale główny kierunek badań to zagadnienia systemowe, kontrolowanie mechanizmów, nawet właściwości przepisów, które hamują postęp, wszechstronny rozwój i doprowadzają do marnotrawstwa czy niegospodarności.

— Czy rzeczywiście natrafiacie jedynie na niezbyt precyzyjnie działające mechanizmy?

— Szereg mechanizmów ekonomicznych umożliwia osiąganie dobrych wyników dzięki rzetelnej pracy, bo taki jest ich sens, jak i reformy. Państwo stwarza przecież preferencje dla pewnych dziedzin produkcji, że wspomnijmy tylko o eksporcie, usługach bytowych czy artykułach najwyższej jakości. Ponadto przedsiębiorstwa dysponują bardzo poważnymi środkami na postęp techniczny. Ale np. w województwie łódzkim z kwoty 3,7 mld złotych w roku ubiegłym wykorzystano zaledwie 30 procent...

— Ale „artykuły najwyższej jakości" — to określenie raczej płynne, nieprecyzyjne...

— Mam na myśli wyłącznie wyroby oznaczone państwowym znakiem jakości „Q" i „1". A możemy podać konkretnie, iż produkowanie wyrobów z tymi znakami pozwala na zastosowanie wysokich ulg w podatku dochodowym, zwolnienie z ograniczeń w podwyżce cen, a od 1 stycznia 1986 — oznacza również możliwość zwiększenia nagród dla załogi. Stwierdziliśmy jednak, w czasie kontroli, że wiele jednostek gospodarczych, mimo wspomnianych preferencji, traci uprawnienia do sygnowania swych wyrobów znakami najwyższej jakości.

— Rozumiem, że były to sporadyczne przypadki, toż to przecież żaden splendor...

— Wręcz przeciwnie! Dość powiedzieć, że w 1985 roku w przemyśle województwa łódzkiego utracono około 500 „jedynek". Co prawda w tym samym czasie wystarano się o blisko 400 znaków „1" i 20 wyrobów uprawnionych do litery „Q", ale per saldo odnotowaliśmy regres.

— Zapewne wszyscy tłumaczyli się „obiektywnymi trudnościami"?

— Nie sposób pominąć rzeczywiście występujących kłopotów kooperacyjnych, trudności surowcowych, zaopatrzeniowych czy ograniczeń eksportowych. Takie są fakty. Ale okazało się także, że niektórzy dyrektorzy... nie znali przepisów, nie wiedzieli o możliwych — wyżej wspomnianych — preferencjach...

— Zapewne po waszych kontrolach te przeszkody jakby zmalały i możliwości zdobycia czy odzyskania znaków jakości stały się całkiem realne?

— Tak było rzeczywiście i w wielu jednostkach takie kroki podjęto. Ale stwierdziliśmy również przypadki wręcz krańcowo niezrozumiałe. Otóż istniały jednostki, które posiadając uprawnienia do oznaczania swych wyrobów znakami „Q" i „1", czyli produkujące wyroby na wysokim poziomie jakościowym, nie sprzedawały artykułów oznaczonych w ten umowny sposób.

— Rzeczywiście, przypadek raczej niezrozumiały...

— ...a dotyczył spółdzielni mleczarskich, którym wspomniane znaki przyznano na masło. Jednakże, z braku stosownego opakowania, krótko mówiąc — porządnego papieru — sprzedawały masło o wysokiej jakości nie jako „Q", tylko jako... zwykłe. Ale te spółdzielnie wcale się o ten papier nie dobijały jakoś szczególnie, co świadczy o nieznajomości potencjalnych, przysługujących im korzyści z produkowania na najwyższym poziomie. W ten sposób działając w jednej tylko spółdzielni stracono około 150 milionów złotych...

— A ile mógł ten nieszczęsny papier kosztować?

— No, niechby nawet i kilka milionów, to przecież gra była chyba warta przysłowiowej świeczki?! A trzeba tu jeszcze dodać, że spółdzielczość mleczarska dotowana jest przez państwo i wciąż narzeka na zbyt niskie dotacje.

— Podstawą waszych prac są tematy i zadania zlecane przez Sejm, Radę Państwa. Wiem też, że w miarę możliwości uwzględniacie propozycje wojewódzkich rad narodowych czy wojewodów. Ale jesteśmy też społeczeństwem, które uwielbia pisać, gdzie tylko można, na każdego i nawet w arcydrobnej sprawie...

— Zanim pan zapyta wprost, czy dostajemy donosy i anonimy, odpowiem krótko: oczywiście, że otrzymujemy i taką pocztę. Wszystkie sprawdzamy, przecież niektóre skargi i przykłady niegospodarności choćby są sygnałem do zajęcia się tym przedsiębiorstwem. Ale powiem otwarcie, a wniosek to z wieloletniej praktyki — załoga nie boi się kontroli NIK.

— Z dyrekcją bywa różnie?

— Zwłaszcza tych zapuszczonych, źle kierowanych, nie funkcjonujących należycie przedsiębiorstw.

— Jeśli jeszcze sygnały się potwierdzą, kontrola ujawni szereg niedociągnięć, błędów, krótko mówiąc — firma nie działa tak jak powinna, to...

— To niezależnie od wniosków o charakterze organizacyjnym, usprawniającym, wnioskujemy zwykle o zastosowanie sankcji służbowych, do zwolnienia z pracy włącznie. Na ręce dyrektora, jeśli sprawa jego podwładnego dotyczy, a jeśli jego samego — wniosek otrzymuje organ założycielski lub rada pracownicza.

— I nie są to już żadne sugestie czy rady...

— Nie, są to wnioski o charakterze obligatoryjnym i muszą być wykonane, a zmienione lub zawieszone mogą być jedynie za zgodą Prezesa NIK, do którego przysługuje zresztą odwołanie.

— Zdarza się, że „nękacie" niektóre firmy kilkakrotnie...

— No, nie jest tak źle. Ale w większości wypadków zjawiamy się po raz drugi rzeczywiście, na tak zwaną kontrolę sprawdzającą.

— Może mi pan zdradzi swój pogląd na ten temat: czy nie za dużo mamy tych instytucji kontrolujących?

— Rozwój cywilizacyjny każdego kraju stwarza określone zagrożenia I nie będzie truizmem stwierdzenie, że państwo powołuje urzędy, ale musi także tworzyć organy kontroli, mające chronić społeczeństwo przed różnego typu zagrożeniami, a naturalne zasoby — przed zniszczeniem. I niezbędne są inspekcje ochrony środowiska, ochrony radiologicznej, sanitarna, energetyczna, pracy, samochodowa, przeciwpożarowa, handlowa i wiele innych.

— Odnosi się wrażenie, że większość z nich raczej nudny i gnuśny pędzi żywot. No, może za wyjątkiem przeciwpożarowej...

— Z raportów wynika jednak coś zupełnie przeciwnego; ujawniają te inspekcje nadużycia, przypadki marnotrawstwa, niegospodarności, a jest jeszcze niewymierna działalność profilaktyczna.

— Jak długo trwa wasza kontrola w zakładzie?

— Przeciętnie miesiąc, czasem nieco dłużej.

— Taka wizyta nieco utrudnia normalną robotę w firmie?

— Z pewnością, niektóre nasze badania wymagają złożenia wyjaśnień, dokonania pewnych zestawień, choćby dostarczenia niezbędnych danych. Do tego dochodzi też naturalne zdenerwowanie... I myślę, że rozważenia wymaga na pewno nadmierna liczba organów kontroli gospodarczej, bo działa przecież inspekcja materiałowa, energetyczna, wagonowa, niezależnie od Izby Skarbowej, PIH, NIK, Państwowej Inspekcji Skupu i Przetwórstwa Artykułów Rolnych (PIS—PAR), a wszystkie mogą badać te same problemy.

— Czyż reforma nie powinna przykręcić nieco tego „kontrolnego rozpasania"?

— Pełne wdrożenie trzech „S" oznaczać powinno również wprowadzenie czwartego: samokontroli. Przedsiębiorstwo nastawione na zysk winno być zmuszone do racjonalnej gospodarki, walki z marnotrawstwem, do kontroli wewnętrznej. A instytucje kontrolne z „zewnątrz" poświęcą więcej czasu na badania problemów kompleksowych, zgodności z celami ogólnospołecznymi, badania zasad przestrzegania prawa...

— Na razie mamy tylko koncert życzeń...

— Cóż, wymagać to będzie wdrożenia drugiego etapu reformy, dalszego ograniczenia administracji i nakazowych metod zarządzania, ale do tych wymagań dodać trzeba także: równowagę gospodarczą, lepszy bilans handlowy, stworzenie autentycznego przymusu ekonomicznego.

— Mówimy sporo o reformie. Czy trafiliście na ślad łamania jej przepisów?

— Zdarzają się przypadki wykorzystywania uprawnień, nadanych przez reformę w celu osiągnięcia niezbyt legalnych dochodów. Ot, choćby przemysł materiałów budowlanych, naruszając ustawę o cenach i opodatkowaniu przedsiębiorstw, wprowadził do cen umownych, czyli uzgodnionych z odbiorcami, dodatkową dopłatę w wysokości 1 złotówki za tak zwaną jednostkę ceramiczną, czyli cegłę standardową. Utworzono w ten sposób, poza kontrolą budżetową i kredytową, spory fundusz, przeznaczony na rozwój branży.

— Z tej jednej, prozaicznej złotówki?

— Ta złotówka zwiększała cenę niektórych wyrobów, tych o dużej liczbie jednostek ceramicznych, nawet o dwadzieścia procent. I w sumie „wygospodarowano" w branży kilka miliardów złotych rocznie.

— Czym się sprawa zakończyła?

— Jeszcze się nie zakończyła. Kierownictwo NIK przekazało stosowną informację do ministra finansów...

— Wspomniał pan wcześniej o dyrektorach, którzy wciąż nie umieją się przestawić na działanie w nowych warunkach...

— Są i tacy, którzy — co brzmi paradoksalnie — tęsknią do rozdzielnika. Oni w warunkach normalnego handlu nie bardzo umieją już działać. W jednej z piotrkowskich hut szkła, w trakcie naszej kontroli, stwierdziliśmy, iż gospodarze, po zniesieniu centralnego rozdzielnictwa szkła, co miało miejsce bodaj w listopadzie 1984 roku, przez cały następny rok nie zdołali przypomnieć sobie zasad normalnego handlu tak poszukiwanym towarem. Przyzwyczajeni byli, że po niego po prostu przyjeżdżano. Teraz cała produkcja szła „do magazynu", czyli na otwarty plac, szkło składowane w ten sposób w znacznej części uległo z czasem zniszczeniu.

— Po waszej wizycie odbiorcy się znaleźli?

— Wiem, że trochę się sprawa ruszyła, zapasy na placu zmalały, choć część szkła, wartości kilkunastu milionów złotych, poszła na „stłuczkę". Ale najbardziej wzruszył mnie dyrektor, który — jak sam stwierdził — został zaskoczony brakiem rozdzielnika...

— Ostatnie pytanie: jak pan ocenia skuteczność waszych kontroli?

— Trzeba wyraźnie sobie powiedzieć, iż kontrola jest tylko jednym z elementów zarządzania. A ostateczne rezultaty zależą także od innych czynników — prognozowania, planowania, organizowania, motywowania, koordynowania, a nie tylko od kontrolowania. Jeśli któryś z tych elementów nie działa sprawnie — cały proces zarządzania jest mało skuteczny. Kontrola ma za zadanie tylko ujawnić czy stan faktyczny jest zgodny z tym pożądanym, jak się realizuje decyzje. My nie wydajemy zarządzeń, nie mamy wpływu na przemiany gospodarcze, my jedynie zajmujemy się wystawianiem gospodarce rzetelnej, aktualnej, niemal lekarskiej diagnozy...

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Łańcuch Czystych Serc

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

ze str. 1

konspiracji. Kierownik podchodził do majstra i szturchał go dyskretnie albo klepał w ramię. Potem coś szeptał mu do ucha, a szturchnięty prędziutko gnał do kasy. Po powrocie niektórzy klepali następnych i odwoływali ich na stronę. Tam dzielili forsą. Trochę to pachniało szwindlem, bo obdarowani inkasowali po trzy tysiące z groszami i nikt nie podtykał im do podpisu listy płac. Ale brali wszyscy klepnięci, bo nikomu się nie przelewa. Zresztą dzielący twierdzili, że tak przykazał kierownik produkcji. Kazał podpisywać jednemu i dzielić na trzech.

Ludzie nie lubią, kiedy grubsza forsa rozchodzi się w konspiracji i pachnie szwindlem. Dlatego zbierali się po kątach i radzili. Stanęło na tym, żeby iść do dyrekcji i zapytać prosto z mostu: za co są te pieniądze i dla kogo? Poszli i usłyszeli, że nagroda jest znowu za „dola" i znów dla wybrańców, tych samych zresztą. A listy nagrodzonych dyrekcja nie wywiesi, bo nie musi. Kierownicy też o forsie gadać nie chcieli i zgodnie trzymali tajemnicę. Jeden mistrz powiedział tylko, że robociarze są od kręcenia kluczem, a nie od pyskowania. Wtedy kowal, Józef Jacoń zacisnął wielkie pięści. Odczekał, aż pod kuźnią przejdzie sam naczelny i zbluzgał go przy ludziach. Jacoń to jest dusza człowiek i ludzie pójdą za nim w ogień.

cztery procent. Niżej jest szef produkcji — trzy i pół procent, jeszcze niżej kierownik sekcji technologicznej, za nim kierownicy, majstrowie, a na samym końcu garstka robotników.

Na produkcji wiedzą też, kto dzielił pieniądze. Dzielili ci ze szczytu listy i jeszcze jeden inżynier. To była komisja O komisji ludzie wiedzą tylko tyle, że chyba powołała się sama, bo tzw. czynników społecznych do udziału nie zapraszano.

Dyrektor Niedźwiecki mówi, że wszystko jest w zgodzie z przepisami. Owszem, dostali dwie wysokie nagrody za „dola" i dostaną jeszcze trzecią, bo tak przewiduje wieloletnia umowa wdrożeniowa. Zawarli ją w 1984 roku i od tego czasu usilnie pracowali nad konstrukcją maszyny. To była pierwsza tego typu umowa na myśl techniczną i wykonanie produkcji. Dokumentację techniczną odśnieżarki wykonali specjaliści z Wojskowej Akademii Technicznej, a „MADRO" zrobiło prototyp i serię gotowych wyrobów. I za to fabryka dostaje część wpływów z wyników sprzedaży „dola".

Dyrektor Niedźwiecki jest zaskoczony reakcją załogi. Szczegółowo wyjaśnia kryteria podziału. Najpierw komisja wytypowała trzydziestu jeden pracowników i określiła im zakres czynności wdrożeniowych. Ci wybrani czuwali nad technologią produkcji „dola". Pracowali długo i solidnie, więc uczciwie odebrali swoje pieniążki.

Na liście nagrodzonych znalazło się jednakże nie trzydzieści jeden nazwisk, lecz siedemdziesiąt. Dyrektor Waprzko objaśnia, że sami byli zaskoczeni wysokością nagród, co nie zdarzało się w przeszłości, toteż postanowiono premiować także najlepszych robotników.

Ale ludzie z produkcji uważają, że rzucono im ochłapy. Gdyby było inaczej, czyli sprawiedliwie, obeszłoby się bez konspiracji i szturchania. Ludzie nie rozumieją za co „góra" wzięła ponad cztery miliony, skoro prawie całą ważniejszą robotę, czyli dokumentację techniczną wykonał kto inny. Uważają, że „dol" był prosty jak dziecinna zabawka, więc inżynierowie w fabryce nie musieli zbytnio wytężać umysłów. Zresztą nie wdrażali po godzinach, tylko w normalnym czasie pracy. A za to biorą normalne pensje.

W „MADRO" pensja inżyniera wynosi siedemnaście tysięcy, a średnia robotnicza dwadzieścia kilka...

Robotnicy uważają, że dobrze wiedzą, kto przy „dolu" tyrał jak wół, a kto maszyny nie widział na oczy. Dlatego nie pojmują, czemu dyrektor Niedźwiecki wziął tyle samo, ile dyrektor Waprzko, chociaż naczelny pół roku był na zwolnieniu, a techniczny zna w maszynie każdą śrubkę. Czemu nikt nie konsultował premii z mistrzami, którzy przecież są najbliżej ludzi. I czemu na liście jest nazwisko człowieka, który nie żyje od dwóch lat. I jeszcze sto innych pytań, na które nie znają odpowiedzi.

Grubsza forsa do podziału, to jest bardzo delikatna sprawa. Takie sprawy należy załatwiać z taktem i przy otwartej kurtynie. A w „MADRO" popełniono błąd. Spektakl dzielenia odegrano w zaciszu biurowego pokoju, za plecami widowni. Więc ludzie nie są przekonani, że premiuje się naprawdę uczciwą pracę. Dlatego podnieśli szum.

Dyrektor Niedźwiecki mówi, że dla pracowników zawsze znajdzie chwilę czasu. Niech tylko przyjdą do niego i wyłożą gorzkie żale. Ale ludzie nie chcą już gadać z naczelnym. Szczególnie po tym, co spotkało kowala Jaconia i sekretarza Malinowskiego. A było tak:

KOWAL DOPADŁ DYREKTORA

i wyłożył gorzkie żale. No, może trochę się uniósł, o trzy słowa powiedział za wiele. Bo Józek jest prosty i wali kawę na ławę. Za kowalem stali ludzie i czekali. Ale naczelny nawet się nie zatrzymał. Wtedy ludzie orzekli, że nie ma co strzępić języków. Poszli do sekretarza Malinowskiego. Słuchaj Jan, mówią, partyjny jesteś, robociarz jak my wszyscy, uczciwy jesteś człowiek i zaufanie masz, więc idź do dyrektorów upomnieć się o sprawiedliwość. Malinowski wszystkich tu zna na wylot. Trzydzieści sześć lat pracuje w „MADRO" i wie, że ludzie z jego fabryki, to nie są żadni wichrzyciele, tylko porządne chłopaki. Oni zaś wiedzieli, że Malinowski też wziął dolę za „dola" — dokładnie pół procenta. Ale uznali zgodnie, że dostał za mało, bo harował na cztery ręce: na obrabiarkach i wszędzie gdzie mu kazali. W zakładzie mówią nawet, że Malinowski robi na pierwszej linii, w „brygadzie tygrysa".

Więc sekretarz poszedł do dyrektora. Poszedł i poprosił o listę nagrodzonych. Zerknął i ocenił, że raczej nie jest w porządku i że ludzie mają sporo racji. Wtedy Malinowski zapytał, dlaczego przy dzieleniu nagrody nie było społecznych czynników. A dyrektor odparł, że czynniki społeczne nie wdrażały „dola", wobec czego przy dzieleniu były zbędne. Tego Malinowski nie może zrozumieć, bo inaczej pojmuje samorządność. Ale został i doradził jeszcze, że można zło naprawić, zwołać ludzi i wyjaśnić niesnaski. Żeby więcej w zakładzie nie było szturchanych premii i barykad. Lecz do spotkania doszło dopiero po dwóch tygodniach. Więc wrócił sekretarz na produkcję i bezradnie rozłożył ręce. Wtedy ludzie uznali, że na dyrektora nie ma siły.

Postanowili zapukać wyżej. Napisali list do Komitetu Łódzkiego PZPR. Wyłożyli o co im chodzi i poprosili o szybką interwencję. Pismo wzięli kowal Jacoń i ślusarz Guzenda. Poczekali do śniadaniowej przerwy i ruszyli zbierać podpisy. Ludzie nie lubią kreślić się pod dokumentami, bo nigdy nie wiadomo, gdzie czyha zemsta. Zwykle jeden zasłania się dziećmi na utrzymaniu, a inny chorą żoną. Lecz w „MADRO" nie było cienia kunktatorstwa. Ludzie do podpisu ustawiali się w kolejkach. Kreślili się imieniem i nazwiskiem, żeby zaświadczyć o uczciwych intencjach. Kreślili się robotnicy i mistrzowie, partyjni i związkowcy. Zgodnie. W przerwie śniadaniowej i po pierwszej zmianie Jacoń i Guzenda zebrali ponad sto sześćdziesiąt podpisów.

Nie próżnował też Malinowski. Zwołał egzekutywę zakładowej POP. W egzekutywie jest robotnik Mirosław Grzelik — dwadzieścia sześć lat pracy w „MADRO" i szefowa związkowców, Irena Jakubek. Zebrali się i jednomyślnie uradzili, że trzeba twardo stać przy robotniczej sprawie. Więc spisali protokół do Komitetu Miejskiego PZPR w Pabianicach. Trzy razy byli w Komitecie, a I sekretarz, Zdzisław Bubak już o szóstej rano stawił się do ich dyspozycji. Ustalili wspólnie, że sprawę nagród za „dola" należy dokładnie zbadać, żeby móc wydać werdykt sprawiedliwy. A do tego niezbędna jest fachowa siła ekonomiczna z zewnątrz, która wypowie się, czy postąpiono właściwie, czy też niezgodnie z prawem i obowiązującymi przepisami. Dlatego wystąpiono o niezwłoczne spowodowanie kontroli zakładu przez NIK.

Gorzkie żale wylewają związkowcy. Uważają, że w fabryce nie ma atmosfery do pracy, a do pracy społecznej szczególnie. Związek zawodowy istnieje tu tylko na papierze i tylko statystycznie. Organizacja skupia osiemdziesiąt dwie osoby. Przewodnicząca, Irena Jakubek nie wyobraża sobie dalszej pracy w tych warunkach. W listopadzie opuszcza zakład. Mówi, że ludzie mieli tu kiedyś zapał oraz inicjatywę, ale walili głową w mur dyrekcji. Fabryka jest rozległa, toteż trudno odnaleźć kogoś kompetentnego, by załatwić związkowe sprawy. Dlatego związkowcy wystąpili do naczelnego o przyznanie połówki etatu dla działacza. Wniosek związkowców poparła egzekutywa. Dyrektor obiecał im, że do maja pomyślnie spełni postulat. Teraz jest druga połowa października i etatu nie ma.

Dyrektor Niedźwiecki chciałby spełnić postulat związkowców, lecz jeszcze nie może. Szuka kogoś kompetentnego, kto mógłby zastąpić przewodniczącą na jej zakładowym etacie. Bo Irena Jakubek pracuje w dziale zaopatrzenia, a zaopatrzenie jest nerwem zakładu.

Dyrektor sam działa społecznie i uważa, że w fabryce atmosfera do działania jest. Zresztą „MADRO" odbiera właśnie nagrodę za czyny społeczne.

Tymczasem ludzie normalnie szli do pracy i czekali na finał. Lecz zamiast słabnąć,

POŻAR WYBUCHŁ Z NOWĄ SIŁĄ

A było tak: W poniedziałek kowal Jacoń dostał naganę. Rano do kuźni przyszedł jego mistrz, poczciwy chłop, i powiedział:

— Słuchaj Józek, kazali mi na ciebie wypisać korespondentkę z naganą. Że niby zakłócałeś pracę tym zbieraniem podpisów pod listem do partii.

Trzy razy z ciężkim sercem pisał mistrz co mu kazali, ale dopiero za trzecim było jak chcieli. Wtedy Jaconia wezwano na dywanik. Więc poszedł kowal do biurowca, a tam na korytarzu chwyciły go urzędniczki. I z pretensjami wielkimi, że je przy zbieraniu podpisów pominął, a one też chciały. Potem kowal wszedł do gabinetu szefa i dostał naganę. Został mianowany pierwszym wichrzycielem w zakładzie. Więcej Jaconiowi zrobić nie mogli, bo piętnaście przykładnych lat robi w fabryce, nigdy zatargów nie miał i fachowiec z niego dobry.

Drugiego wichrzyciela, Guzendę na razie nie ukarano, bo akurat był na urlopie. Ale temu jak nic grozi wymówienie, gdyż ma na sumieniu parę dyscyplinarnych zaszłości.

Za kowalem i ślusarzem wstawiła się partia. Sekretarz Malinowski uważa, że stało się źle. Nie omieszkał przedstawić swego zdania naczelnemu. Zyskał bardzo wiele, bo naganę zawieszono i przycichł nieco wulkan ludzkich emocji.

W „MADRO" rzeczywiście nie ma atmosfery do pracy. Konflikt zabrnął zbyt daleko. Na piątkowym zebraniu z załogą, dyrektor Waprzko chciał wyjaśnić sporne kwestie. Ale słowa trafiały w próżnię. Ludzie już nie wierzą swoim przełożonym. Cierpi na tym praca. Obie strony pilnie czekają na werdykt kontrolerów NIK. Dyrekcja, bo chce oczyścić się z zarzutów. Robotnicy, bo czują się oszukani.

Bez względu na rezultaty kontroli, trudno będzie odbudować to, co zburzył gniew. A gniew zrodził się z braku zwyczajnej wyobraźni. Dlatego z iskry wybuchł pożar.

ROMAN KUBIAK

Premia szturchana

Twardy jest i nie znosi żadnych kantów. Więc kowal zbluzgał naczelnego, a dyrektor zmył się jak niepyszny. Wtedy ludzie uznali, że nie ma z kim gadać.

Spawacze powiadają, że w „MADRO" robotnik jest wycieradłem. Takim durnym ciemniakiem, którym można pomiatać i którego nie pyta się o zdanie. Panowie dzielą miliony, a spawaczom od miesiąca nie płacą groszy za przestoje. Piętnaście godzin stali bezczynnie, bo ci, którzy brali wielkie nagrody, zapomnieli w porę załatwić paru głupich butli z tlenem. A teraz panowie każą im zasuwać po godzinach.

Spawacze nie wiedzą, na czym polegała praca przy konstruowaniu „dola". Oni otrzymali tylko gotowe rysunki i robili swoje. Nikt im nie wyjaśniał co to takiego wdrażanie nowości i dlaczego inżynier może wziąć ciężkie pieniądze.

Ślusarze klną w żywy kamień: na majstrów, kierowników i powszechny bałagan. Mówią, że jak potrzeba kierownika, to go nie ma przez pół zmiany, a jak do koryta, to pchają się pierwsi. W wielkiej jak trzy stodoły, rzęsiście oświetlonej hali pracuje tylko sześciu ludzi. A oni nie są ciemni i potrafią rachować. Dlatego powiadają, że lepiej halę oddać badylarzowi pod ogórki, niż marnować społeczne złotówki. Ale ci, którzy marnują społeczne, jeszcze biorą miliony. Więc ślusarze pytają, dlaczego tak jest.

Ślusarzom też nikt nie objaśniał ekonomicznego abecadła podziału nagród wdrożeniowych. Są wkurzeni, bo chcieliby dzielić równo, jak dawniej. Dlatego teraz dopiero wytykają palcami grzechy „tamtych".

Tajemnica szturchanej premii nie uchowała się zbyt długo. Znowu ktoś dociekliwy wybadał, że do wzięcia była

GRUBSZA FORSA

dokładnie dwa miliony i trzydzieści osiem tysięcy złotych. Nie wiadomo w czyje ręce dostała się pilnie strzeżona lista płac, lecz wiadomo że jej treść znają na produkcji. Znają i recytują z pamięci. Na górze listy są dyrektorzy: naczelny, Ryszard Niedźwiecki — cztery procent z dwóch milionów, i techniczny, Konrad Waprzko — też

Kup pan cegłę

Wszystko, jak zwykle, zaczęło się banalnie: do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi nadeszło 8 listopada 1985 roku pismo z Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Śródmieście", w którym napisano, że „... *nieznani sprawcy dokonują kradzieży materiałów budowlanych przeznaczonych dla Kombinatu. Kradzież następuje prawdopodobnie podczas transportu cegły z cegielni „Młodzieniaszek" i „Sianokosy" oraz ze stacji kolejowej Łódź-Chojny*".

Jeszcze tego samego dnia milicjanci zatrzymali Wiesława G. rocznik 1952, a zatrudnionego w PTSB „Transbud — Łódź" w charakterze kierowcy, który woził cegły z cegielni do Bazy Kontenerowej Łódź — Olechów. Ta cegła była przeznaczona na plac budowy Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki, ale nie docierała tam w ilości uwidocznionej w dokumentach przewozowych. Wiesław G. miał wyraźnego pecha: jeszcze tego samego dnia prokurator rejonowy w Zgierzu wydał postanowienie o tymczasowym jego aresztowaniu. Nie, tego się Wiesław G. nie spodziewał. Owszem, czasem może myślał, że ktoś sypnie, ale przecież wszystko było tak dobrze obmyślone, papiery „grały", świadków nie było, kumple nigdy nie sypną. I nagle — cela, skromny wikt, łoże twardsze niż w domu, no i miejsca tyle, co w windzie. Nic tylko płakać i bić głową o ścianę.

W trakcie śledztwa Wiesław G. nie starał się niczego wyprzeć ani zataić. Jego — wydawało mu się — tak chytrze pomyślany plan okazał się nędzną kombinacją. Spece szybko obliczyli, że Wiesław G. zaledwie w ciągu paru tygodni przywłaszczył sobie (czytaj: sprzedał) co najmniej 2.500 sztuk cegły kratkówki wartości 75 tys. złotych.

Dlaczego wszedł na drogę przestępstwa? Jego wyjaśnienia są bałamutne i nie mogą przekonać ani prokuratora, ani zapewne nie przekonają sądu.

— *Kradłem* — mówi — *bo miałem w domu trudną sytuację finansową, a gęb do wyżywienia sporo: żona i dwie nieletnie córki.*

Pryncypał z poprzedniego miejsca pracy zalegał mu z wypłatą uposażenia, więc w domu się nie przelewało. A do tego taka okazja! Tylko brać!

Okazja była rzeczywiście dobra. Oto krótka historia drogi ku przestępstwu. Najpierw jeździł w PTSB „Transbud — Łódź" I Oddział „kamazem" i przewoził ściany do budynków mieszkalnych. Wkrótce jednak otrzymał „ziła", a potem, właściwie od 1 października „tatrę" typ 148 ze skrzynią ładowną i przyczepą. To już było coś: brał jednorazowo na skrzynię 15 ton ładunku, a na przyczepę 12. Teraz woził raz cegłę, raz płyty betonowe, to znów worki z cementem lub wapnem. Po dziesięciu dniach został oddelegowany do dyspozycji Bazy Kontenerowej Łódź — Olechów. Tu kazano mu przewozić cegłę białą wapienną z cegielni przy ulicy Sianokosy. Wiesław G. jest jednocześnie kierowcą i konwojentem, a więc ma nie tylko zawieźć towar pod wskazany adres, ale zawieźć go w całości i pilnować, by nikt niepowołany niczego nie ukradł. Wszystko to jest zapisane w karcie z jego zakresem obowiązków. Szkoda, że w tej karcie nie ma punktu mówiącego, że Wiesław G. ma bronić przewożonego przez siebie mienia przed sobą samym. Może dalej jeździłby swoim potężnym samochodem i wieczorami oglądał wraz z córkami telewizję.

10 października 1985 r. Wiesław G. wykonał pierwszy kurs z cegłą do Bazy Kontenerowej. Okazało się, że nikt go tu nie sprawdzał, nikt nie liczył cegły, nawet nie zajrzano do skrzyń, czy aby wszystko jest w porządku. Majster podpisał przyjęcie, cegłę właściwie zwalono na kupę, nie bacząc, że duże jej ilości uległy zniszczeniu. Nawet zdziwił się, że tak beztrosko poczyna się tu z cegłą, która przecież przeznaczona jest na budowę szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki. Skoro tak — pomyślał — to wcale nie trzeba przywozić tu całego ładunku.

Słyszał od ludzi, że w Nowosolnej buduje się domki na działkach, że obecnie, przy panującym głodzie materiałów budowlanych można uzyskać zupełnie przyzwoite pieniądze. Pojechał więc, ale nagabywani przechodnie jakoś nie kwapili się do wszczynania transakcji handlowych. Dopiero na posesji Jana Sz. znalazł zrozumienie.

— *Cegłę potrzeba?*
— *Jeszcze jak.*
— *Dużo?*
— *Z pół tysiąca.*
— *Zgoda. Ale to kosztuje.*
— *Panie, pieniądze to ja mam, ino nie mam cegły. Zwalaj pan i to szybko.*

Kiedy Wiesław G. wraz z pomocnikiem Ryszardem P. znosili z samochodu cegły, zjawił się Józef K., który aż cmoknął na widok takiego bogactwa. Od razu zapragnął mieć całe 2 tysiące sztuk.

To był przełomowy dzień w życiu i działalności Wiesława G. Pieniądze wprost same pchały się do kieszeni. Teraz już bez wahania zabierał cegłę z cegielni i od razu kierował się do Nowosolnej. Wiedział, że tu ma pewne źródło zbytu, a po powrocie do Bazy Kontenerowej nikt go nawet nie zapyta, gdzie był i co robił i dlaczego brakuje jakieś głupie 500 lub 1.000 cegieł lub pustaków. Woził także do wsi Gospodarz dla Kazimiery Z i dla Romana B.

Podobnego odkrycia, że nikt nie kontroluje, dokonali ojciec i syn T., u których znaleziono 500 szt. pustaków „Alfa" oraz 79 worków wapna. Prokurator ojcu Henrykowi T. zarzuca, że skradł (był kierowcą w tymże PTSB „Transbud — Łódź") pustaków na sumę 100 tys. zł, a jego syn Adam T. — 200 worków wapna wartości 70 tys. zł. Obaj upierają się, że wzięli jedynie tyle, ile znaleziono na działce Henryka T.

Do szajki przestępczej dołączył także kierowca z tegoż „Transbudu — Łódź". Litując się nad kolegą, który się akurat budował i narzekał na brak materiałów budowlanych, zawiózł mu 1.000 sztuk cegły dziurawki biorąc za nią 14 tys. złotych. W ogóle kierowcy byli ludzcy i nigdy nie stosowali taryfy paskarskiej. Żądali okrągłych sum: 10 tys., 14 tys., choć cegła i wapno kosztują dużo drożej.

W śledztwie wszyscy się przyznali do kradzieży. Jedynie odbiorcy, którzy będą także odpowiadać przed sądem, twierdzą, iż nie zdawali sobie sprawy z faktu, że nabywają towar nielegalnie. Ich słowom przeczy jednak logika. Przecież widzieli jakie samochody wjeżdżają na ich posesje i widzieli także, że na tych samochodach jest umieszczony napis wskazujący na przynależność do państwowego przewoźnika, w tym przypadku do PTSB „Transbud — Łódź".

Pocieszające w tym wszystkim jest jedynie to, że odzyskano prawie cały skradziony towar. Jedynie Adam T. i Henryk T. zdążyli część swoich łupów ukryć lub odsprzedać, bowiem za nic nie chcą się przyznać do zarzucanych im przez prokuratora ilości zagarniętych cegieł i wapna.

Proces wkrótce.

EUGENIUSZ IWANICKI

Alfama wznosi się nad Lizboną

MARIA MAGDALENA STARZYCKA

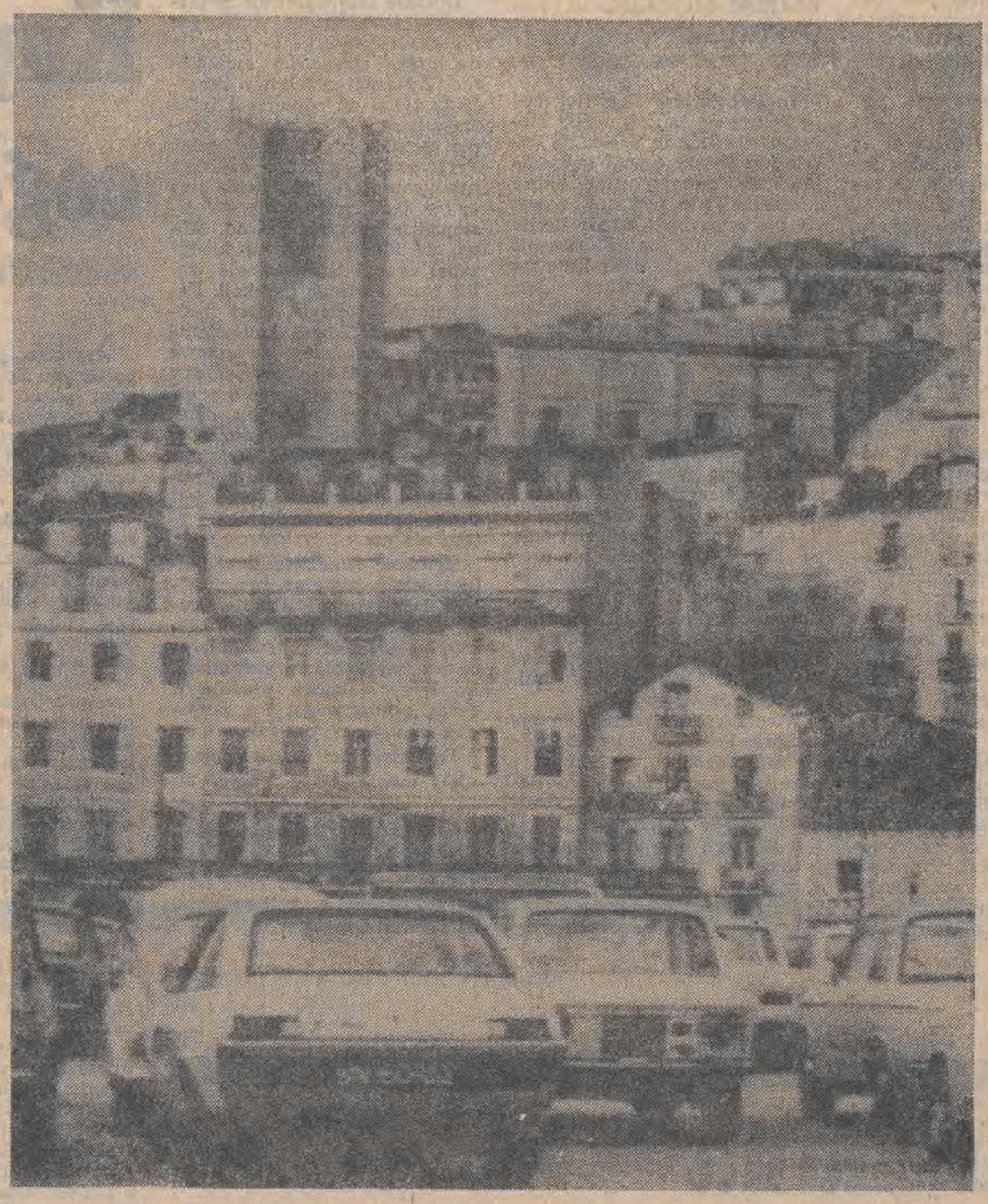

Naturalne pofałdowanie terenu, na którym leży Lizbona spowodowało konieczność wprowadzenia do komunikacji miejskiej niezwykłych środków transportu: kolejek linowych i... wind ulicznych. Urzędzenia te są na ogół bardzo stare, nadają jednak swoisty koloryt miastu. Niektóre z nich obchodziły swoje stulecie rok temu i z tej okazji w prasie było wiele wspomnień i artykułów.

Wysmukła wieża metalowej windy miejskiej, która wynosi pasażerów z serca handlowego Lizbony na poziom górnego miasta, czyli pobliskie wzgórze, została zaprojektowana przez Gustawa A. Eiffela i jest chyba równie wyjątkowym w Europie elementem dawnej architektury technicznej, co jej słynna kuzynka paryska.

Kursują tu także bardzo stare tramwaje i nowoczesne autobusy obok starszych i wysłużonych „piętrusów". Jest także metro, wybudowane dwadzieścia pięć lat temu i znajdujące się jeszcze w rozbudowie.

W mieście uderza niezwykła ilość aut, które wciskają się wszędzie, nawet w wąskie uliczki o wprost nieprawdopodobnym spadku. Często spotyka się miejskie autobusy, które nie mogą „zmieścić" się na zakręcie wąskiej uliczki, zawalonej parkującymi samochodami. Prowadzą je cierpliwie amatorzy-pomocnicy, rekrutujący się z pasażerów autobusu. Pokrzykują do kierowcy i wymachują rękami: teraz trochę w lewo, teraz stop, teraz w prawo, do tyłu. Cierpliwość lizbońskich kierowców jest godna podziwu.

TO MOGŁO ZDARZYĆ SIĘ TYLKO W LIZBONIE

Cierpliwość i życzliwość spotyka się tu na każdym kroku. Zapytany o drogę Portugalczyk jest z reguły uprzejmy i stara się być jak najlepszym informatorem. Nie jest też wścibski. Przez miesiąc poruszałam się po mieście ciągle pytając o różne rzeczy na ulicy, w sklepach, i dopiero po miesiącu ktoś zainteresował się skąd jestem.

W Lizbonie w pierwszych dniach pobytu zdarzyła mi się przygoda, która mogła się zdarzyć tylko tutaj! Byłam w śródmieściu po raz drugi i postanowiłam zmienić trasę powrotu, wyczytałam, że inny autobus też przejeżdża przez moją dzielnicę. Pasjonowało mnie zwiedzanie miasta. Autobus wyruszył i wkrótce wyjechaliśmy ze śródmieścia. Wspinaliśmy się na jakąś górkę, potem zjechaliśmy, potem były następne górki i podróż wydłużała się. Za oknem widać było wykwintne domy zanurzone w egzotycznej dla mnie roślinności, kiedy indziej biedne rudery sprawiające wrażenie, że zawalą się, jeśli nie dziś, to na pewno jutro, a my ciągle jechaliśmy. Zmierzchało. Zaczęłam niepokoić się, czy aby moja skromna portugalszczyzna nie spłatała mi figla i czy rzeczywiście jadę we właściwym kierunku. Ciągle nie widziałam mojej dzielnicy. Zapytałam więc bliżej stojącego starszego pana, czy dojadę autobusem do Alei Odkrywców. Pan się zmartwił wyraźnie i powiedział, że nie, że powinnam przesiąść się. Właśnie dojechaliśmy do przystanku, więc przestraszona wysiadłam i znów zaczynam studiować opisy tras autobusowych. Autobus już odjechał. Poczułam się nieswojo. Dzielnica nie należała do sympatycznych.

Nagle ktoś trąca mnie w ramię. Patrzę: ten sam starszy pan z autobusu.

— *Przepraszam panią, ja się pomyliłem, kierowca powiedział, że jedzie przez Aleję Odkrywców, proszę więc wsiadać, autobus stoi za rogiem i czeka!*

TRZEBA BYĆ OSZCZĘDNYM

Escudos nie jest walutą silną, jednak w dość ubogim kraju wszyscy starają się oszczędzać. Pensje nie są wysokie, sklepy pełne towarów i trzeba być rozsądnym człowiekiem, aby dać sobie radę z budżetem domowym. Wszystko drożeje, mówi się o inflacji, która jest skrupulatnie obliczana i co roku dodaje się pewien procent do pensji. Oczywiście ten obraz nie jest zbyt jednolity, bo w pewnych gałęziach przemysłu problemem bardzo poważnym są pensje „opóźnione". Po prostu niektórzy robotnicy dostają tylko część pensji, a reszta im się należy gdzieś, kiedyś. Jest to bodaj jeden z najbardziej dojmujących problemów społecznych i najbardziej jednocześnie „wstydliwy".

Teraz zresztą przeprowadza się reformę ekonomiczną, wszędzie można spotkać na ten temat objaśnienia w prasie, telewizji. Jedni wierzą w jej skuteczność, inni zachowują rezerwę lub żartują sobie z niej.

Przysłuchuję się rozmowie Polek. Dla tej, która jest tu przelotem, turystycznie wszystko jest tanie, wspaniałe. Ta, która tu mieszka na stałe, wyszła za mąż za Portugalczyka i ma dziecko, prowadzi normalny dom, zauważa z sarkazmem:

— *Patrz, jak ona nie ma pojęcia o niczym, nie wie ile tu kosztują rzeczy, które u nas w Polsce po prostu nie istnieją ekonomicznie: podatki, koszt wody, energii, lecznictwa, transportu, szkoły! A ile tu kosztują książki? Prasa?*

Jedynie tanie jest tu wino i owoce.

NA ULICY I W OGRODZIE

Pamiętam zdziwienie, kiedy po pierwszym dniu pobytu wyszłam do ogrodu i nie znalazłam ani jednego znajomego drzewa, nie licząc grubosza drzewiastego, który był mi znany z doniczki, a tu rósł w postaci krzewu znacznie mnie przerastającego. Potem objaśniono mnie:

— *To jest pieprzowiec, to jest cytryna, to pomarańcza, a to mandarynka!*

Drzewa były wówczas pozbawione owoców. Były dla mnie nie do odróżnienia. Przechodząc ulicą nadepnęłam na coś miękkiego. Okazało się, że to była figa. Za wysokim ogrodzeniem krył się ogród i z gałęzi na ulicę spadały owoce. W ten sposób można nagle zauważyć pod stopami oliwki lub inne egzotyczne owoce.

Targi owocowe są ogromne. W powietrzu unosi się zapach pomarańcz. Ulica zastawiona samochodami, zaśmiecona odpadkami. Krzyk i zgiełk trudny do wytrzymania. Z dala wygląda to na jakiś straszny kataklizm, ale wszystko mija o określonej porze, pozostają tylko śmiecie leniwie uprzątane przez dozorcę.

Aleja Wolności (Avenida da Liberdade) jest szeroką, wielopasmową ulicą z zieloną aleją pośrodku. Po bokach wielkie budynki, nieco jeszcze secesyjnych, trochę z lat międzywojennych i nowa olśniewająca marmurami i szkłem architektura. Budynki z bezszelestnie otwieranymi drzwiami, szklanymi lub lustrzanymi. Zapraszają do wnętrz domy handlowe, do których tu się chodzi nie tylko po zakupy. Te bardziej luksusowe są pełne zieleni, palm, roślinności kolorowej, czasem fontanna się trafi, oferują zmęczonym rozrywkę: kina, kawiarnie, wszelakiego rodzaju usługi gastronomiczne od przegryzienia na stojąco wypiekanych specjałów, po zaciszne i ekskluzywne restauracje. Portugalczycy lubią jeść i celebrować jedzenie po trosze jak i my. Za to w uwielbieniu słodyczy są niepokonani. Można dostać zawrotu głowy, gdy się wejdzie do cukierni...

NA SPACER DO DOMU HANDLOWEGO

Domy handlowe są czynne okrągły tydzień, w niedzielę też. W niedzielę jest tłumnie, ale uwagę zwracają ludzie, którzy nie przyszli, żeby kupować, ale żeby popatrzeć. Sądzę, że jest to obyczaj, który wynika z potrzeb estetycznych człowieka a dla nienawykłych do obcowania ze sztuką wystarcza. Moi gospodarze zaproponowali mi którejś niedzieli wieczorem:

— *Jeszcze nie byłaś w Fonte Nova, chodź, pojedziesz z nami, zobaczysz.*

Jedziemy ich świecącym srebrną farbą opiem-corso do pobliskiego podmiejskiego osiedla. Jadę przekonana, że oni chcą zrobić zakupy, ja zaś zobaczyć jakieś cudo nieznane. Okazuje się, że jesteśmy uczestnikami powolnego pochodu wewnątrz oryginalnej budowli ze schodami ruchomymi, z olbrzymim, dominującym nad całością, wkomponowanym wewnątrz drzewem palmowym i fontanną. Pochód zdąża na ogół w jednym kierunku. Panowie i panie odświętnie ubrani oglądają szklane wystawy: złoto, meble, ubrania, porcelanę, samochody. Młodzież gromadzi się przy urządzeniach elektronicznych. Jest prawie cicho lub dolatuje muzyka z przebojami sezonu.

Kiedy w październiku 1985 roku po raz pierwszy znalazłam się w dość ciasnej uliczce przejściu między dwoma najważniejszymi placami w Lizbonie miałam uczucie, że jestem albo w domu wariatów, albo w piekle. Zebrało się tu około kilkudziesięciu osób, kobiety i mężczyźni. Stali w różnych pozycjach, jeden od drugiego na odległość jednego, dwóch metrów i krzyczeli.

Każdy z nich krzyczał jakby go ze skóry obdzierano i wymachiwał kolorowymi kartkami. Co krzyczeli trudno zgadnąć, bo wzajemnie się zagłuszali. Po chwili zorientowałam się, że byli to sprzedawcy losów na loterię i widocznie było to, z niejasnych dla mnie powodów, najlepsze miejsce na ich sprzedaż.

ŻEBRACY

Na dwóch placach Rossio i Figueira zgromadziły się niezwykłe ilości kalek. Wszyscy oni żebrzą. Są tacy, którzy tkwią na chodniku od krywając kikuty swoich nóg lub rąk. Są tacy, którzy wystawiają kartki opisujące beznadziejność swego losu. Zdarzają się bezrobotni proszący o wsparcie. Ostatnio przy wejściu do metra pojawili się młodzi chłopcy i dziewczyny ze smętnymi twarzami dyżurujący pojedynczo przy kartce, która obwieszczała: *„Nie mam za co kupić jedzenia ani biletu powrotnego do Niemiec".*

W niesłychane osłupienie wprawił mnie młody człowiek, który zaczepił mnie mówiąc, że chciałby abym pomogła mu znaleźć coś do jedzenia. Wyglądał inteligentnie, na studenta, pomyślałam, że to może jakiś cudzoziemiec, który pyta mnie o najbliższą restaurację, bo zwrócił się do mnie pół po portugalsku, pół po angielsku. Okazało się, że nie, że chce wsparcia. Odpowiedziałam więc, że źle trafił, bo sama jestem bez pieniędzy. Przepraszał z niejakim zawstydzeniem.

W tłumie zarobkujących na ulicy zobaczyłam niezwykłego artystę. Jest to człowiek, który udaje manekina. Z dala zauważyłam zbiegowisko, nad którym górował manekin ustawiony na wysokim obramowaniu kwietnika. Zdziwiłam się, co ludzi skupiło wokół niego, bo nic szczególnego nie dostrzegałam. Kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że to człowiek w kompletnym bezruchu ustawiony w sztucznej pozycji sklepowego manekina, nieco pochylony do przodu, nawet mu oko nie drgnęło. Na twarzy konwencjonalny uśmiech kukły, obok wysłużony kapelusz, do którego ludzie wrzucali monety. Właśnie ktoś wrzucił jakąś monetę, manekin drgnął i jak automat na sprężynach, gestem tylko jednej ręki, która jakby miała swoje osobne życie, podziękował. Ludzie często wrzucali grosz, aby zobaczyć jak zareaguje.

Opieka socjalna jest w tym kraju słabo rozwinięta. W gazecie wyczytałam, że jedna czwarta porodów odbywa się poza szpitalem. Obserwuję też powszechny obyczaj „leczenia się w aptece". Ludzie przychodzą do apteki, opowiadają, co im jest i kupują leki, które zaaplikuje farmaceuta. Pominięcie lekarza jest czystą oszczędnością, często bowiem ubezpieczenie obejmuje tylko pewną zniżkę opłat za wizytę lekarską. Znajoma lekarka, której mówiłam o tych spostrzeżeniach odrzekła, że to przyzwyczajenie jeszcze z czasów sprzed rewolucji, kiedy dostęp do medycyny był dla większości o wiele trudniejszy.

ANALFABECI

Spostrzegam na poczcie wywieszony przez urzędnika znaleziony dowód osobisty jakiejś Portugalki, na zdjęciu widać sympatyczną panią w wieku 50—60 lat, uśmiechniętą. Twarz ma podobną do tych, które można zobaczyć na ulicy, przeciętną. Pod zdjęciem miejsce na podpis, zamiast niego jednak gotowy stempel, widać używany w takich wypadkach: *„Nie umie się podpisać"*.

Znajoma z uniwersytetu opowiedziała mi o pewnej analfabetce. Pytała ją jak sobie radzi w dużym mieście, jak na przykład odróżnia stacje metra, które wydają się identyczne. Pani odpowiedziała:

— *Mam swój system. Kiedy wysiadam na stacji ARROIS, wiem, że to będzie ta stacja, która ma twarz.*

Dwa „o" przedzielone przez „!", to oczy z nosem pośrodku.

SPOTKANIE Z PREZYDENTEM

Charakterystyczną cechą ulic lizbońskich są napisy i malunki na parkanach i murach domów. Począwszy od takich, które projektowane są z widocznym smakiem artystycznym, aż do spontanicznej twórczości polityczno-artystycznej. Utrwalił mi się w pamięci obraz Lizbony z czasów kampanii przedwyborczej. Przyjechałam do Lizbony na kilka tygodni przed wyborami. Ulice były pełne zdjęć czterech kandydatów na prezydenta, pełne haseł popierających tego lub innego. Widać było aktywność lewicy. Dla postronnego obserwatora, surowego, nie łączącego jeszcze twarzy polityków ze sławnymi nazwiskami, był to obraz w pewien sposób abstrakcyjny.

Po dwóch tygodniach pobytu w Lizbonie wracałam wieczorem z uniwersytetu wąską uliczką położoną obok parku Campo Grande. Zatrzymałam się po drodze przy witrynie księgarni i ruszyłam dalej, aby przejść na drugą stronę, dość wąskiej, przecznicy. Nagle zajechały samochody i cały narożnik został zastawiony tak dokładnie, że zdumiona nieposzanowaniem kodeksu drogowego stanęłam zastanawiając się jak przejść między nimi. Z samochodów wysypało się eleganckie towarzystwo. Dwa metry przede mną stanął starszy pan. Był to moment, kiedy on i ja staliśmy naprzeciw siebie, on zapewne zaskoczony moim wrośnięciem w ziemię, w mojej zaś głowie kołatała się myśl: przecież tego człowieka znam, ale skąd? Potem: nie, przecież nie znam nikogo w Lizbonie. Wreszcie, jakby z automatu wyskoczyła informacja: *„Um presidente um amigo"*. Zrozumiałam, to pan uśmiechający się z plakatów w całym mieście z tym napisem. Kiedy wróciłam do domu, spytałam gospodarzy rzucając hasło z plakatu: *„Kto to jest — um presidente, um amigo?"*

— *Prezydent, który jest przyjacielem*, odpowiedzieli prawie chórem: *Mario Soares.*

W ten sposób „poznałam" najważniejszego, jak się potem okazało kandydata na prezydenta.

ALFAMA WZNOSI SIĘ NAD LIZBONĄ

Przerywniki reklamowe podczas seansów telewizyjnych przenikają do głowy bez udziału świadomości. Sama łapię się na tym, że określone produkty kojarzą mi się natychmiast z pewnymi natrętnymi melodiami i kiedy przechodzę od stoiska do stoiska w „samie", brzęczą mi w głowie różne melodie. Sądzę, że gdyby ludzie się trochę rozluźnili psychicznie „samy" byłyby pełne śpiewających klientów z koszyczkami.

Aby odpocząć od zgiełku ulicznego i wyzwolić się od miejskiej reklamy i jednocześnie nacieszyć się pięknem miasta, wybieram się zwykle na jeden z punktów widokowych — miradouro. W sezonie pełno tu hałaśliwych turystów, zaś poza sezonem staruszków lub par zakochanych. Na różnych wzgórzach lizbońskich stworzono takie oazy spokoju, skwery, parki z ławkami, zwykle na szczycie góry otoczonej balustradami. Siedząc tu na ławce można czuć się jak na balkonie w pierwszym rzędzie gigantycznego teatru z widokiem na scenę, w której mieści się niebieski Tag, kąpiący się w sinej mgle oceanu. Statki, całe miasto u stóp.

Najpiękniejsze są widoki z zamku Sao Jorge, wznoszącego się ponad Alfamą, najstarszą dzielnicą która szczęśliwie przetrwała apokaliptyczne trzęsienie ziemi 1 listopada 1755 roku.

Każdy odwiedzający stolicę Portugalii turysta styka się z tą tragiczną historią, ponieważ ponad kolorowym i hałaśliwym miastem ciągle góruje niema pamiątka w postaci nagich łuków gotyckiej świątyni, tylko one się ostały, reszta kościoła runęła grzebiąc wiernych zgromadzonych na nabożeństwie.

Alfama, ta malownicza dzielnica wabi turystów starą zabudową, uliczkami tak wąskimi, że zda się mieszkańcy domów po obu stronach ulicy mogliby podać sobie ręce stojąc na własnych balkonach. Ponad Alfamą wznosi się majestatycznie góra z zamkiem pamiętającym jeszcze czasy Maurów.

Lizbona, maj 1986 rok.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(7)

Chwyt odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

1.

Zmarzłem na Piramidach. Wziąłem zatem w hotelu długi, gorący prysznic. Połknąłem dwie aspiryny, wszedłem pod koc i rozpamiętywałem rozmowę z konsulem.

Ale prawdziwą moją obsesją był Roman.

Dlaczego wraca tak wcześnie do kraju? Coś go chyba musiało przerazić. Choroba? Sekretna informacja? Złowróżbny zbieg okoliczności?

2.

Nazajutrz, w niedzielę, rozciągnęła się przede mną perspektywa samotnego dnia. Żadnych spotkań, żadnej wycieczki. Wsiadłem w metro przy placu Powstańców i zabiłem dwie godziny studiując podziemną geografię miasta. Wróciłem do hotelu i znowu wyszedłem, aby krążyć bez celu po okolicznych uliczkach. Na targu owocowym zafundowałem sobie kokosa. Handlarz ociosał go sprawnie, wyciął w nim ostrzem noża otwór i wpakował do środka słomkę.

— *Pij pan* — powiedział. — *Dobrze robi na wzmocnienie uczuć rodzinnych.*

Odwiedziłem jeszcze park przy Pomniku Matki. W dni powszednie roi się tam od dzieciaków, w niedzielę biorą go we władanie artyści. Kupisz rzeźbę, kupisz obraz olejny i każde w ogóle dzieło sztuki, które trąci z reguły tandetą, ale czasem trafi się rarytas.

W hotelu zacząłem uzupełniać notatki.

Znowu myślałem o Romanie. Nie była to troska, lecz ohydna niezaspokojona ciekawość, pomieszana z żalem, iż umknęło mi coś ważnego, iż czegoś nie dowiem się już nigdy.

Za kilka godzin wyląduje w Warszawie. Tak czy owak, postanowiłem zajrzeć w poniedziałek do oficyny LOT-u przy Paseo de la Reforma, na wypadek, gdyby jednak został i bukował bilet na środę. O dziesiątej miałem wyznaczone spotkanie ze wspomnianym już przywódcą Partido Socialista Unificado de Mexico, Przewodniczącym Niezależnego Związku Zawodowego Robotników Rolnych i Chłopów. Potem, około południa, byłem wolny. Pójdę zatem do LOT-u i zrobię w sprawie Romana ostatni krok.

3.

Tołstoj twierdzi, że o ile sen poobiedni jest srebrem, to sen przed obiadem można jedynie porównać do złota. Drzemałem więc o pustym żołądku, aby się trochę wzbogacić wedle złotej recepty genialnego pisarza. Do rzeczywistości przywołał mnie dzwonek telefonu.

Podniosłem mikrofon i okazało się, że Tołstoj miał rację.

— *Pan Makowiecki?*

— Tak.

— *Dzień dobry.*

— Dzień dobry — powiedziałem wsłuchując się pilnie w obcy, lekko arogancki głos.

— Kto mówi, przepraszam bardzo?

— *Nie wie pan?*

— Nie.

— *Ej!* — zaciągnął wesoło głos. — *Podróżowaliśmy razem samolotem z Moskwy.*

— Pan Roman?!

Była chwila przerwy, a potem padło:

— *Jasne.*

— Boże święty! Szukałem pana w hotelu przy Rio Lerma.

— *Kiedy?*

— W środę.

— *To źle pan szukał. Spałem tam ze środy na czwartek. Czekałem na pana w dwuosobowym pokoju. Zostawiłem w nocy drzwi otwarte, żeby mógł pan w razie czego wejść.*

— Pan kłamie! — huknąłem. — Byłem w Marii Cristinie i nie znalazłem pańskiego nazwiska w książce gości.

— *Bo i nie mógł pan znaleźć* — rechotał Roman — nie-Roman. — *Zauważył pan chyba, że w Meksyku hotelarze nie sprawdzają nikomu paszportów.*

— I co z tego?

— *Nic. Zameldowałem się po prostu na pańskie nazwisko.*

Bezczelność zaiste szokująca!

Zauważyłem sucho:

— Czyli owej nocy spało w Dystrykcie Federalnym dwóch Makowieckich?

— *Gniewa się pan?*

— Nie. Ale skąd wytrzasnął pan mój telefon?

— *Podali mi w ambasadzie.*

— Kto?

— *Jakiś facet. Spotkamy się, panie Andrzeju?*

— Oczywiście. Gdzie pan jest?

— *Przy tej wysokiej wieży z zegarem.*

— Więc niech pan wsiądzie na Reformie w pierwszy lepszy autobus i...

Czyjś melodyjny tenorek wyartykułował parę słów po hiszpańsku i połączenie zostało przerwane.

Roman dzwonił z ulicznego automatu. Niegdyś płaciło się za taką rozmowę dwadzieścia centavos, obecnie, wraz z galopującą inflacją, nominał ten został wycofany z obiegu i w ogóle nie istnieje. Przystosowanie aparatów do nowych, wyższych opłat kosztowałoby na terenie całego Meksyku miliardy. Nękany kryzysem kraj nie może sobie na to pozwolić. Powinien więc zakleszczyć i unieruchomić wszystkie uliczne automaty. Tak postąpiłoby z pewnością każde inne państwo. Ale Meksyk tego nie zrobił. Meksyk powiedział swoim obywatelom: — *Telekomunikacja jest bezpłatna. Dzwońcie za darmo.* — I obywatele dzwonią za darmo. Turyści także. I żaden, ale to żaden aparat nie został, do ciężkiej cholery, zdewastowany lub zepsuty. Nie widać, jak w Polsce, pourywanych sznurów i wybebeszonych przewodów. Wszystkie działają. Na wszystkich jest napis: NIE KRZYWDŹ MNIE. MOGĘ BYĆ ZARAZ POTRZEBNY.

Tylko w Polsce naród zionie nienawiścią do mienia społecznego i demoluje ze ślepym okrucieństwem swoje własne dobro tak, jak samuraj rozpruwa swój brzuch. Harakiri. Zbiorowe samobójstwo. W zrujnowanych parkach, w autobusach i pociągach z siedzeniami porżniętymi żyletką, na zbeszczeszczonych cmentarzach i sponiewieranych klatkach schodowych, w windach z poobdzieranymi drzwiami i wytłuczonymi szybami, w zaświntuszonych kinach i telefonicznych budkach.

W Meksyku jest podobno dużo bandytów. Ale bandytyzm to zawód, nie samobójstwo. Nawet bandzior musi nieraz zadzwonić. Toteż w Meksyku działają wszystkie uliczne automaty. Działają jednak wedle starych nawyków. Po trzech minutach połączenie zostaje przerwane. Koniec. Nie ma Romana. Byłem wściekły na swoje rozwiązłe, niegodne mężczyzny gadulstwo. Przeżyłem kilkanaście sekund trwogi. Wtedy znowu zaterkotał telefon.

Mówiłem teraz jednym tchem:

— Pojedzie pan dwa przystanki Reformą i wysiądzie przed pomnikiem Indianina. Po prawej stronie zobaczy pan plac, a na placu monument: matka z dzieckiem u piersi. Będę czekał na pana u stóp monumentu. Trafi pan?

— *Bez obawy, panie Andrzeju. Trafię.*

4.

Był w tej samej zielonkawej koszulce z krótkim rękawem i trzymał w garści tę samą prostokątną dyplomatkę. Nie wyglądał na przegrańca — raczej na gościa, któremu się powiodło, a drobna przeszkoda na drodze nic nie znaczy.

Poszliśmy na obiad do hotelu Compostella. Pytałem:

— Kiedy pan wraca?

— *W środę.*

Nie wspomniałem, że wiem, iż chciał wracać w sobotę. Nie wspomniałem również, że zderzył się na lotnisku z konsulem.

— Był pan w ambasadzie amerykańskiej?

— *Tak.*

— A ja słyszałem, że oni nie dopuszczają nawet do drzwi, gdyż podłożono im niedawno bombę. Dostał pan wizę?

— *Nie. W czwartek poleciałem samolotem do Monterrey.*

— Ile to kosztuje?

— *Czterdzieści parę dolarów.*

Wziąłem hotel, a w piątek rano ustawiłem się w kolejce pod konsulatem Stanów Zjednoczonych.

— To prawda, że w Monterrey jest duszno i upalnie?

— *Prawda. Człowiek myśli, że załatwi wszystko według planu, a tu zaczyna dręczyć go pragnienie i nagle to, co było ważne, przestaje być ważne; liczy się tylko szklanka wody.*

— Żałuję, że nie zabrał mnie pan ze sobą — powiedziałem. — Chciałbym zobaczyć, jak wygląda ten konsulat w Monterrey i chętnie obejrzałbym sobie granicę. Był pan również na granicy?

— *Byłem.*

Mówił jak człowiek, który nie ma nic do ukrycia i nie boi się niczego. Zastanawiał mnie. Do dziś jest dla mnie zagadką. Wiedział, że rozmawia z reporterem, a przecież zdał mi drobiazgową relację ze wszystkich swoich kroków i skąd my to znamy? Spali pod murami, żeby wywalczyć sobie dobrą pozycję w kolejce.

Roman przyszedł wprost z hotelu, o ósmej rano (piątek) i tak lawirował, że był osiemnasty. Wypełnił papiery, ale wizy nie dostał. Urzędnik chciał go poczęstować zwyczajowym stemplem, gdyż Amerykanie postępują na całym świecie tak samo. Wówczas Roman wyrwał mu paszport i wcisnął do ręki pięć dolarów, dzięki czemu jest czysty — nie ma śladu, że ubiegał się o wyjazd do USA.

Wypił w barze dwie butelki coca-coli, po czym udał się do największej w mieście fabryki tekstylnej. W kadrach (w Meksyku również są takie komórki) poinformowali go, iż nie mają na liście płac żadnego Polaka. Otrzymał radę: „*Jeśli mieszka i pracuje w ogóle jakiś Polak w Monterrey, znajdzie go pan w Centralnym Urzędzie Zatrudnienia*".

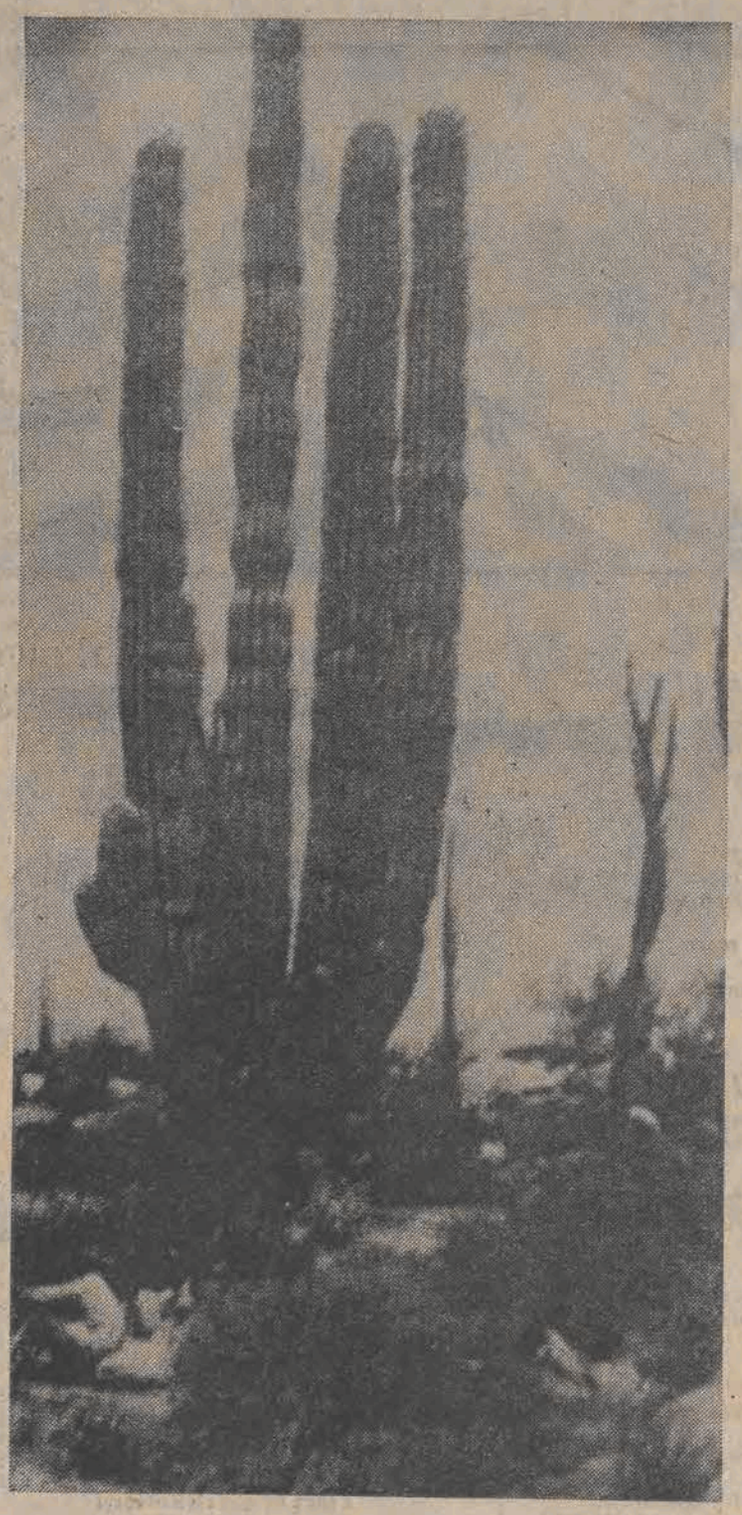

5.

Pod konsulatem USA w Monterrey koczowały setki Meksykanów. Nie brakło innych Latynosów i Azjatów. Niektórzy czekali całą noc — poczynań. No... prawie ze wszystkich.

Poszedł tam i nie znalazł. Był zdziwiony, gdyż ten chłopak, szybownik, który leciał z nami na trasie Moskwa — Meksyk, twierdził, że ma w Monterrey zaprzyjaźnioną polską rodzinę.

Został więc Romanowi w odwodzie tylko taksówkarz, polecony mu wcześniej w kraju. Pół-Polak — pół-Meksykanin, były bokser o hiszpańskim nazwisku i przyzwoitej znajomości polskiego.

Spotkali się i Roman mówi:

„*Chcę iść*".

„*Gdzie?*"

„*Tam*". — palec Romana wskazał północ.

„*Przez mokrą granicę*"?

„*Tak*".

„*Hombre, ty chyba zwariowałeś*"!

No i bokser zaczął Romana ze wszystkich sił odwodzić. Nie wolno, człowieku! W żadnym razie! Cała masa ludzi ginie w Rio Bravo. Polacy też. Niedawno w okolicach Ciudad Juarez zamordowano chłopkę z dwojgiem dzieci; pochodziła bodajże z Wybrzeża. Wcześniej zastrzelono w rzece dwóch polskich studentów.

Kiedyś, owszem, można było próbować. Ale teraz nie ma już bezpiecznych przejść. Wszędzie są psy, wszędzie siatki, wszędzie karabiny, a wszystko przez tego cholernego Reagana, który wydał wojnę narkotykom.

„*Dobra*", powiedział Roman. „*Pojedziemy twoją taksówką*".

„*Dokąd*"?

„*Do Laredo albo do Reynosy*".

„*Będziesz musiał zapłacić sto dolarów*".

„*Osiemdziesiąt*", powiedział Roman.

Bokser zgodził się na dziewięćdziesiąt. Nim wyruszyli, odwiedzili jeszcze hotel, w którym Roman spędził ostatnią noc i zostawili w depozycie czarną, prostokątną aktówkę Romana (jeden klucz ma recepcjonista, drugi zabierasz ty — sejf otwiera i zamyka się wyłącznie przy równoczesnym użyciu obydwu kluczy). W aktówce był paszport, bilet lotniczy i większość dolarów w skrytce, której nie odkryłby żaden celnik. Skonstruował ją za tysiąc pięćset złotych pewien warszawski macher. Specjalistów bierze zwykle więcej, ale Roman obiecał przywieźć mu z Meksyku srebrną monetę. Macher powiedział, że jeśli Roman dotrzyma obietnicy, zrobi mu bezpłatnie dwie piękne skrytki w butach. Lewizna musi lewiznę popierać, bo w przeciwnym wypadku zatriumfowałby na świecie ład i porządek, proszę państwa. Tak jest!

6.

Czułem podziw dla poczynań Romana. Ale zacząłem także podziwiać opieszale konsula Jerzego Kwiatkowskiego, który twierdził w sobotę, iż Roman był z całą pewnością na granicy. Mówił: — *Dobry amerykański krążownik z dwoma kierowcami może pokonać trasę ze stolicy do Laredo w dwanaście — trzynaście godzin, pod warunkiem, że nie będzie się zatrzymywał, jedzenie i picie w biegu, szybkość: sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.*

Roman wybrał samolot do Monterrey. Stamtąd było już blisko. Odwiedzili najpierw jakąś górską przełęcz, gdzie wiało ciszą i grozą, a potem stoczyli się do miasta, w którym również panowała cisza. Nie zaczął się jeszcze długi, amerykański weekend. Gringos mieli dopiero ściągnąć późnym wieczorem i nazajutrz, aby zapełnić hotele i napić się w barach taniego alkoholu. Meksyk jest dla pijaków z USA tym, czym była jeszcze niedawno Polska dla Szwecji.

Roman przyznaje, iż miał spadek samopoczucia i że przechodził ten stan po raz pierwszy w życiu. Zasieki nad rzeką przywodziły na myśl berliński mur, ale były także podobne do ogrodzeń w obozach koncentracyjnych. Most wyglądał ponuro i strasznie.

Nie sądzę wszelako, aby krajobraz był jedynym powodem, dla którego Roman zdecydował się wrócić. Przeraziło go zapewne coś innego. Co? Nie powiedział mi o tym. Szczerość ma swoje granice.

— *Pogadamy, jak spotkamy się w kraju.* — Zmrużył oko znad talerza z nie dojedzonym mięsem. Pił kawę bez entuzjazmu. Jak przystało na sportowca, nie palił.

— Może pan wyświadczyć mi przysługę? — zapytałem.

— *Jaką?*

— Niech pan zatelefonuje do „Odgłosów" i powie, że jest szansa, iż zostanę tydzień dłużej.

— *Z kim mam rozmawiać?*

— Z Włodkowskim.

Kiwnął głową, ale na ukos, co mogło znaczyć: tak i nie. I odbił:

— *Będzie pan o mnie pisał?*

— Będę — przytaknąłem. — Nic mnie przed tym nie powstrzyma. Mówię to uczciwie i od razu. Nie zamierzam jednak pana krzywdzić: nie podam pańskiego nazwiska... Śmiesznie! Zwykle zna się prawdziwe imię, nie nazwisko; w pana wypadku jest odwrotnie. Nie powiem, gdzie pan pracował i gdzie pan mieszka.

Roman uśmiechnął się. W dalszym ciągu sprawiał wrażenie człowieka, który nic nie przeskrobał i niczego się nie boi.

Bąknął:

— *Ja też będę musiał powiedzieć tu i ówdzie kilka słów.*

— Ooo, bez wątpienia. Ale nie trafił pan tym razem do Stanów.

— *Trafię tam za parę tygodni.*

— Jakim cudem?

— *Żeby otrzymać wizę amerykańską w Warszawie, wystarczy zaproszenie i siedemset dolarów.*

— I komu trzeba je wręczyć?

— *To już moja sprawa.*

— Krótko mówiąc: nie ma na tym podłym świecie ludzi, którzy pogardziliby łapówką.

Roman przytaknął:

— *Nie ma!*

7.

Chciałem partycypować w rachunku, ale powstrzymał mnie. Zapłacił, i to z takim napiwkiem, że kelnerowi najpierw zbielało oko, a potem ugiął się kark.

— *Muchisimas gracias, senor!*

— No hay de que — odpowiedziałem w imieniu Romana. — Na zdrowie, kolego.

Wyszliśmy. Roman poszedł do parku, żeby kupić jakieś obrazy na handel, a ja wróciłem do hotelu. Spotkaliśmy się ponownie o dwudziestej w barze przy James Sullivan. Tym razem ja zapłaciłem rachunek.

Roman mówił z utajoną, wibrującą w głosie pasją:

— *Lubię życie, panie Andrzeju. Lubię jak cholera życie i dlatego wracam do kraju.*

— Ale w ciągu paru dni stracił pan majątek.

— *E tam, majątek! Co to jest te ćwierć miliona złotych i czterysta dolarów. Zwróci się.*

— Kiedy?

— *Jak przyjdą Szwedy, he he!*

I nagle rozmowa siadła. Zabrakło tematu. Nie pytałem, gdzie spędził noc z piątku na sobotę, i dalej nie wspominałem, że widziano go na lotnisku. Konsul mógł sobie tego nie życzyć.

— Mieszka pan nadal w Marii Cristinie?

Zaprzeczył, nie podając aktualnego adresu.

— A gdzie bukował pan bilet na środę?

— *W Aeroflocie.*

Nie skłamał. Gdyby odwiedził biuro Polskich Linii Lotniczych, byłbym o tym natychmiast powiadomiony.

Pożegnałem go na wietrznej i chłodnej ulicy.

— *Och* — powiedział — *może jeszcze zadzwonię.*

Nie zadzwonił. Nie uprzedził „Odgłosów", iż wrócę z tygodniowym opóźnieniem. Nie próbował skontaktować się ze mną w domu (choć jestem już w Polsce od miesiąca). Niebawem jednak miał to zrobić.

Może był zwykłym cwaniakiem, a może kimś zupełnie innym. Na razie pozostaje to dla mnie zagadką.

C.D.N.

Klub Młodych Pisarzy WIADUKT

Notatki do historii Klubu

Z inicjatywy małej grupy ludzi, w latach 1958—60, zaczął rodzić się pomysł powołania ogólnopolskiego forum młodych, próbujących swych sił na polu literatury. W redakcjach „Nowej Wsi" oraz „Zarzewia" powstał Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, nad którym patronat objął Zarząd Główny Związku Młodzieży Wiejskiej.

Idea zorganizowania życia młodoliterackiego, podjęta wiedy przez kilku zapaleńców, miała za cel propagowanie kultury i rozwijanie czytelnictwa wśród ludności wiejskiej. Najważniejszą jednak formą była działalność literacka. Podczas spotkań, początkowo nieśmiałych, dyskutowano nad utworami własnymi, twórczością klasyków literatury — naszej i obcej.

Ogromne zasługi w powołaniu Klubu w Warszawie, a potem w całym kraju, położyli: TADEUSZ CHUDY — obecnie honorowy przewodniczący KKMP, ANDRZEJ GERŁOWSKI, ZDZISŁAW BRUDNICKI oraz ANNA i JACEK KAJTOCHOWIE, a nade wszystko pierwszy przewodniczący Klubu, BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI. W kilka lat później powołano do życia własną trybunę literacką pod nazwą „Regiony". A jeszcze później urzędnicy odebrali pismo KKMP-owcom. I już nie było regionów, była tylko Warszawa.

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy w Łodzi powstał również przy Związku Młodzieży Wiejskiej, w dawnym pofabrykanckim pałacyku przy ulicy Jaracza. Jego założyciele również działali od 1958 roku, ale jeszcze nieformalnie. Dopiero w 1960 roku znaleźli wspólnego patrona. Dziś są członkami Związków Zawodowo-Twórczych, naukowych, są nieustającymi animatorami życia kulturalno-literackiego.

Z luźnych rozmów, niewielkiej już dziś ilości materiałów historycznych, a także wycinków prasowych i fotografii można i należy wymienić osoby, które postanowiły wtedy stawić czoła przeciwnościom. A były takie. To ludzie, którym leżało na sercu umożliwienie młodym twórcom doskonalenia własnego warsztatu literackiego, a także prezentacji swoich własnych utworów poetyckich, prozatorskich i również plastycznych:

TADEUSZ DASZKIEWICZ, MAREK ZŁOCH, MIROSŁAW MIESZCZANKOWSKI, FELIKS RAJCZAK, EWA FILIPCZUK, JERZY JARMOŁOWSKI, HALINA SOBCZAK, ROMAN GORZELSKI, ZIEMOWIT SKIBIŃSKI, DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA, MIROSŁAW KUŹNIAK, WŁADYSŁAW HUZIK, TERESA GABRYSIEWICZ, JANUSZ MIESZCZANKOWSKI, RAFAŁ ORLEWSKI, ADAM PUTO, EDWARD ZYMAN, JANUSZ KRÓLIKOWSKI, MARIA SIWIŃSKA i wielu, wielu, których nie wymienię.

Z Klubem stale współpracowali pisarze: JULIAN PRZYBOŚ, MARIAN PIECHAL, JAN KOPROWSKI, WIESŁAW. JAŻDŻYŃSKI, ZYGMUNT TRZISZKA, WASYL KOCZNOW, JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, JERZY WAWRZAK.

Co robili pierwsi członkowie łódzkiego KKMP? Ich staraniem opublikowano cztery zbiorowe książki, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Do dziś wydali około 120 indywidualnych książek. Organizowali Ogólnopolski Konkurs o „Czółenko Tkackie", który potem obejmuje takie gatunki jak prozę, reportaż, a ostatnio bajkę. Członkowie Klubu zorganizowali Spalski Turniej Jednego Wiersza, który później przerodził się w doroczne Wieczory Młodej Poezji Politycznej, by jeszcze później stać się ogólnopolskim konkursem preferującym tematykę patriotyczną (Łódź 1968) i internacjonalistyczną (Leninowski Konkurs Poetycki „Pokój — Przyjaźń — Praca" 1969). Drukują i ogłaszają jednodniówki literackie, tomiki poezji wydawane w Wydawnictwie Łódzkim, sygnowane przez Klub..

Nazwa „Wiadukt" powstała na początku lat sześćdziesiątych. Podobno kiedyś KKMP-owcy, jadąc na kolejne spotkanie na wieś drogą wyboistą, nad którą snuły się tumany kurzu, wjechali w jakimś momencie na wiadukt drogowy wyłożony dywanikiem bitumicznym. Przez moment odczuli kojącą ulgę i radość. Przestał podskakiwać wiozący ich samochód. Wiadukt był wtedy jakby pewnym symbolem nowoczesności.

Rozpoczął ten Klub swoją działalność przy ZMW. Tam jego rodowód i najpiękniejsze lata zbiorowej pracy, a także indywidualnej twórczości. Powiedzmy zatem słów kilka o jego drugim pokoleniu. Jakby na przekór wszystkim, którzy sądzili, że lata świetności Klubu już nigdy się nie powtórzą. Po rozwiązaniu ZMW, Klub istniał i działał nadal przy Zarządzie Łódzkim ZMS. Dziwny i mało wymowny był to okres dla Klubu. Szybko rodziły się potem różne Federacje Młodzieżowe, które jeszcze szybciej umierały. W tym okresie „Wiadukt" nie ma wiele do odnotowania w swej kronice. Dopiero kiedy powstał Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, zainteresowanie Klubem na nowo odżyło. Z inicjatywy Zarządu Łódzkiego ZSMP powołany został do życia kwartalnik „Do rzeczy", gdzie zaraz od pierwszego numeru znalazło się miejsce na kolumnę literacką Klubu.

Rozgorzały na nowo spory artystyczne. Powróciły warsztaty literackie, które ostatnio były jakby trochę zaniedbane i Klub Młodych Pisarzy miał wreszcie swoją trybunę, na której po wielu latach mógł się wypowiadać i prezentować własną twórczość. Odżyły po przerwie konkursy literackie „Debiuty" i „Czółenko Tkackie", Turnieje Jednego Wiersza, spotkania itp.

W 1978 roku rodzi się pomysł powołania ogólnopolskiego pisma literackiego. Jego inicjatorzy to członkowie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, którego integralną częścią jest „Wiadukt". Początkowo pismo wychodzi za zgodą Zarządu Głównego ZSMP — na powielaczu. Dopiero w 1982 roku Marian Żabiński i Andrzej Żmuda wydeptują ścieżki i uzyskują zgodę na powołanie pisma KKMP, obejmującego swym zasięgiem cały kraj. Wybieramy nazwę „Okolice". Pierwszym redaktorem naczelnym zostaje Andrzej Żmuda z Rzeszowa.

W latach 1979—81 w „Wiadukcie" zachodzą pałacowe zmiany. Zbyt często zmieniają się jego szefowie. W ciągu niespełna czterech lat następują cztery zmiany. Kadencja każdego przewodniczącego trwa około roku. „Wiadukt" tętni życiem i sporami nie tylko artystycznymi. W ich rezultacie przy „Wiadukcie" pozostali: CZESŁAW MARCZAK, BOGUSŁAW WOJTKIEWICZ, KRYSTYNA PANUSZ, KRYSTYNA KONDEK, KRYSTYNA KARLIŃSKA, JACEK KRAKOWSKI, ZDZISŁAW BOGUSZEWICZ, ALICJA DASZKIEWICZ, HALINA FRATCZAK, KRZYSZTOF NOWAK, ANDRZEJ CEZARY SAWCZENKO, KRZYSZTOF OSTASZEWSKI, ELEONORA KARPUK, MARIAN MISZALSKI, ALICJA BIEDA i DARIUSZ WIŚNIEWSCY, JAROSŁAW BORSZEWICZ, JERZY JARNIEWICZ, ANDRZEJ ŁUCZKOWSKI, PIOTR DUNAJCZYK, JACEK CHYLIŃSKI, DARIUSZ CZUBIŃSKI, MAREK BŁASZKOWSKI, KAZIMIERZ ARENDT. Nie sposób wymienić wszystkich. Przeto o wybaczenie proszę tych, których pominąłem.

W 1981 roku następuje kolejny rozłam wśród członków Klubu i po ogłoszeniu stanu wojennego Klub przestaje pracować. Ale na krótko.

W 1982 roku Klub wznawia działalność w Młodzieżowym Centrum Kultury ZŁ ZSMP, którego pierwszym kierownikiem zostaje Jerzy Gicgier. A gorącym zwolennikiem i organizatorem MCK jest ówczesny przewodniczący Wojciech Jabłoński. To za jego kadencji i jego sprawą wiele rzeczy dla Klubu zostało odblokowanych. Z jego inicjatywy Klub ogłasza kilka nowych i ciekawych konkursów literackich. Po raz pierwszy w historii członkowie „Wiaduktu" biorą udział w Ogólnopolskim Zlocie Młodzieży, zorganizowanym w rocznicę Zlotu Młodych we Wrocławiu. W 1983 roku członkowie Klubu ponownie wyjeżdżają do okolicznych wsi z własną twórczością, biorąc udział w tzw. imprezie w walizce.

W 1984 roku wychodzi pierwszy tomik A. C. Sawczenki pt. „A mnie tango" w powołanej właśnie serii „Biblioteka Wiaduktu". Jego mecenasem i sponsorem jest Młodzieżowe Centrum Kultury Zarządu Łódzkiego ZSMP.

W październiku 1985 roku Klub obchodzi 25-lecie swojego istnienia. Z tej okazji Łódzki Dom Kultury funduje członkom Klubu encyklopedie, a Wydział Kultury i Sztuki UMŁ — odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, Honorową Odznakę Miasta Łodzi, oraz nagrody pieniężne Dyrektora Wydziału. Centrum Kultury Młodych finansuje seminarium literackie, a Zakładowy Dom Kultury „Uniontex" udziela swojej siedziby. Po raz pierwszy od wielu lat ukazuje się jednodniówka literacka Klubu. Członkowie „Wiaduktu" w dniu swojego święta w hołdzie łódzkim pisarzom składają wiązanki kwiatów pod pomnikami Juliana Tuwima i Władysława Reymonta. Przygotowany zostaje przez aktorów teatru im. S. Jaracza okazjonalny spektakl poetycki z wierszy członków Klubu pt. „Nie czekajcie na katharsis".

Jakimś cudem udaje się uratować w styczniu i w lutym 1986 roku kontynuację serii literackiej „Biblioteka Wiaduktu". W maju 1986 wychodzą: „Raptularz" Marka Bazyleczuka, „Taka psychika jak ser szwajcarski" Krzysztofa Nowaka, „Pajęczyny i ogniska" Zdzisława Boguszewicza, oraz „Ty jesteś" Alicji Biedy Wiśniewskiej. Są przygotowane następne propozycje do druku w tej serii.

W prezentowanej obok kolumnie literackiej „Wiaduktu", któremu przewodniczy obecnie prozaik — ANDRZEJ KRAKOWSKI, przedstawiona jest grupa najmłodszych, obecnie działających i tworzących członków Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt". Przyjrzyjmy się ich twórczości.

KAZIMIERZ ARENDT

Beata Sikorska

Sztuka życia

Istniejemy sobie
cichutko
szufladkując
kolejne pojęcia
przejść przez życie
nikogo nie krzywdząc
i nie będąc krzywdzoną
giniemy
w codziennych kompromisach
chylimy głowy
przed cudzymi słowami
modlimy się do obcych Bogów
prosząc świt
o rozgrzeszenie
a chciałoby się krzyknąć
Wszystko...

Albo Nic

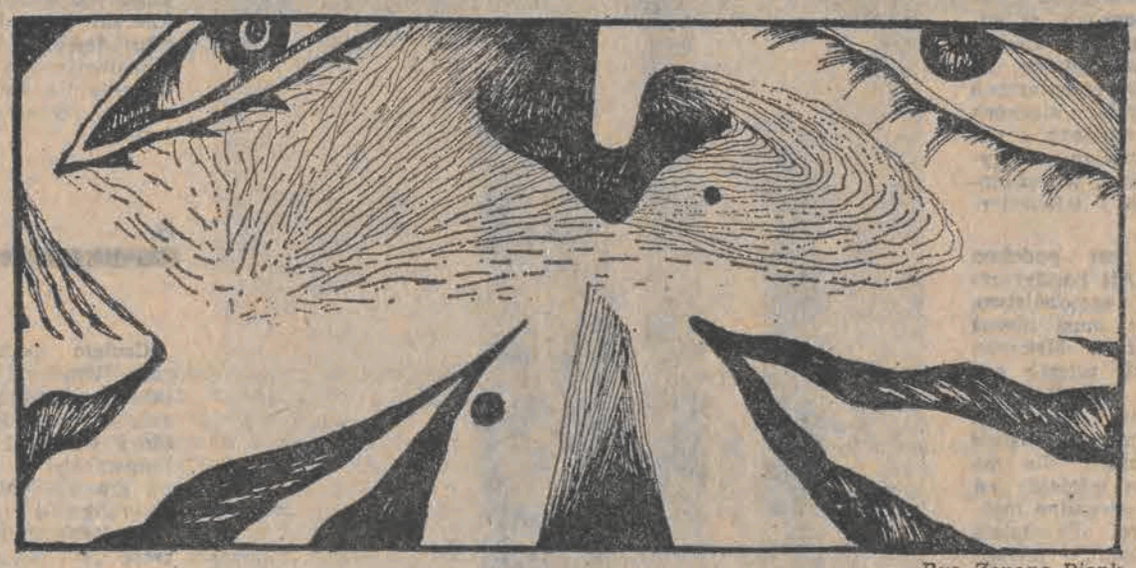

Rys. Zenona Pionk

Krystyna Kondek

★ ☆ ★

Siostra mojej matki
cichutko krząta się
w kuchennej klatce
karmi kwiaty

swoją ułomnością
wąskimi deszczułkami dłoni
wyżyma połatane ścierki
rozwiesza je starannie
na sznurku
mogą się jeszcze przydać

dobre
niebieskie oczy
rozdaje dzieciom psom siostrzeńcom
pochylona nad kartoflanką
czeka na sen o płodności

Tomasz Brzeziński

Ja albatros

nie potrafię chodzić
po chodniku blisko muru

chodzę więc środkiem ulicy
samochody omijają mnie z krzykiem

skrzydła
które wstydliwie chowam pod płaszczem
ocierają się o ściany domów

Agata Mertl

★ ☆ ★

ech zostawić to wszystko
rozpłynąć się w kroplach deszczu
utopić w promieniach słońca
i jak ikar
znaleźć się bliżej nieba

tylko potem nie spadać

nie spadać

Andrzej Krakowski

collaboratio

najpierw Bóg stworzył lemiesz
potem trud i chropawość dłoni
chłopski upór
kości ugoru

szóstego dnia
stworzył Bóg człowieka
i dał mu to wszystko
wtedy człowiek począł Ziarno
a Bóg — skowronka

Mirosław Oczkowski

★ ☆ ★

ukrzyżowałaś mnie
w piątej stronie świata
tam gdzie Bóg
niebo podzielił
między siebie i wieczność

Andrzej Dawlud

★ ☆ ★

Pewien szaleniec porzucił dom
I zamieszkał w kamieniołomach bólu.
Wierzył głęboko, że w każdym kamieniu
Drzemią uwięzione postacie zwierząt.
Z nagich skał dłutem wydobywał kształty,
Ale one ciągle patrzyły zimnym wzrokiem.
Pracował dzień i noc.
Wierzył, że przyjdzie dzień kiedy ożyją
I rozbiegną się w widnokrąg stepu.
Wszyscy śmiali się z niego.
Pewnego ranka znaleziono jego ciało
Okaleczone z dłutem w ręku.
Ślady kopyt prowadziły w step.

Swietłana Napieraj

Ballada hotelowa

nocą w hotelu
za każdym sprzętem siedzi lęk
spod tapczanu cudzy grzech
wybałusza oczy
płaczą sumienia
na ramionach gości
smutne kobiety liczą
paciorki
przegapionych
szans
STAROŚĆ upiornie bezsensowna
kościstą dłonią kreśli portret JUTRA

Jan Szczęsny

Łęgi

Trawa wysieczona słońcem
kryje zmierzch.
Łódki pragną ciepła
ptaki opasują wieczór
w kwiatach błyszczy łza
wieczór wciska się do dziupli drzew
i tam dosypia ciemności

Katarzyna Fijałkowska

Babcia

Za oknem szuka zapomnienia,
Czas liczy ludzkimi krokami,
Starość przeciska przez firankę,
Minione lata i cierpienia.

Oczy utkwione w taflę szyby,
Ulata życie i jak gołąb
Przysiada już po drugiej stronie
Na oszronionym parapecie.

Jest nieobecna, czas odmierza
skrzypieniem buta u przechodnia,
znajomą twarzą, krzykiem dzieci,
Za oknem szuka zapomnienia.

Z półki recenzenta

WSPOMNIENIA PIĘKNEJ KOBIETY

Autorka tej książki zmarła mając 92 lata (1882—1974) i w czasie swej ziemskiej wędrówki miała możność spotykać się i przyjaźnić z wieloma ludźmi, którzy na trwałe zapisali się w polskiej historii i jej kulturze (m. in. Wojciech Kossak, Witkacy, Karol Szymanowski, Ignacy Paderewski, Władysław Sikorski, Maria Konopnicka). Tak więc ten swoisty pamiętnik, a raczej luźne wspominki, mają wartość przyczynkarską do dziejów życia kulturalnego pod zaborami, a potem już w Polsce niepodległej.

Maria z Łozińskich Łozińska-Hempel: „Z łańcucha wspomnień". WL 1986. Str. 262. Cena 190 zł.

ADAM, JEDEN Z NAS

Profesor nauk komputerowych, Konrad Fijałkowski, posiada bogaty dorobek naukowy, co nie przeszkadza mu w uprawianiu pisarstwa określanego jako utwory fantastyczno-naukowe. Właśnie taki utwór pióra K. Fijałkowskiego pt. „Adam, jeden z nas" ukazał się w sprzedaży i jest opowieścią zaiste fantastyczną, bowiem przedstawia ziemską cywilizację jako zaplanowany eksperyment rozumnych sił zamieszkujących kosmos. Na korzyść tej książki przemawia fakt, iż wpierw była wydana we Francji i Niemczech, a dopiero teraz trafiła na krajowe półki księgarskie.

Konrad Fijałkowski: „Adam, jeden z nas". WL 1986. Str. 160. Cena 170 zł.

DEZERTER

Ktoś, kto przeczyta jedno lub dwa opowiadania ze zbiorku zatytułowanego „Dezerter" w pierwszej chwili może sądzić, iż są to przeciętne, pozbawione agresywnej dramaturgii opisy rzeczy prostych i codziennych. Kontynuując jednak lekturę spostrzeże, że autor opowiada o „dezerterach" z życia, o ludziach unikających jakiejkolwiek odpowiedzialności, pragnących żyć niejako obok toczącego się życia, o ludziach w żaden sposób nie przystających do tego, co nazywamy szeroko pojętą cywilizacją.

Przekład Janusza Borysiaka i Ernesta Dyczka.

Gerhard Amanshauser: „Dezerter". WL 1986. Str. 88. Cena 80 zł.

POWIEŚĆ IRLANDZKA

Akcja tej powieści toczy się na małej wysepce Blasket oddalonej od właściwej Irlandii o 3 km. Autor, tragicznie zmarły w 1950 r., opisał w niej życie ludzi w tej cudem zachowanej enklawie i mówiących starym irlandzkim językiem, który powoli lecz definitywnie obumiera, podobnie zresztą jak ludowe tradycje przekazywane z pokolenia na pokolenie. Książka, o której mowa przyniosła jej autorowi powszechny rozgłos.

Przekład Małgorzaty Goraj i Ernesta Brylla.

Maurice O'Sullivan: „Dwadzieścia lat dorastania". LSW 1986. Str. 296. Cena 380 zł.

RZECZ O CZARNOLESIE

Tadeusz Palacz napisał interesującą książkę o Czarnolesie, miejscu dóbr rodzinnych naszego wielkiego poety Jana Kochanowskiego. Autor ograniczył się do relacji o samym dworze, o jego budynkach, meblach, o słynnej lipie, o rosnącym z wieku na wiek kulcie tego jednego z największych poetów i humanistów Renesansu, a także o pomnikach i obeliskach wznoszonych na jego cześć. Lecz gdy się czyta tę dobrze napisaną książkę, mimo woli czuje się, że nad wszystkim co było i jest do dziś w Czarnolesie dominuje nieprzemijająca wielkość poety.

Tomasz Palacz: „Czarnolas Kochanowskiego". Wyd. Lub. 1986. Str. 240. Cena 250 zł.

HULTAJE, ZŁOCZYŃCY, WSZETECZNICE

We wstępie do tej książki napisano, że jest ona „o tych, którzy najmniej posiadali, niewiele mogli i mało znaczyli. Którzy na wysokich schodach poważania i uznania stali najniżej". A więc jest to książka o ludziach marginesu z wieków XVI—XVIII, których ścigało prawo, a społeczność miejska przypisywała im wszelkie przywary i wady obarczając ich winą za nieszczęścia, jakie nawiedzały miasto. A rzecz dzieje się w Krakowie, gdzie obok sądu urzęduje kat ze swoimi pomocnikami i gdzie publiczna egzekucja stanowi jeden z atrybutów powszechnej egzystencji.

Jan Kracik, Michał Rożek: „Hultaje, złoczyńcy, wszeteczne w dawnym Krakowie". WL 1986. Str. 226. Cena 240 zł.

E. IW.

Melpomena zza Odry

Dzięki Dniom Kultury Niemieckiej Republiki Demokratycznej, obchodzonym w całej Polsce, mogliśmy i u nas w Łodzi zapoznać się z niektórymi przejawami sztuki zaprzyjaźnionego kraju, m.in. sztuki teatralnej, zarówno z twórczością jak i jej realizacją sceniczną, a to, co nam dane było obejrzeć odbiega z pewnością od pewnego stereotypu, który mógł sobie urobić polski widz na podstawie zjawisk dawno minionych. A oto krótka próba oceny, według kolejności teatralnych wydarzeń.

W CHINACH CZYLI WSZĘDZIE

W Teatrze im. Jaracza odbyła się polska prapremiera sztuki znanego już, nie tylko na niemieckim obszarze językowym, prozaika i dramaturga, **Christopha Heina: „Prawdziwe dzieje A Ku"**. Autor, urodzony w 1944 r. na Śląsku jako syn pastora, napotkał na swojej drodze wiele trudności, imał się wielu zajęć, przez jakiś czas przebywał w RFN. Sztukę, o której mowa napisał w 1982 r., w następnym roku wystawił ją wschodnioberliński Deutsches Theater, a z kolei zainteresowano się nią w Niemczech zachodnich.

Rzecz dzieje się na głuchej prowincji w przedrewolucyjnych Chinach, w przedziwnej scenerii zapuszczonego, nieczynnego kościoła, należącego do pobliskiej katolickiej misji. Świątynia służy dwu bezdomnym mężczyznom za miejsce noclegowe, pozostające pod bezwzględną kuratelą Strażnika. Te sceniczne realia, łącznie z czasem akcji, rozgrywającej się w przeddzień jakiejś nieokreślonej rewolucji, wyczekiwanej przez anarchizujących podopiecznych misji, składają się na metaforyczny obraz społecznej kondycji człowieka. Trochę na modłę filozofii Brechta wszystko co wspaniałe i piękne mogłoby się teoretycznie ziścić, w rzeczywistości jednak zbyt wiele przyczyn doprowadza do tego, że owa rewolucja niczego nie zmienia, dawni bowiem luminarze i bonzowie łapią wiatr w żagle i zachowują swoje stanowiska dające im władzę. Tych mechanizmów jednak autor nie próbował obnażyć, a o przebiegu rewolucyjnych faktów dowiadujemy się jedynie z relacji świadków.

Myślę, że z powodu dominacji oratorstwa nad działaniami przedstawienie nie pozbawione jest dłużyzn, mimo iż nie brak w nim scen drastycznych, a dosadny dialog zawiera wiele celnych i dowcipnych sformułowań. Nie znając oryginału sztuki, nie wiedząc jakie wskazówki i sugestie zawarł autor w didaskaliach, możemy jedynie zastanawiać się czy reżyser, posługując się środkami naturalistycznymi, trochę ich nie nadużył, czy mianowicie wymioty musiały rozbrzmiewać tak sugestywnie, że mogły wrażliwszego widza pobudzić do pójścia w ślady delikwentów i czy np. scena kopulacji pomiędzy głównym bohaterem a gwałconą przez niego zakonnicą nie mogła być w większym stopniu markowana? Jednym słowem — czy sztuka na tym zyskiwała, czy traciła?

Duże uznanie należy się oprawie muzycznej, która wspomagała nastrój beznadziei i rozpaczy.

Przedstawienie mogło zadowolić aktorsko. W roli przebiegłego i chciwego **A Ku** wystąpił STANISŁAW JASKUŁKA, w złożoną, intrygującą postać intelektualisty **Wanga**, który dba o znoszenie poniżenia z godnością wcielił się ANDRZEJ WICHROWSKI, bezdusznym służbistą jako **Strażnik Świątyni** był JAN HENCZ, nieludzkiego przez swoje ślepe posłuszeństwo policjanta **Maskę** grał PAWEŁ KRUK, wreszcie jako powabną, wartą lepszego losu **Mniszkę** ujrzeliśmy MAJĘ BAREŁKOWSKĄ-CYRWUS.

Uważam, że warto było zapoznać się z osobą Christopha Heina i z jego niebanalną sztuką.

*) **Christoph Hein** (wg Lu Xuna) „Prawdziwe dzieje A Ku". Przekład — **Jacek St. Buras.** Reżyseria — **Jerzy Hutek**, scenografia — **Grzegorz Małecki**, muzyka — **Andrzej Zarycki.**

ARTYŚCI Z KARL-MARX-STADT

Zawarliśmy też znajomość z Teatrem Miejskim w Karl-Marx-Stadt, którego zespół dał u nas (przed podróżą do Warszawy) w dwa kolejne wieczory, dwa przedstawienia na deskach Teatru Nowego.

Pierwszego dnia pobytu goście wystawili **„Trzy siostry" Czechowa**, dość dobrze polskiemu widzowi znane, a ostatnio przypomniane w Teatrze Telewizji w znakomitej obsadzie aktorskiej. Już choćby z tego powodu wybór tego właśnie utworu na Polskę połączony był ze sporym ryzykiem, zwłaszcza gdy się uwzględni nieobce polskiemu widzowi wyczucie atmosfery rosyjskiej literatury i dramatu.

Przedstawienie odbiegało, jak mi się wydaje, od tego co określamy mianem rosyjskiego klimatu i mogłoby się to stać nawet interesującą propozycją, ale choć odegrane z pietyzmem dla ideowego przesłania sztuki i solidne aktorsko, za bardzo podporządkowane było biernemu odczytaniu scenariusza. Przynajmniej kilku wykonawców zasługuje jednak na to, by ich wymienić, przede wszystkim DAGMAR JAEGER która w postaci **Maszy** przedstawiła spóźnioną miłość kobiety o silnych, z trudem tłumionych namiętnościach; GERDA PREUSCHA jako jej męża, **Kulygina**, który z samozaparciem uprawia sztukę samookłamywania się, żeby sobie zaoszczędzić bólu z powodu utraty uczuć żony; w rolach antagonistów — **Szolonego i Tusenbacha** oglądaliśmy THOMASA PÖTZSCHA i PETERA RENE LÜDICKE, świetną sylwetkę woźnego **Feraponta** skreślił HAINZ HUPFER.

Mocną stroną przedstawienia jest pełna wyobraźni, rozbudowana w głąb scenografia, urzekająca śnieżną bielą salonu w akcie I.

Drugi wieczór przyniósł nam spotkanie ze sztuką współczesnego poety i tłumacza, a przede wszystkim dramaturga, znanego już i cenionego w Europie **Heinera Müllera, pt. „Budowa"**, stanowiąca adaptację powieści Ericha Neutscha „Ślad kamieni". Urodzony w 1929 r., (rówieśnik znakomitej pisarki NRD Christy Wolf), wychował się Müller w rodzinie antyfaszystowskiej. Napisał dotychczas ponad dwadzieścia sztuk po części adaptacji powieściowych bądź twórczych opracowań znanych literackich wątków. Jego utwory, dzięki przenikliwości spojrzenia autora, a także swej sile uogólnienia i swoistej poetyce znalazły drogę do wielu scen poza obszarem NRD, głównie na Zachodzie.

Akcja sztuki, powstałej w 1964 r. wprowadza w klimat życia społeczno-politycznego NRD burzliwych lat sześćdziesiątych (berliński mur). Rzecz dzieje się na jednej z dość typowych budów republiki, prowadzonych z dużym nakładem sił i środków, przy znacznym propagandowym rozgłosie. Tutaj, z powodu popełnionych błędów trzeba zburzyć wzniesione już fundamenty elektrowni wodnej, nieobojętne więc staje się pytanie o winę i odpowiedzialność. Widzimy jak krzyżują się zarówno sprzeczne interesy jednostkowe, jak i antagonistyczne postawy ideowo-moralne, rozwija się także i komplikuje konflikt miłosny.

Co jednak najciekawsze, oglądamy to wszystko w konwencji nie mającej nic wspólnego z dawnym „produkcyjniakiem", lecz raczej bliskiej czy to musicalowi czy kabaretowi, sięgającej też przez świadome zawieszanie iluzji do tradycji Brechta oraz chyba do niemieckiego ekspresjonizmu. Nowatorska w tym zastosowaniu forma teatralna, będąca jak gdyby obrazem poszukiwań współczesnego teatru politycznego, okazuje się właśnie niezwykle pojemna dla treści, z którymi tak skądinąd trudno uporać się artystycznie — przełożyć na język doznań psychologicznych problemów etycznych.

Mamy tu bowiem szeroko pojmowaną problematykę społeczną i humanistyczną, a takie „niestrawne" kwestie i spory jak prymatu polityki czy też ekonomii, jak roli partii w środowisku pracy, jak — ostro i zjadliwie tu skrytykowanego — propagandowego frazesu, stają się dla widza ważne i interesujące, w czym też zasługa znakomitego poczucia humoru, pełnego słownych spięć i nie stroniącego od kalamburu.

Scena staje się jakby trybuną ideowo-politycznego sporu, przy aprobacie widowni i w tym zapewne zasługa i pionierska rola Müllera.

Zespół wykazał się szeroką skalą umiejętności scenicznych, i spotkaliśmy wśród wykonawców „starych znajomych" wieczoru poprzedniego, jak GERD PREUSCHE w roli brygadzisty **Barki** (trochę jakby Cola Breugnon), KURT NAUMANN jako sekretarz zakładowego komitetu partii Donath, znerwicowany i trochę po omacku budujący swój autorytet; jak WOLFGANG SÖRGEL kierownik budowy, apodyktyczny **Belfert;** dalej KATHERINA LANGE — młoda kobieta inżynier, na początku nieco pyszałkowata, wzbudzająca oskomę wśród mężczyzn; PETER RENE LÜDICKE, utalentowany inżynier **Hasselbein**, zatrudniony jako zamiatacz. Po raz pierwszy zobaczyliśmy GERHARDA HÄHNDELA w roli robotnika **Dreiera**, który wybierze drogę na Zachód, ELVIRĘ GRECKI jako robotnicę **Klamann**, i ANNY STÖGER jako sekretarza okręgowego partii, której mądrość polityczna nie przez cały czas idzie w parze z humanistycznym stosunkiem do człowieka.

Zwraca uwagę pewien liberalizm autora wobec robotników, kradnących cement na budowie, jak gdyby nie oni, lecz sytuacja ponosiła winę za ułomności i upadki ludzkie.

W związku z tą miłą dla nas i pożyteczną wizytą teatralną, która zapewne zapoczątkuje dalsze regularne kontakty wzajemne, pozwolę sobie na pewne propozycje. Z największą przyjemnością i pożytkiem oglądalibyśmy w wykonaniu naszych gości niemiecką klasykę i oczywiście nadal współczesną dramaturgię NRD. Byłoby ponadto pożądane, żeby ze względu na utrudnienia językowe nie przywożono przedstawień trwających przeszło trzy godziny (jak w przypadku „Budowy").

Sądzę, że są to sprawy do każdorazowego wstępnego ustalenia przez obie zaprzyjaźnione strony, z pożytkiem dla współpracy obu stron.

JERZY KWIECIŃSKI

Teatr Miejski w Karl-Marx-Stadt. „Trzy siostry" Antoniego Czechowa. Reżyseria — **Irmgard Lange**, scenografia — **Volker Walther**, kostiumy — **Helga Leue**, muzyka — **Jan Trieder.**

Heiner Müller: „Budowa". Reżyseria — **Frank Castorf**, scenografia — **Volker Walther.**

Kronika kulturalna

DNI KULTURY NRD

OD 17 do 25 października trwały w Łodzi Dni Kultury NRD. Odbyło się wiele interesujących spotkań teatralnych, koncertów, występów estradowych.

Bogata i różnorodna była szczególnie oferta teatralna, piszemy o tym obok, ale równie interesująca była oferta muzyczna.

W Filharmonii Łódzkiej 17 i 18 odbyły się koncerty, którymi dyrygował **Christian Kluttig** z Halle. Jest on jednym z najwybitniejszych dyrygentów średniego pokolenia, debiutował w Operze Drezdeńskiej, a w chwili obecnej jest kierownikiem artystycznym teatru w Halle i głównym dyrygentem Orkiestry Festiwalu Haendlowskiego.

Solistką w tych koncertach była wybitna skrzypaczka, laureatka międzynarodowych konkursów skrzypcowych w Poznaniu, Zagrzebiu i Londynie — **Barbara Górzyńska.**

Rożnorodne w temacie były także propozycje plastyczne. W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarta była wystawa „Współczesna tkanina Saksonii", w Domu Filmu i Plastyki ŁDK obejrzeć można było sztukę użytkową.

Odbyły się także koncerty estradowe, w Teatrze „Rozmaitości" i w Zgierzu wystąpili artyści z Karl-Marx-Stadt.

---

10 i 11 października **Filharmonia Łódzka** zainaugurowała nowy cykl koncertów „Na życzenie". Repertuar koncertu uwzględniał wyniki plebiscytu przeprowadzonego wcześniej wśród słuchaczy „Koncertu dla wszystkich". „Koncert dla wszystkich" oraz zrealizowane następnie: koncert familijny i koncert dla uczniów zbiorczych szkół gminnych zrodziły się w wyniku współpracy, jaka nawiązała się pomiędzy Filharmonią Łódzką a Centrum Informacji Kulturalnej w Łodzi. Celem tej akcji jest pozyskanie dla filharmonii i muzyki poważnej słuchaczy mniej z nią obeznanych, młodzieży szkolnej i studenckiej. Następne koncerty z tego cyklu planowane są w maju 1987 r.

DRUGĄ równie ciekawą, jak wspólne z Filharmonią Łódzką koncerty „Na życzenie", inicjatywą wykazało się Centrum Informacji Kulturalnej. Otóż przy pomocy Rozpowszechniania Filmów oraz Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej na dwóch sąsiadujących salach kina „Tatry" zorganizowano dwa seanse filmowe dla dorosłych i dla dzieci.

Pierwsze seanse odbyły się 11 i 12 października, następne we wszystkie wolne soboty i niedziele o godz. 15.

Tak więc rozwiązano generalnie problem, co zrobić z dziećmi, kiedy rodzice chcą iść do kina. Idą rodzice i dzieci i wszyscy świetnie się bawią.

---

14 i 15 października wznowiono cykliczną, comiesięczną imprezę przegląd etiud filmowych znanych reżyserów, a niegdyś uczniów PWSFTviT w Łodzi.

W MUZEUM Historii Ruchu Rewolucyjnego 22 października otwarto wystawę **„Warunki bytowe łódzkiej klasy robotniczej w okresie międzywojennym — izba robotnicza".** Miło nam poinformować Czytelników, że jednym ze współorganizatorów wystawy jest redakcja Expressu Ilustrowanego.

W Muzeum Historii Miasta Łodzi natomiast czynna jest wystawa malarstwa i rzeźby **YVESA RHAYE** z Belgii

---

ZNANY łódzki dziennikarz **Zbigniew Wojciechowski** otrzymał II nagrodę w konkursie Klubu Dziennikarzy Sportowych „Złote pióro" za najlepsze publikacje sportowe w minionym 1985 roku.

DNIA 22 października na scenie Teatru Studyjnego wystąpiła znana francuska grupa pantomimiczna **Zéro Théatre** (przypominamy, że w ubiegłym roku gościliśmy ją w naszym Teatrze po raz pierwszy). **Ita Angaard i Benoit Theberge** zaprezentowali szeroki wachlarz możliwości współczesnej pantomimy w przedstawieniu **„Tilt".** Połączenie dźwięku, ruchu i obrazu było pełne rozmachu, ekspresji, bogate w liczne, oryginalne pomysły. Błyskotliwa i żywa była także gra aktorów. Członkowie tej grupy uczyli się sztuki pantomimy u sławnego Etienne Decroux i Ives Lebretona. Spektakl ten był już pokazany w Szwajcarii i Niemczech. Zéro Théatre przyjechało do Polski na zaproszenie łódzkiego ośrodka Alliance Francaise i zaprezentowała łódzkiej publiczności tylko jedno przedstwienie.

ze str. 1

wrócę z tarczą czy na tarczy, to wrócę na pewno". W Ameryce odniosłem bezsprzeczny sukces, ponieważ kosztem nie swoich pieniędzy tylko inwestycji TRC Records (157 tysięcy dolarów) nagrałem longplaya pt. „Z innego miejsca", który rozszedł się w 11 Stanach Ameryki w ilości około 16 tysięcy egzemplarzy, co na artystę zaczynającego „karierę w USA" jest traktowane jako sukces. Utwór z tej płyty „14 milionów aniołów" znalazł się na VII miejscu radiowej listy przebojów stacji „V.ABC". Przez dwa lata występowałem na różnych scenach od największych w Las Vegas przez sieć najwytworniejszych hoteli typu „Hilton", dalej „Playboy Club" skończywszy na polonijnych nocnych lokalach. Oprócz tego pod opieką Jana Wojewódki trzykrotnie przejechałem Amerykę wzdłuż i wszerz.

— W pierwszych wywiadach po powrocie demonstrował pan spory ekshibicjonizm ukazując siebie jako dachówkarza, murarza, kierowcę, jubilera. Skutek żalów był odwrotny, bo zamiast współczucia nastąpiło wielkie zdziwienie i drwiny?

— Komuś pomylił się ekshibicjonizm ze zwykłą, ludzką szczerością, od której widocznie odzwyczailiśmy się z dnia na dzień. Moje kontrakty nie były ciągle, zdarzały się przerwy. Wynajęte mieszkanie, utrzymanie samochodu oraz rodziny kosztuje miesięcznie 800—1000 dolarów. Co więc ma zrobić wobec tego człowiek w mojej sytuacji, nie mając pieniędzy na zapłacenie rachunków? Łapie w locie każde zajęcie, które los mu zsyła. Z dumą oświadczam, że wykonywanie zawodów: kierowcy, murarza, jubilera, dachówkarza czy barmana, spowodowało wielkie zmiany w moim podejściu do życia w ogóle. To była twarda szkoła życia. Kto tego nie przeżył, nic nie wie.

— Karel Gott powiedział mi, że piosenkarz o ustalonej renomie musi dbać o swój image, bo zejście z gwiazdorskiego parnasu na dół może okazać się katastrofalne i podał przykład?

— Nie wierzę w mity. Artysta wtedy jest prawdziwy, kiedy jest sobą. Nie widziałem i nie widzę powodu dla którego miałbym ukrywać te fakty z mojego życia. W przeszłości moi śpiewający koledzy zamieszczali na afiszach napis „po sukcesach w USA i Kanadzie". Życzę im tych sukcesów z całego serca, ale publiczność i tak wie, jak naprawdę to wygląda. Zadymione salki polonijnych klubów, ciężka praca, nocne rozmowy z rodakami na obczyźnie, smutek, nostalgia.

— W Ameryce miał pan przecież kilku menażerów i zapowiadało się, że może wreszcie polski piosenkarz zrobi amerykańską karierę?

— Polski piosenkarz nigdy nie zrobi kariery w USA. Chyba że rząd polski zainwestuje w swego wybrańca około 1,5 mln dolarów. W USA miałem trzech menażerów: Dicka Niemczyckiego, polskiego pochodzenia, który spowodował nagranie amerykańskiego longplaya, Edwarda Olejnika, który zainwestował swoje i pożyczone pieniądze w ilości 14 tysięcy dolarów w jeden koncert promocyjny (odbył się on 16 sierpnia 1980 roku w słynnym Hotelu „Frontier"), Franka Moore (Włocha z pochodzenia), który raczej był sprzedawcą niż menażerem i bardzo dobrze, bo dzięki niemu objechałem wszystkie największe kasyna w USA. Kariery nie zrobiłem, cóż zresztą oznacza słowo „kariera"? Pieniądze, sława, pozycja społeczna? Do dziś nie wiem. Dla mnie najważniejsze jest, że kocham to, co robię, pracuję jak wół i mam szacunek swojej publiczności w Polsce. Tutaj jest moje miejsce i tutaj czuję się dobrze.

— Zapaść, lekomania to wynik tego jak pan tam żył?

— To wynik między innymi mojego poprzedniego małżeństwa. Jeżeli następuje moment załamania i zdrowie zaczyna szwankować, zwracamy się do lekarza, co nie zawsze należy nazwać lekomanią. Sprawy polskie w okresie 1980—1981 również i mnie dotyczyły. Byłem targany uczuciem między nadzieją a obawą, jak zresztą miliony rozsianych po świecie rodaków. Okresy mojej pracy w różnych zawodach też nie należą dzisiaj do moich najprzyjemniejszych wspomnień.

— Nie wspomniał pan, że w Ameryce stracił w końcu żonę, a dorobek życia zainwestowany w aparaturę nagłaśniającą spalił się w wypadku samochodowym. Czy mimo to nadal jest pan optymistą?

— Tak, straciłem żonę, ona kocha Amerykę i chce tam żyć, na szczęście ja i mój syn nie zostaliśmy sami, ponieważ opatrzność zesłała nam Anioła, Inwestycja rzędu 32 tysięcy dolarów spłonęła na trasie Las Vegas — Nowy Orlean, dokładnie 18 mil przed Huston Teksas. Na szczęście nie jechałem tym wozem. Po otrzymaniu wiadomości o tym, co się stało, znalazłem się w szpitalu. Dodatkowym „smaczkiem" jest to, że świeżo zakupionego sprzętu nie zdążyłem ubezpieczyć na odpowiednią sumę. W ten sposób, w ciągu kilku minut zostałem bankrutem. W szpitalu stwierdzono stan przedzawałowy. Mimo wszystko jestem optymistą. Przyszłość świata należy wyłącznie do optymistów i pragmatyków.

— Przeciwnicy, jako główny zarzut stawiają panu prostotę, kiczowatość, grafomaństwo w doborze repertuaru, mieszczącego się w kategoriach rozrywki lokalowej?

— I słusznie, bowiem z moim opiekunem artystycznym Andrzejem Kosmalą z premedytacją nagraliśmy piosenki bardzo melodyjne i bardzo taneczne, które przez złośliwców mogą być sklasyfikowane na pograniczu szmiry. Bo czyż wyobraża pan sobie miny moich dawnych wielbicieli, gdybym zaprezentował im inną muzykę? Nie wolno nam było tego robić. Dobrze się stało, że nagraliśmy utwory do tańca. Publiczność chciała starego Krawczyka. W tym miejscu chciałbym zaniepokoić moich zagorzałych wrogów oraz uspokoić sympatyków i przyjaciół, że od powrotu do dzisiaj nagrałem 37 piosenek, z których tylko 6 miało antenowe premiery. Ja mam czas, mam bardzo dobrego opiekuna i promotora, wielu przyjaciół i... zdrowy optymizm. Zdaję sobie sprawę, że zagorzałych wrogów nigdy nie przekonam, nawet nie będę usiłował tego robić. To co nagrałem będzie lub nie będzie broniło się samo.

— O pana koncertach estradowych też piszą nie najlepiej...

— Jacek Grün z „Kuriera Podlaskiego" zauważył w swojej recenzji, że o moim koncercie w namiocie na Rynku Siennym w Białymstoku trzeba szybko zapomnieć mimo kwiatów, braw i łez wzruszenia. Zarzuca mi amerykomanię tylko dlatego, że witałem się z publicznością i usiłowałem ją rozśpiewać. Jest to jedyna negatywna recenzja, jaka ukazała się w prasie terenowej. Otrzymałem po niej listy od bardzo wielu widzów z Białegostoku, którzy obawiają się, czy będę chciał ponownie przyjechać do ich miasta. Będę przyjeżdżał do Białegostoku przez najbliższe lata.

— Kto najczęściej przychodzi na pana koncerty?

— Panie w średnim wieku, dziewczęta, dzieci, babcie, trochę panów. Dużo młodzieży w różnym wieku. Na ogół są to ludzie znający moje piosenki, płyty, moje życie, wzloty i upadki czyli życzliwi mi ludzie.

— I jak znajduje pan swoją publiczność po 6 latach niewidzenia się?

— Przyznaję, że w pierwszym zetknięciu się z polską publicznością, przed wejściem na scenę zadawałem sobie pytanie — czy oni przyszli mnie posłuchać jeszcze raz, czy przyszli zobaczyć „babę z brodą" i sprawdzić czy ten

Chłopiec do bicia czy Nikifor na estradzie?

Krawczyk jest gruby i czy on w ogóle umie jeszcze śpiewać? Oswojenie się z polską publicznością przychodziło powoli. I tu zaskoczę pana, otóż pomogły mi słowa mojego menażera Franka Moora, który wielokrotnie powtarzał: „na scenie staraj się być sobą, lubisz ludzi, więc staraj się przed wyjściem na scenę polubić tych, którzy siedzą po drugiej stronie rampy. Jeżeli sprawia ci to trudność to zmień zawód". Kocham swój zawód dlatego, że inni chcą słuchać jak śpiewam, a nie dlatego, że lubię to robić. Lubić to za mało, trzeba szczerze, z mocnym przekona-

Krzysztof Krawczyk z żoną Ewą

niem o wzajemnym porozumieniu psychicznym z widownią bardzo tego chcieć. Składa się na to wiele czynników, miesiąc żmudnych prób, nieprzespane noce, stresy czyli ciężka, odpowiedzialna praca. W dzisiejszych czasach spektakl estradowy to ogromne przedsięwzięcie.

— „Opole-86" miało być miejscem na estradzie, na które stawiał pan w tym roku chyba najbardziej?

— Do Opola nie chciałem jechać, ale red. Zygmunt Kiszakiewicz zaproponował, abym reprezentował tam „Panoramę" w związku z uzyskanym tytułem „Piosenkarza Roku 1985", przy okazji okazało się, że wygrałem kilka różnych plebiscytów na przebój. W początkowych pertraktacjach z Krzysztofem Materną miałem otrzymać około 10 minut na scenie, gdzie obok piosenek gastronomicznych (jak tego chce „Non Stop") znalazłyby się bardzo wartościowe pozycje z mojego repertuaru, nie znane jeszcze publiczności.

Plebiscyt opolski uważam za nieporozumienie. Festiwalowe sceny na całym świecie są przeznaczone na promocje dla wybranych talentów. Gwiazdy lub ciekawe zespoły estradowe powinny mieć swoje oddzielne, niezależne recitale, które towarzyszyłyby i wzbogacały tak ważną imprezę jak FPP w Opolu. Już kiedyś mówiłem, że konkursy na festiwalach przypominają wyścigi konne, w których nie lubię brać udziału. Mam za sobą 20 lat pracy na estradzie i nie muszę się z nikim ścigać.

W tym roku przegrałem z Edytą Geppert, artystką o wspaniałym głosie i wielkim prestiżu, na który w pełni zasłużyła. Sprawą do dyskusji jest jej image, dobór repertuaru, czy w ogóle wybór własnej drogi artystycznej. Nie mam wątpliwości co do jednego — w Polsce narodziła się wielka artystka.

Nieskromnie dodam, że reprezentując brzydszą połowę czułem się wspaniale, ponieważ po 10 miesiącach pracy na polskiej estradzie zostałem uznany i zaakceptowany przez polską publiczność. Cieszę się, że wystąpiłem w Opolu, na tej scenie zabłysło i zgasło parę gwiazd. To ważne miejsce na mapie kulturalnej Polski.

— Początkowo nie był pan na liście zaproszonych piosenkarzy do udziału w opolskim festiwalu?

— Początkowo nie było mnie na żadnej liście. Sześć lat nieobecności robi swoje. Nie mam żalu do tych, którzy pod moją nieobecność wypisywali bzdury: „Krawczyk wybrał wolność", „Krawczyk był na saksach", „Krawczyk gra w podrzędnych knajpach polonijnych", „biega w obcisłym dresie po Chicago". Przyznaję jako 40-latek i doświadczony estradowiec, że powinienem być oceniającym pierwsze kroki naszych przyszłych gwiazd aniżeli ocenianym w taki czy inny sposób.

— Czy swój występ w Opolu w konkursie o „Grand Prix" uważa pan za sukces (dwa brakujące punkty do zwycięstwa) czy porażkę (gwizdy opolskiej publiczności)?

— Uważam za sukces. Między mną a Zbigniewem Wodeckim (wrażliwym i cenionym przeze mnie piosenkarzem) istniała różnica 50 punktów. Gwizdami się nie przejmuję, bowiem opolska publiczność w 50 procentach składała się z zagorzałych wielbicieli Shakin Dudiego, który zajął IV miejsce. Wie pan — jak klaszcze trzy tysiące ludzi, a gwiżdże 500 osób, to zawsze słychać raczej gwizdy na mikrofonach. Krzysztof Krawczyk nie wszystkim musi się podobać. Niech gwiżdżą, mają do tego prawo.

— Słyszałem, że po występie w Opolu miał pan wszystkiego dość i zaszył się w leśnej głuszy, nie chcąc widzieć nikogo?

— Należał mi się wypoczynek i dlatego wyjechałem.

— Z natury jest pan cholerykiem, jak więc znosi wszystkie napaści, ataki, obelgi?

— Jestem cholerykiem, ale potrafię być dyplomatą, patrzeć z dystansem na swoje poczynania. Pracuję z przyjaciółmi, moja grupa: „Rodzina Krzysztofa", to młodzi ludzie, którzy mi zaufali. Od 1976 roku Andrzej Kosmala walczy ze mną i z całym światem o to, aby KK był coraz lepszy i ciekawszy. Kłócimy się, ale w tym ogniu hartują się charaktery. Pracujemy. Ocenę zostawimy słuchaczom.

— Nie obawia się pan zawału?

— Jak na 40 lat to wszystko jest możliwe.

— „Zawsze byłem chłopcem do bicia" — powiedział pan w wywiadzie dla tygodnika „Kujawy", przyznając się do własnych błędów. Czy zalicza do nich również odmowę udziału w słynnym spotkaniu dinozaurów czyli „Old Rock Meeting 86" w Sopocie?

— Nie lubię określenia „chłopiec do bicia", bo potrafię sam się obronić, co niniejszym czynię. Dinozaury (gatunek, który wyginął już bardzo dawno) nie mają nic wspólnego z „Trubadurami", „Czerwonymi gitarami", „Skaldami", „NO TO CO". Dinozaury, to w mojej opinii od Bogusława Wyrobka w dół. Dlaczego miałem śpiewać: „Czy mnie jeszcze pamiętasz"?

Franciszek Walicki zwrócił się do mnie z propozycją występu i uważałem to za dobry pomysł, pod warunkiem, że występujemy w pełnym składzie. Nie jest tajemnicą, że Marian Lichtman mieszka na stałe w Danii, Walicki zapewnił nas, że otrzymał zaproszenie i przyjedzie do Polski. Tymczasem konsulat PRL w Kopenhadze jeszcze na dwa dni przed koncertem nic o przyjeździe Lichtmana do Polski nie wiedział. Z „Trubadurami-85" bez Lichtmana nie chciałem się pokazywać na estradzie z powodu niewzięcia mnie pod uwagę przy nagraniach tego zespołu w początkach istnienia. Najlepiej kopie się leżącego lub nieobecnego. Franciszek Walicki wyraził się, że menażer KK powiedział, iż jego podopieczny ma już wystarczającą popularność w kraju i ta impreza nie jest mu do szczęścia potrzebna. Pierwszy napisał o tym Janusz Atlas z „Interpressu". A przecież Walicki znał powody, dla których nie chciałem wystąpić z „Trubadurami-85" i powinien je przedstawić na konferencji prasowej. Stało się inaczej. Posypała się lawina artykułów negujących taką postawę.

Marian Lichtman swego czasu przyleciał do mnie do Las Vegas tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć. Czy ja nie przejechałbym 300 km po to, żeby się z nim spotkać? Lichtman otrzymał wizę na wyjazd do Polski na 48 godzin przed rozpoczęciem imprezy i w Sopocie znalazł się na dwie godziny przed rozpoczęciem imprezy. O jego obecności w Polsce dowiedzieliśmy się z Andrzejem Kosmalą z prasy. Nikt nie zadał sobie trudu, aby mnie o tym zawiadomić. Osierocona (z mojej winy) trójka „Trubadurów" przyjmowała kondolencje za kulisami Opery Leśnej. Ogólny niesmak, rozczarowanie, zdziwienie, padło nawet określenie „zdrajca pokolenia".

— Więc w końcu, kto naprawdę zawinił?

— Ja, bo powinienem tam pojechać mimo wszystko, powinienem siedzieć na widowni i oklaskiwać ludzi, którzy kształtowali moje wnętrze artystyczne przed laty. Przecież Michaj Burano, Czesław Niemen w tych czasach byli moimi idolami.

— Jakie stosunki panują teraz między „Trubadurami"?

— Aktualnie prowadzimy rozmowy na temat wspólnego koncertu z okazji nagrody „Złota Płyta" za longplay „Kochana". Myślimy o nagraniu dwóch nowych piosenek (na singlach) i nagraniu video clipu. Kto wie, może w przyszłości ich wielbiciele dołączą do kolekcji płyt longplay „A jednak razem"? Wszystko zapowiada, że „Trubadurzy" wystąpią w przyszłości razem i to nie raz.

— Który z komplementów, o których tu nie wspominaliśmy, a dotyczących pana pracy ceni pan sobie najwyżej?

— „Krawczyk jest perfekcyjnym warsztatowcem".

— A którą z obelg uważa pan za najbardziej dotkliwą i złośliwą?

— Żadna obelga nie dotyka mnie osobiście, aczkolwiek przyznaję, że określenie „uciekł za granicę" zabolało mnie najbardziej.

— Z najnowszych porównanie do Nikifora może być zabawne i gorzkie. Prymitywny geniusz na estradzie, to przecież...

— Napisał tak Ludwik Jerzy Kern. Widać starzeje się. Wspólnym mianownikiem między mną a Nikiforem jest to, że nie studiowaliśmy na wyższych uczelniach. Muzyka pop na całym świecie oscyluje cały czas na granicy szmiry i kiczu. I każdy z wykonawców tego rodzaju muzyki zdaje sobie z tego sprawę. Wybrałem ten gatunek muzyczny jako wiodący w mojej pracy, ponieważ jest on potrzebny ludziom, od rana do wieczora, przy różnych okazjach. Jest to rodzaj działalności usługowej, co nie znaczy, że do końca życia będę śpiewał piosenki „kiczowato-szmirowate", repertuar „gastronomiczny", bo jak pan się doskonale orientuje w ciągu 20 lat nagrywałem wiele wartościowych i ambitnych piosenek różnego gatunku. Dla przykładu podam choćby historię mojej dużej płyty nagranej w USA („Z innego miejsca"), która podobno jest bardzo ambitna. Do Polski nadesłałem utwory z tej płyty, które tylko kilka razy były odtworzone w radiu. Nie tracę nadziei, że moje najnowsze piosenki popowo-rockowe nagrane z grupą „Klincz" przekonają niektórych oportunistów do tego typu śpiewania. Dodam, że nagrałem jeszcze longplaya w stylu country, utwory z tej płyty zostały sfilmowane przez Ośrodek TVP w Poznaniu w formie fabularyzowanego recitalu.

— Nie bacząc na nic i na nikogo, zabiera się pan do kolejnego ataku, choć w nowym wcieleniu?

— Longplay „Wstaje nowy dzień", longplay country czy płyta „Klincz i jego przyjaciele" to dopiero efekty pierwszego roku naszej pracy. Mój atak trwa od 17 lat, przyznaję, że wielu z moich piosenek nawet ja nie mogę dzisiaj słuchać. Wszystkie krytyczne uwagi przyjmuję, analizuję, jeżeli są to jedynie złośliwości, szybko zapominam. Zamierzam śpiewać tak długo, jak długo będą chcieli tego słuchacze.

— 8 września skończył pan 40 lat. Magiczna cyfra u mężczyzn. Jakie ma to znaczenie dla pana dalszej kariery?

— Ogromne! Już nie ma czasu na potknięcia i błędy. „Chociaż człowiek uczy się przez całe życie a umiera głupi". Jest to czas refleksji, zadumy, zastanowienia się nad sobą, jest także czas na zadawanie pytań typu: „jak żyć?" Nowy etap powinien być ciekawy, wartościowy, marzy mi się, żeby był piękny. Publiczność polska zawsze była moim najlepszym obrońcą i chciałbym, żeby tak było dalej. Dla niej przecież prowadzę cygański tryb życia, nie mam domu, choć jestem właścicielem mieszkania w Warszawie. Od września byłem w domu około 10 razy. Chciałbym więc nareszcie znaleźć swoje miejsce na ziemi.

— Wkroczyliśmy w rejony życia prywatnego...

— Chciałbym być dalej szczęśliwym, bardziej opanowanym...

— Zapaść, zawał, stresy, frustracje, kradzieże, spalenie, ruina, rozwód, lekomania, szok. I... happy end. Ile zawdzięcza pan swojej żonie przywiezionej z USA?

— Zawdzięczam jej tak wiele, że nie zmieściłbym tego w krótkiej opowieści. Synowi zastąpiła matkę. Zapowiada moje koncerty. Jest ze mną wszędzie. Mamy swoje plany, marzenia, jak wszyscy ludzie na świecie. Próbowałem być szczęśliwym i nie mam do siebie pretensji, że nie udało się w przeszłości. Po prostu nie wyszło. Tym razem to jest to i mam komu za to podziękować.

— Podobno Krawczyk junior zapowiada, że będzie muzykiem i pozostanie w estradowej branży?

— Krzysztof kocha muzykę, gra na instrumentach i kto wie czy nie wystąpimy razem na estradzie. W każdym razie ma we mnie opiekuna, przyjaciela i menażera.

— Przekonał się pan, że nie zapomniano tu o nim, że nadal jest lubiany i chętnie słuchany, więc po co te przesadne starania o względy publiczności i co jest z tym związane o repertuar „pod publiczkę"?

— Określenie „pod publiczkę" wymyślili dziennikarze, a przecież jest ich w Polsce kilkuset, podczas gdy publiczności kilkadziesiąt milionów, dla kogo więc mam śpiewać? Powinienem dla publiczności i cały czas to robię, a dziennikarze... Cóż, muszą się pogodzić z istnieniem Krzysztofa Krawczyka na polskiej estradzie i zapraszam ich na swoje koncerty, zapraszam na rozmowę, żeby o nas pisać prawdziwie, trzeba na znać, spędzać z nami czas, poznać kulisy naszego zawodu, blaski, cienie.

— W ciągu tego jednego tylko roku zebrał pan mnóstwo doświadczeń, przeważnie gorzkich i bolesnych, choć z drugiej strony powrócił do statusu piosenkarza nr 1 w Polsce. Ciekawy jestem jak pan je teraz wykorzysta i co zmieni się w związku z tym w jego dalszej karierze?

— Zamierzam podwyższyć poprzeczkę wymagań zarówno w formie kompozycji, jak i tekstów. Programy estradowe reżyseruję sam, nagrywam na taśmę video, kontroluję, koryguję błędy. Nie jestem sam, pracuję z ludźmi, których obdarzyłem zaufaniem. Z zarzutu piosenkarz „eklektyczny" nigdy się nie wybronię, ponieważ jestem takim piosenkarzem.

— Podobno znowu jest pan namawiany na występy przed amerykańską Polonią?

— To prawda, że mnie tam wspominają i niewykluczone, że wspólnie z „Rodziną Krawczyka" odwiedzimy rodaków za oceanem. Wielki Goethe ostrzegał artystów: „Nie odcinajcie się od własnych korzeni, bo przestaniecie być artystami". Mnie to już nie grozi. Jestem w domu.

— Znowu ta Ameryka, a tymczasem rynek wschodni stoi przed panem otworem, choć na wielką karierę Karela Gotta jest już chyba za późno?

— Nie zamierzam robić kariery od nowa, bo już ją zrobiłem. A przyjaciół wcześniej czy później trzeba będzie odwiedzić.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

LIST Z WARSZAWY

Od czasu wynalezienia wozu konnego toczy się spór między koniem, dyszlem a woźnicą o to, kto kieruje?

Koń mówi: — Oczywiście, że ja prowadzę, ale dyszel mi się opiera, nie chce skręcać, a woźnica batem tylko umie zaciąć i nie widzi, kto winien.

Dyszel: — Ode mnie zależy, gdzie skręcić, jeno że koń chce w lewo, a woźnica w prawo.

Woźnica: — Jasne, że ja kieruję, tyle że koń się biesi a i dyszel twardo przy swoim obstaje.

Spór ten może zakończyć się np. w taki sposób: Koń, zrezygnowany, opuszcza łeb i bezmyślnie przestawia na przemian nogi do przodu, dyszel dogmatycznie sterczy na wprost, a woźnica utrudzony kłótnią zasypia. Wóz toczy się wyjeżdżonymi przez lata koleinami tam, gdzie one wiodą. Droga jest niewygodna, koła grzęzną w piachu po osie, wreszcie przestają się kręcić i zaprzęg zatrzymuje się. Do przodu jechać nie da rady, a na wycofanie — za późno. Tymczasem inne pojazdy mkną nowoczesną wyasfaltowaną drogą, którą uczestnicy sporu, zajęci ostrą kłótnią, po prostu przeoczyli.

Takie skojarzenia-majaczenia opanowały moją głowę po pewnym czołowym zderzeniu z rzeczywistością. Oczarowany niedawnymi enuncjacjami na temat kolportażu prasy, w tym „Odgłosów" uwierzyłem w liczne przeszkody i trudności, a także zapewnienia, że dołoży się wszelkich starań, że właściwie nie trzeba dużo wysiłku, by poprawić „stan rzeczy", tylko ciężar tego odpowiedzialnego zadania rozłożyć się powinno sprawiedliwiej. I tu można by przytoczyć racje Konia, Dyszla i Woźnicy. Każdy widzi swoje winiąc się wzajemnie, tymczasem wóz stoi zakopany po osie na amen.

Do rzeczy, jednak. W ciągu ostatniego roku byłem w Warszawie wielokrotnie. Często chciałem kupić „Odgłosy". Z różnym skutkiem, najczęściej marnym, zjawiałem się bowiem za późno. Tygodnik nasz pokazuje się w stolicy w piątek. W Śródmieściu można kupić go w klubach prasy: przy Nowym Świecie (róg Al. Jerozolimskich) i na Ścianie Wschodniej, przy Sienkiewicza. Oczywiście na dworcu również i w kiosku przy hotelu Monopol. Ostatnio udało mi się dostać jeden numer, a chciałem dwa. Pani (w Klubie Prasy przy Nowym Świecie) prawie krzyknęła:

— „Dwa? Nigdy! «Odgłosy» sprzedajemy po jednym egzemplarzu. «Trybuny Ludu» może pan kupić po 10 sztuk. Ale nie «Odgłosów».

A więc reglamentacja naszego pisma! Otrzymują kilkadziesiąt numerów i sprzedają je w ciągu niecałej godziny. Są ludzie (tak mówi sprzedawczyni), którzy czekają na dostawę prasy, specjalnie po „Odgłosy". Wiele osób odchodzi od lady z niczym. Dokładnie tak samo jest w drugim wymienionym Klubie Prasy. Tam pani uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

— «Odgłosy»? Sprzedajemy w ciągu kilkunastu minut. Chętnych jest dużo więcej niż egzemplarzy pisma".

Z jednej strony bardzo mnie to ucieszyło. Ale tylko z jednej.

Czy nasza łódzka dyrekcja PUPiK „Ruch" wie o tym? Nie wie, bo warszawska dyrekcja nie kiwnęła palcem, by o tym poinformować. Wiem, że nasz oddział na każdy sygnał „z Polski" może wysłać dodatkowe ilości gazety. Zatem takich sygnałów nie ma. (Mógłby sam zainteresować się, wysondować „jak idzie?", ale tego nie czyni). A może panie sprzedawczynie nie powiadamiają swojej dyrekcji, której do głowy nie przyjdzie, że łódzka gazeta może być tak popularna i poszukiwana w Warszawie? Widocznie (sprzedawczynie) nie mają takiego obowiązku.

Czy tak jest w innych miastach? Nie wiem. Może nie, a może tak. W jakim świetle zatem jawią się różne badania poczytności czy tylko znajomości gazet i czasopism niecentralnych? W fałszywym.

Warto więc, drogi Koniu, Dyszlu i Woźnico wybrać spośród siebie kapitana, i,uznając jego „rolę kierowniczą", dopomóc w wyprowadzeniu wozu na twardą drogę. Ulży to Wam, a zadowoli jeszcze parę osób.

MAREK KOPROWSKI

„PARA ABSURDEM NASYCONA"

W nawiązaniu do artykułu opublikowanego w Tygodniku „Odgłosy" z 4 października 1986 roku pt. „Para absurdem nasycona" należy na początek przypomnieć parę faktów niezbędnych do zrozumienia opisanego problemu.

W 1976 roku oddano do użytku ciepłownię miejską o wydajności 85 Gcal/h, aby pokryć zapotrzebowanie na ciepło szybko rozbudowującego się Bełchatowa. Ciepłownia miejska opalana była i jest węglem kamiennym, ponieważ było to jedyne możliwe rozwiązanie. Do wydobycia węgla brunatnego było jeszcze daleko, podobnie jak do uruchomienia pierwszego bloku energetycznego. Ponadto Bełchatów nie posiadał wówczas bocznicy kolejowej i z tego powodu dowożono węgiel kamienny transportem samochodowym z Piotrkowa Tryb.

Ze względu na niższą kaloryczność węgla brunatnego, którego potrzeba trzykrotnie więcej dla uzyskania wymaganych parametrów grzewczych, budowa ciepłowni na węgiel brunatny nie była przedsięwzięciem ekonomicznym. Ponadto wybudować należałoby w tych warunkach również stację uzdatniania węgla brunatnego, co pociągnęłoby za sobą dodatkowe wysokie koszty. Potwierdzeniem powyższego była przedstawiona w 1979 roku ekspertyza firmowana przez Energoprojekt i Państwową Inspekcję Gospodarki Paliwowo-Energetycznej (dzisiaj GIGE), która wykazywała, że „najtańsze będzie ogrzewanie węglem kamiennym, a najdroższe zaś przez Elektrownię".

W omawianym okresie węgiel brunatny był również dowożony z Konina dla potrzeb inwestycji. Z chwilą uruchomienia pierwszego bloku energetycznego 360 MW dostarczany węgiel brunatny pochodził już z miejscowego złoża.

Dalszy dynamiczny rozwój Bełchatowa spowodował potrzebę uzupełnienia potrzeb grzewczych dla 50-tysięcznego miasta. Na dzień dzisiejszy zlecono Energoprojektowi w Warszawie opracowanie założeń techniczno-ekonomicznych budowy magistrali ciepłowniczej od Elektrowni Bełchatów do miasta Bełchatowa — na odcinku 12 km. Po przekazaniu pierwszej części projektu technicznego, w 1987 roku planowane jest rozpoczęcie 4-kilometrowego odcinka magistrali ciepłowniczej.

Natomiast Elektrownia Bełchatów będzie mogła przekazywać ciepło do celów grzewczych dla miasta Bełchatowa po uruchomieniu bloków energetycznych nr X, XI, XII. Związane to jest z koniecznością wprowadzenia zmian projektowych turbiny 360 MW. Turbina ta musi mieć charakter kompensacyjno-upustowy, co pozwoli na odprowadzenie wody przez pompownię, węzeł mieszający i rurociągi 2×700 mm do Bełchatowa. Jednocześnie należy podkreślić, że budowa magistrali ciepłowniczej nie wyeliminuje pracy ciepłowni miejskiej, która w dalszym ciągu będzie funkcjonować jako ciepłownia szczytowa w okresie grzewczym.

Informacyjnie chciałbym dodać, że koszt tego przedsięwzięcia liczony w cenach 1985 roku zamyka się kwotą ponad 2,5 mld zł a nie jak podano 300 mln złotych.

Mgr MIECZYSŁAW SKROBEK
wiceprezydent Bełchatowa

KRATOWAĆ CZY NIE KRATOWAĆ?

Często „Odgłosy" zajmują się problematyką budowlaną. Niechże i ja dorzucę swój kamyk do tego ogródka. A chodzi o coraz częstsze kratowanie balkonów i loggi przez mieszkańców zbulwersowanych kradzieżami. Mamy bowiem złodziei-specjalistów przechodzących na balkony z pomieszczeń zsypowych, z korytarzy itp., a nie każdy ma takiego pecha, jak ów opisany niedawno w prasie, któremu zerwała się lina i postradał życie po upadku z X kondygnacji.

„Kratować czy nie kratować" — to również częsty temat polemik między mieszkańcami a zarządami spółdzielni. Pan „x" prosi o okratowanie na koszt spółdzielni, bowiem nie jest zachowany „komplementarny wymóg bezpieczeństwa" jego mienia. Pani „y" mieszkająca nad x stanowczo oponuje wysnuwając wniosek, że po tych kratach złodziej będzie miał zupełnie łatwe dojście do jej balkonu czy loggi.

Zostawmy jednak spółdzielnie i ich członków. Niech dyskutują, niech się nawet procesują. Lecz istnieje pytanie podstawowe: — co na to władze architektoniczno-budowlane i straż pożarna?

Jak dotychczas — władze skrzętnie omijają temat, nie udzielając jednoznacznych odpowiedzi, mimo że podobno elewacja i jej wygląd jest domeną tychże władz. Pamiętamy dyskusje, czy ktoś może wymalować na ścianie swego balkonu obrzydliwego krasnoludka lub postawić przed domem grzyby z gipsu? Też nic z nich nie wyszło.

Nie wypowiada się również straż pożarna. Czy takie „kratowanie" nie jest w sprzeczności z zasadami bezpieczeństwa publicznego, a więc i przeciwpożarowego? A niech się zapali i będzie odcięte dojście do klatki schodowej? Może się mylę. Niech mnie ktoś sprostuje. Lecz nie bądźmy mądrzy po szkodzie, tak jak w przypadku katastrof na Retkini. Czy jest to rzeczywiście sprawa tylko spółdzielni i ich członków? Wątpię.

(WAF)

CENNA INICJATYWA WYDAWNICZA

Z inicjatywy Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi — Instytutu Pamięci Narodowej i Wojewódzkiego Obywatelskiego Komitetu Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa ukazał się folder zawierający podstawowe informacje o hitlerowskiej polityce eksterminacyjnej w naszym mieście w latach 1939—1945.

W informatorze można znaleźć dane dotyczące hitlerowskiego aparatu terroru, miejsc eksterminacji łodzian — m. in. obozu w Radogoszczu, obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej, getta łódzkiego, grabieży i niszczenia dóbr kultury oraz miejsc kultu religijnego.

Integralną częścią folderu jest mapa, na której oznaczono siedziby władz, urzędów i instytucji niemieckich, które prowadziły bezpośrednią lub pośrednią działalność wyniszczającą.

Warto go polecić wszystkim łodzianom, szczególnie zaś młodzieży, dla której folder stanowić może cenne źródło poznania okupacyjnej przeszłości naszego miasta.

J.K.

NIE TYLKO SZPITAL WOJSKOWY

W jednym z numerów „Odgłosów" Jerzy Jędrzejewski podzielił się z czytelnikami wspomnieniami o działalności wojskowego szpitala przy ul. Żeromskiego nr 113 w okresie września 1939 roku oraz dalszych miesięcy jego działalności. Nie negując wspominków autora ani zebranych przez niego wiadomości muszę autorytatywnie oświadczyć, że polska służba zdrowia w wojnie obronnej 1939 r. odznaczyła się nie tylko w tym jednym szpitalu.

Latem 1939 roku założono szpital polowy dla rannych polskich żołnierzy w domu starców przy ul. Narutowicza nr 60, przerzucając podopiecznych tego domu na wyższe piętra gmachu. Od początku września szpital zaczął przyjmować rannych przywożonych znad Warty i okolic Łodzi.

Po zajęciu miasta przez Niemców rannych uznano za jeńców wojennych. Przy szpitalu ustawiono posterunki wojskowe, które bacznie kontrolowały wchodzących i wychodzących z niego ludzi.

Uczniowie 193 Gimnazjum i Liceum im. ks. Ignacego Skorupki, a m.in. harcerze z 8 ŁDH im. Adama Mickiewicza korzystali z kaplicy w tym budynku, w której odbywały się nabożeństwa szkolne. Korzystając z tych możliwości przynosiliśmy na teren szpitala drobne paczki dla rannych ze środkami toaletowymi, papierosami itp. Któregoś dnia jedna z sióstr PCK p. Maria poprosiła nas o uczestniczenie w akcji zbierania ubrań cywilnych, przeznaczonych dla rannych oficerów i podchorążych, których należało wyprowadzić ze szpitala, aby w ten sposób ci uniknęli niewoli niemieckiej i wywiezienia ich w głąb Niemiec. Akcję zbierania ubrań cywilnych przeprowadzaliśmy pomiędzy członkami własnej rodziny, krewnymi, znajomymi i sąsiadami. Warto zaznaczyć, że stosunkowo dużo części ubrań ofiarowały rodziny żydowskie — kupcy, rzemieślnicy i proletariat. W ten sposób udało się nam zebrać około 60 pełnych kompletów ubrań.

Takie ucieczki zdarzały się nie tylko w szpitalu polowym przy ul. Narutowicza nr 60. Np. harcerkom, które nawiązały kontakt z rannymi polskimi jeńcami udało się wyprowadzić kilku polskich oficerów i podchorążych.

Z posiadanych obecnie materiałów wynika, że harcerstwo łódzkie w 1939 roku opiekowało się rannymi żołnierzami polskimi ogółem w 12 szpitalach — wojskowym miejskim, ubezpieczalni społecznej i polowymi oraz jednym punktem opatrunkowym dla lżej rannych w niewoli niemieckiej. Dla tego obozu harcerze z 20 ŁDH przeprowadzili zbiórkę książek, które zostały zabrane przez wywiezionych do Niemiec żołnierzy.

M.K.

ZAPOMNIANE MOGIŁY

Wychowany byłem w legendzie dawnych wspomnień popowstaniowych i zrywów rewolucyjnych. Pradziad mój po upadku powstania 1863 roku musiał zmienić nazwisko i tak już pozostało. Nawet nie próbowaliśmy wracać do starego nazwiska rodowego. Drugi pradziad szedł z Langiewiczem po całej ziemi kieleckiej. Może dlatego ja jako trzynastoletni harcerz brałem udział w Wojennym Pogotowiu Harcerzy 1939 roku, a potem w konspiracji. Dlatego pozostał u mnie sentyment do wojennych mogił. Z bólem serca muszę stwierdzić, że mogiły takie bywają coraz częściej zapomniane. Im dłużej istnieją, tym trudniej można wysnuć z nich historię.

W czasie I wojny światowej słynną była owa krwawa bitwa pod Łodzią toczona w listopadzie i grudniu 1914 roku. Jako pamiątka po stoczonych krwawych zmaganiach pozostały pod miastem dwa wojenne cmentarze. Pierwszy z nich leży na wzgórzu opodal wsi Gospodarz koło Rzgowa i mieści ponad 10 000 poległych obydwu armii zaborczych — niemieckiej i rosyjskiej — w których służyło wielu Polaków. Drugi z tych cmentarzy znajduje się w lesie pod wsią Krogulec obok Zgierza i liczy około 5 000 mogił poległych.

Na cmentarzu pod Rzgowem leżącym na wzgórzu, na którym ulokowano wielki metalowy krzyż przymocowany stalowymi linami, aby wichry nie obaliły go, wzdłuż alei wiodącej środkiem cmentarza ustawiono kamienne cokoły z numerami i nazwami pułków, które brały udział w tych krwawych zmaganiach.

Cmentarz wojenny w Krogulcu przedstawiał się mniej okazale, ale i tam na dużym głazie wyryto litery i cyfry wszystkich pułków walczących po przeciwnych stronach.

Minęły jednak lata. Od słynnej, krwawej bitwy pod Łodzią upłynęło już ponad 80 lat. Na wojenne cmentarze zaczął wkraczać ząb czasu. Kruszyły się stare obmurowania ceglane, zapadały się pojedyncze oficerskie mogiły. Wreszcie któregoś roku runął wielki krzyż, któremu nie pomogły stalowe liny, gdyż zjadła je korozja. Zapadły się także mogiły na cmentarzu wojennym w Krogulcu, zaś kamienne napisy, cyfry na głazie pokrył leśny mech, czyniąc je niezdatnymi do odczytania. Mało osób zapamiętało tamte czasy, bo i świadkowie owych wydarzeń już dawno odeszli w nicość.

Druga wojna światowa rozsypała po naszych ziemiach nowe mogiły. We wrześniu 1939 roku po wkroczeniu okupanta do Łodzi działałem nadal w Wojennym Pogotowiu Harcerzy. Opiekowaliśmy się wówczas grobami poległych i zmarłych z ran żołnierzy polskich, których m. in. chowano na cmentarzu ówczesnej wsi Mania. Zmarłych przewożono w prostych, sosnowych trumnach na dużych konnych platformach i grzebano na żołnierskiej kwaterze. Pamiętam organizowanie wędrówek na ten cmentarz z gałęźmi jedliny w plecakach i tornistrach. Szliśmy pieszo, gdyż tramwaj dojeżdżał jedynie do torów kolejowych na Kozinach.

Najwięcej wspomnień mam jednak ze starego cmentarza rzymsko-katolickiego przy ul. Ogrodowej, gdzie pozostało stosunkowo najwięcej mogił związanych z walkami o wolność i historią Łodzi. Są na nim mogiły poległych w powstaniu 1863 roku w bitwie pod Dobrą, rewolucjonistów 1905—1907 roku, żołnierzy walk I wojny w latach 1914—1920 r., weteranów 1863 r., inwalidów wojennych, uczestników kampanii wrześniowej, a także zmarłych kombatantów i powstańców warszawskich. Najlepiej zachowały się groby tych, których rodziny jeszcze żyją. Mogiły innych pokryło zapomnienie.

Był swego czasu dobry i piękny zwyczaj, że drużyny harcerskie brały na siebie opiekę nad starymi, związanymi z naszą historią grobami i to nie tylko przed Świętem Zmarłych. Czyż nie warto byłoby, aby ten zwyczaj odnowić? Każdy grób bowiem to cząstka naszej historii, a to nie powinno ulec zapomnieniu.

MIECZYSŁAW KOZAK

RZEMIEŚLNICY RZEŹBIĄ

Już po raz drugi Izba Rzemieślnicza w Białymstoku była organizatorem Ogólnopolskiego Pleneru Rzeźbiarskiego Rzemiosła w Supraślu koło Białegostoku. Pierwszy — ubiegłoroczny plener wykazał, że tego typu warsztaty twórcze znakomicie wypełniają lukę w doskonaleniu kunsztu rzemieślniczego, gdyż rzemieślnicy uprawiający tę dyscyplinę są częstokroć samoukami i mają trudności w zdobyciu odpowiedniego doświadczenia zawodowego.

12 uczestników reprezentowało 9 izb rzemieślniczych. Według ich zgodnej opinii, naturalne warunki jakimi dysponuje Supraśl, atmosfera pleneru, o której stanowił jego komisarz Janusz Doroszkiewicz pozwalają na powstawanie prac, które w warsztacie rzemieślniczym nie mogłyby powstać ze względu na brak zamówień, czasu czy wreszcie natchnienia.

Niepowtarzalna i urokliwa „Jesień" Bronisława Mazura z Cieszyna, wyróżniona złotym medalem, mogłaby być ozdobą niejednej galerii. Do ubiegłorocznych tradycji nawiązał zdobywca srebrnego medalu Henryk Jaśkiewicz z Łodzi rzeźbiąc nierzadki motyw sztuki ludowej „Borutę". Trzecie miejsce i brązowy medal zdobył Andrzej Kwederacki z Lidzbarka Warmińskiego za pracę „Grajek".

Najlepsze prace eksponowane będą m. in. na Ogólnopolskiej Wystawie Rzemiosł Artystycznych w „Arsenale" w Warszawie od 1.XII.1986 r. do 31.I.1987 r.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Kiedy karp poważnieje

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy pod koniec 1979 r. zapytałem Stanisława Rożeja, dyrektora Państwowego Gospodarstwa Rybackiego — Łódź, gdzie jest karp, odparł z uśmiechem, że oczywiście w wodzie, ale trzeba go bardzo uważnie szukać, po czym zaserwował mi historię o masowym ginięciu ryb w odludnych rejonach Norwegii. Analiza wykazała, iż woda jezior zawiera znaczny procent rozcieńczonego kwasu siarkowego, który dotarł tam w chmurach z odległości tysiąca kilometrów, powstałych nad skupiskami przemysłu Europy i opadł z deszczem do jezior. Uratowanie 1 km kw. lustra wody kosztowało wtedy 400 tys. dolarów. Następnie dyrektor Rożej wyjaśnił mi, co robią rybacy, aby ryby były, i co robią inni, aby ryb nie było. Mówił o trucicielach, którzy twierdzą bezczelnie: „Po co hodujecie ryby tam, gdzie wiadomo, że woda może być zatruta?" Mówił także, iż według planów Państwowe Gospodarstwo Rybackie — Łódź, obejmujące województwa: łódzkie, sieradzkie, skierniewickie i piotrkowskie, ma stracić do roku 1985 około 1200 ha stawów, m.in. wskutek rozwoju Bełchatowskiego Okręgu Węglowego i powstającego leja depresyjnego, który wyssa wodę ze stawów.

Po rozmowie z panem Rożejem napisałem, iż niebawem każdy znajdzie na gwiazdkę karpia pod choinką, ale w atlasie zoologicznym. No bo przecież rozwój przemysłu nie zostanie zastopowany, ubędzie wód gruntowych, nasili się chemizacja rolnictwa. Detergenty, herbicydy, fenol, trujące związki siarki. Nie ma nic gorszego dla ryb, jak nagłe zakwaszenie wody.

Chyba przed dwoma laty jeden z prominentów zapewniał mnie, że pyły dymnicowe z elektrociepłowni są nieszkodliwe, a dawane umiarkowanie nawet użyźniają glebę.

No i gdy zaczęto zasypywać tymi pyłami 3 ha glinianek w Gospodarzu, wszystkie karasie, liny i szczupaki popłynęły do góry brzuchem. Przypomniałem sobie wtedy dzieciństwo i rybki łowione w sadzawkach, gliniankach i torfiankach, które przez lata zdążyły wyschnąć, zarosły albo zostały zasypane śmieciami. Pomyślałem wówczas, że w tym najmniejszym województwie, jakim jest łódzkie miejskie, do którego wodę trzeba czerpać z Pilicy, bo dwie największe rzeki — Ner i Bzura — są kanałami ściekowymi, a w gruncie już prawie nie ma wody, nie uchowa się żadna ryba.

Na szczęście myliłem się w swych przewidywaniach. W marcu 1984 r. władze wojewódzkie, a konkretnie wydział geodezji i gospodarki gruntami Urzędu Miasta w Łodzi, przedstawiły wszystkim zainteresowanym program ujednolicenia toku postępowania w sprawie dofinansowania prac rekultywacyjnych z Funduszu Ochrony Gruntów Rolnych oraz „konieczności ściślejszego współdziałania w tym przedmiocie określonych jednostek organizacyjnych". Rzecz w tym, iż każdy rolnik indywidualny lub jednostka gospodarki uspołecznionej ma prawo złożyć wniosek zawierający zamiar wykonania określonych zabiegów rekultywacyjnych z podaniem obszaru, terminem wykonania prac oraz deklaracji udziału własnego w robociźnie i środkach. Po zaopiniowaniu przez władze terenowe i określeniu kierunku zagospodarowania nieużytków po rekultywacji, z wnioskiem zapoznaje się wydział geodezji i gospodarki gruntami Urzędu Miasta Łodzi i po wizji lokalnej powiadamia rolnika o warunkach dofinansowania robót, przy czym Wojewódzkie Biuro Geodezji przystępuje do opracowania dokumentacji, której koszt obliczony zostaje z przyznanej rolnikowi kwoty na rekultywację.

W ten sposób władze wojewódzkie pomagają rolnikom w zagospodarowaniu nieużytków. Gra, jak to mówią, warta świeczki ponieważ na nieużytkach powstają najczęściej stawy hodowlane.

Aby sprawdzić, jakie są tego efekty, 30 września o godz. dziewiątej dwadzieścia staję przed obliczem dyrektora wydziału rolnictwa, gospodarki żywnościowej i leśnictwa UMŁ. W gabinecie zamiast palmy znajduje się wieniec dożynkowy w kształcie orła, upleciony z kłosów. Dar od rolników z Piątkowiska w gm. Pabianice, ponieważ MGR INŻ. MATEUSZ ZAWADZKI jest opiekunem tej gminy. Po urlopie dyrektor promieniuje humorem i piękną opalenizną, ale nie zawsze było mu tak wesoło. Kiedy po reformie administracyjnej przeszedł z komitetu do pracy w administracji, pluł sobie w brodę, bo jak tu rozwijać rolnictwo na takim skrawku ziemi?

— Kiedy zobaczyłem te strzechy i sposób gospodarowania we wsiach wokół Parzęczewa — mówi Zawadzki — ręce mi opadły. Jak można było tak żyć na granicy wielkiej aglomeracji?

No cóż, pod samą Łodzią było jeszcze gorzej, bo w powiat łódzki nie inwestowano, tylko w rolnictwo w powiatach leżących z dala od Łodzi. Trzeba było dziesięciu lat, żeby przebudować podłódzką wieś i jak się to brzydko mówi, w pełni ją umaszynowić. Zawadzki wciągnął się w tę robotę, bo on jest rolnikiem nie tylko z wykształcenia, ale i z pochodzenia, urodzonym na Ziemi Kutnowskiej. Dlatego przetrzymał i okresy trudne, gdy krytykowano wielkie, puste obory z „pierścienia mlecznego" i postulowano likwidację 12 ha szklarni w Widzewie pod Pabianicami. A ile było krzyku z powodu uboju prosiąt, których nie było czym żywić. O rzezi niewiniątek pisał w tonie katastroficznym także niejaki R.B. Ale wtedy, jak i zresztą dziś, każdy wiedział swoje. Czyli, jak mawia Roman Bratny, prawda jest jak dupa — każdy siedzi na swojej.

— No, a jak chodzi o ryby — podejmuję temat Zawadzki — to muszę pana pomęczyć liczbami.

— Panie Mateuszu, liczby czasem mówią więcej niż piękny referat.

— A więc zróbmy takie porównanie. W 1985 r. mieliśmy w województwie miejskim 342,8 ha powierzchni ogroblowanej...

— Co to znaczy?

— To są łącznie stawy zalane wodą i takie tereny, gdzie stawy kiedyś były, ale z różnych przyczyn zostały zlikwidowane. Bo czystej powierzchni lustra wody mamy tylko 198,3 ha. Ale w 1975 r. było jej zaledwie 155 ha. Rolnicy indywidualni dziesięć lat temu mieli 36 ha stawów, a w ubiegłym roku było już 52 ha. Aktualnie u rolników 63 ha stawów jest w odbudowie, a pozostaje do odbudowy jeszcze 10 ha. Jak więc pan widzi, w tym maleńkim województwie przybywa stawów. Zwiększa się także ilość ryb.

— Na to też ma pan dane?

— Proszę bardzo! W 1975 r. wyhodowano 67 ton ryb, przy średniej 437 kg z hektara, w ub. roku zaś 124,7 ton, średnio 638 kg z ha. Ogromny skok nastąpił u hodowców indywidualnych którzy przed dziesięciu laty „zbierali" 175 kg karpia z ha, a teraz średnio 673 kg.

— A w gospodarstwach uspołecznionych?

— W pegeerach też jest dobrze. Myślę, że nawet PGO Gospodarz wygrzebie się z dołka i odbuduje stawy, które chcieli już kupić prywatni nabywcy. Słabiej z produkcją ryb na 14 ha stawów jest w spółdzielni produkcyjnej Wróblew. Ale tam brakuje wody. Trzeba się będzie zastanowić, czy warto tam uruchomić studnie głębinowe, których odwierty zrobiono już kilkadziesiąt lat temu, żeby zasilić stawy w wodę. Ogólnie mogę powiedzieć, że co szósta lub siódma ryba do konsumpcji pochodzi z łódzkich stawów.

— To dużo, biorąc pod uwagę trudne warunki i obszar województwa miejskiego.

— No, nie wiem. Szczerze mówiąc, ludzie się namęczą, a efektów jakby nie widać. Gdybyśmy mieli takie miasto jak Sieradz, można by w pełni zaspokoić zapotrzebowanie na karpia. Jedno jest pewne, proszę pana. Ryba winna powoli wypierać inne mięso z naszych stołów. Ale czy tak będzie, musi pan zapytać ichtiologów. Jest taki jeden zapaleniec, nazywa się Olczyk...

Pana JERZEGO OLCZYKA, magistra inżyniera rybactwa, znalazłem w budynku przy ul. Narutowicza 59 dzięki uprzejmości pani z Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych, która wpuściła mnie na właściwe schody przez drzwi awaryjne. Po prostu zabłądziłem, nie mając pojęcia, że do takich, co się zrzeszają w branżach, trzeba wchodzić od tyłu, czyli od podwórza. Gabinet Olczyka, dyrektora Biura Zrzeszenia Producentów Ryb Ziemi Łódzkiej, a zarazem rzeczoznawcy w zakresie gospodarki śródlądowej, mieści się niemal na poddaszu i sąsiaduje przez ścianę ze Związkiem Drobiarzy. Aparat telefoniczny jest wspólny, toteż gdy dyrektor Olczyk odbierze parę telefonów do drobiarzy, to zaraz przychodzi stamtąd urocza blondynka z wyrazami wdzięczności i pyta, czy dyrektor nie nabyłby świeżych jajek. Branże współpracują zgodnie, oświecone celem nadrzędnym, tzn. abyśmy się mogli sami wyżywić.

W gabinecie nie ma palmy ani akwarium, co nie znaczy, że u rybaków panoszy się bieda. Dyrektor ma nawet prawdziwą kawę, którą spożyłem z nie mniejszym namaszczeniem niźli kolega Dorożyński w swoich rajdach samochodowych, dopóki nie przesiadł się w tramwaj.

Jerzy Olczyk jest krępy, szpakowaty, ma 40 lat, troje dzieci, roki w ramionach, ciemnowłosy, w okularach i nosi wysoko podciągnięty czarny golf, bo ta złota polska jesień każdemu atakuje gardło. Jest ruchliwy, elokwentny i niezwykle gościnny, kiedy więc ktoś się kryguje, że zabiera mu czas i sprawia kłopoty, mówi krótko, z uśmiechem: „W porządku, nie ma tematu!" Marzył mu się kiedyś mundur z szlifami oficerskimi, ale ponieważ, jak sam mówi, wychował się na stawach w Bełdowie, więc został ichtiologiem.

A z tą dumnie brzmiącą nazwą „Zrzeszenie Producentów Ryb Ziemi Łódzkiej", świadczącą, iż ryby Ziemi Łódzkiej są teraz produkowane, było tak, że w 1978 r. w ministerstwie rolnictwa powstała koncepcja, aby w skali kraju powołać zrzeszenie na wzór działających już w Krakowie i Gdańsku, które dawały niezłe efekty. W innych województwach stawy były zarośnięte, zakrzaczone, zdewastowane i Polska z eksportera stawała się importerem ryb słodkowodnych, trzeba było nawet kupić trochę karpia w Jugosławii, żeby jakoś starczyło na Wigilię.

Opiekunem rybackich zrzeszeń miał być ówczesny Centralny Związek Kółek Rolniczych. 27.IX.1978 r. odbył się zjazd organizacyjny delegatów z województwa łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego i przy udziale działaczy społecznych doszło do powstania zrzeszenia, do którego należało z początku 68 członków z czterech województw. Są to członkowie indywidualni, albo — jak się mówi — osoby fizyczne. Niemniej Zrzeszenie współpracuje ściśle i to owocnie z gospodarstwami rybackimi PGR i RSP.

W 1981 r. zrzeszenia rybackie wyłączyły się z kółek rolniczych i przeszły na własny garnuszek. Potem, jeśli ktoś chciał, mógł przejść na zasadzie dobrowolności pod opiekę Krajowego Związku Zrzeszeń Producentów Ryb.

— Panie dyrektorze, umówmy się, że będziemy mówić o województwie miejskim łódzkim

— Proszę bardzo! W tej chwili mamy 95 członków, a największe skupisko hodowców ryb znajduje się w gm. Zgierz, za którą podąża już gmina Pabianice, gdzie w Rydzynkach powstają nowe stawy. Ostatnio w Byszewach, gm. Nowosolna, czterech rolników zagospodarowało wspólnie nieużytki przy drodze i teraz każdy ma już stawy na własnym terenie. Poza tym w Sereczynie, gm Pabianice, bracia Oleśkowie nabyli gospodarstwo rolne o powierzchni blisko 100 ha, oddane kiedyś lekką ręką PGR w Dłutowie i odbudowują zdewastowane stawy. Do życia przywraca się także stawy w Żerominie, nieczynne prawie od wojny, a leżące w pobliżu Tuszyna.

— Podobno wasi członkowie osiągają rekordowe wyniki?

— Widzi pan, w gospodarce uspołecznionej rybę hoduje się przeważnie z kroczka, a więc w cyklu trzyletnim. Indywidualny rybak prowadzi hodowlę z narybku, gdyż ma więcej czasu na opiekę nad swoim stawem, no i dzięki temu już po dwóch latach uzyskuje rybę o wadze handlowej. Nasi działacze i prezesi, jak pan Marian Młotkiewicz, pan Wroński czy Zenon Gogacz, są zarazem najlepszymi hodowcami. Osiągają od 1800 kg do ponad dwóch ton ryby z hektara, w zależności czy jest to kroczek, czy ryba handlowa. To są prawdziwi pasjonaci.

— O panu mówią to samo. Potrzebny jest taki dyrektor i takie zrzeszenie...

Zza szkieł okularów Olczyka wydobywają się takie błyski, jakby w głowie coś się zapaliło. Zdaje się, że trąciłem w czułą strunę.

— Proszę pana, kto myśli tylko o forsie, ten nie powinien brać się za ryby. Do tego trzeba jeszcze mieć serce. Prezesi rządzą, a dyrektor jest od roboty. Lubię tę robotę. A Zrzeszenie jest potrzebne choćby dlatego, żeby napływ nowych członków nie obniżał nam wyników. Trzeba tych ludzi wiele nauczyć, przeszkolić, zmienić mentalność. Trzeba im pomóc w budowie stawu, zdobyciu materiału hodowlanego, sprzętu, leków, właściwej paszy itp.

— Ale czemu zaraz zmieniać mentalność?

— Bo to jest tak, że o opłacalności hodowli decyduje wielokrotność przyrostu. Ludzie myślą więc sobie, że trzeba nawpuszczać jak najwięcej rybek do wody, najlepiej jedną na metr kwadratowy, co jest kompletną bzdurą. Na hektarze wody powinno się hodować 1000 sztuk. Bo jak jest więcej, to karp zamiast rosnąć — poważnieje...

— Czasem nie zdąży nawet spoważnieć...

Zza szkieł idą teraz takie błyski, jakby zbierało się na burzę.

— No pewnie — mówi z gryzącą ironią Olczyk - ale ryba do wszystkiego przywyknie. Pod Włocławkiem łowi się piękne okazy, których skrzela cuchną ropą. Każdy trucicie! uważa, że tylko jego produkcja się liczy, ma więc prawo odprowadzać ścieki, wobec czego należy zaprzestać produkcji ryb. Oni liczą na ważność swojej produkcji, a ja liczę na pomoc Państwowej Straży Rybackiej i społecznych straży rybackich, które będą ostrzejsze w działaniu niż IRCh-a. Nie wiem tylko, czy jakakolwiek straż pomoże w takim wypadku, jaki zdarzył się ostatnio w Wojciechowie, gdzie zginęła woda ze stawów dla wędkarzy, wyssana przez lej bełchatowski...

— Wędkarze robią szum wokół każdego zatrucia — rzucam prowokacyjnie — **a hodowcy pozostają w cieniu, bo jest ich mało, chociaż ich produkcja bywa narażona na większe straty.**

— Ano właśnie! — podchwytuje J. Olczyk. — W NRD wędkarze prowadzą normalną produkcję w swoich stawach, potem łowią ryby duże, handlowe. U nas wpuszczają narybek i za rok wyciągają drobiazg, bo nie mogą się doczekać na drgnięcie spławika. A my musimy starać się o narybek innych gatunków ryb. Króluje karp, ale ta królewska ryba mocno staniała... Tak, tak, proszę pana! Brakuje lina, szczupaka, leszcza, więc jak się tylko pojawi w sklepie, cena jest tak wysoka, że karp aż się rumieni ze wstydu.

Dyrektor Olczyk odbiera kolejny telefon do drobiarzy, a ja przypalam papierosa przedniej marki socjalistycznej, tj. albańską „Riwierę", by stłumić atak kaszlu. Klin klinem, kaszel na kaszel.

— Ciekaw jestem — charczę przez łzy — **czy władza kocha takich pasjonatów?**

— Z władzą wojewódzką układa się nam dobrze, jest pomoc i zrozumienie. Gorzej w terenie. Ludzie bez wyobraźni nie zdają sobie sprawy, że gdy poziom wód gruntowych opada, każdy staw spełnia rolę zbiornika retencyjnego i reguluje stosunki wodne. Podczas suszy nawadnia, a gdy roztopy — ściąga wodę z okolicznych pól. Są kłopoty z rolnikami, którzy wolą paść krowy i owce na nieużytkach, zamiast właściwie je zagospodarować. W ten sposób straciliśmy 4 ha stawów w Kotowicach, gdzie były ślady grobli. Nie pozwolono odbudować stawów, pozostały nieużytki z podłą trawą, miejscowy rolnik pasie krowy, a ryb nie ma.

— Hodowla ryb na wodach pobieranych z Neru w Gospodarzu jest ewenementem, co?

— Nie, bo w górnym biegu Neru, w Glemzowie, Jerzy Kwiatkowski także założył staw na nieużytkach. Ale jak Rzgów zacznie po cichu spuszczać ścieki do Neru, to i Gospodarz nie będzie mieć ryb. Badania wykazały, że w naszych stawach woda i ryby są jeszcze zdrowe. Niech pan nie wierzy tym, którzy mówią, że ryba morska jest zdrowsza, bo pochodzi z czystych wód. Kiedy się zamyka nadbałtyckie plaże, trudno szastać powiedzonkiem typu „zdrów jak ryba"...

— Uważa pan, że w województwie miejskim będzie więcej stawów i ryb?

— Myślę, że kłopoty będą mieć duże gospodarstwa rybackie. Mniejsze jakoś się uchowają. Jasne, że widzę niebezpieczeństwa, ale stawy położone blisko źródeł jeszcze długo będą mieć zapewnioną egzystencję, i to nie na dużych rzekach, lecz małych ciekach. Poza tym na krótkim odcinku rzeki lub strumienia łatwo wykryć trucicieli i zlikwidować źródło zanieczyszczeń.

No cóż, byłbym pełen optymizmu, gdyby nie świadomość, iż istnieją zagrożenia, którym nie zapobiegają pasjonaci ze zrzeszeń rybackich. Przed laty napisałem, że to, co się zdarzyło w Norwegii, zostało ogłoszone w roku 1976 na międzynarodowym kongresie hydrobiologów w Warszawie. Wyciągnięto wówczas wniosek, że ludzie bardzo pragną budować, lecz nie bardzo chcą wiedzieć, skąd się bierze to, co jedzą. Po dziesięciu latach Skandynawia oskarża Europę zachodnią o szkody wynikające z emisji zasiarczonych dymów i opadów kwaśnych deszczów.

Kwaśne deszcze są już w Polsce, o czym się głośno nie mówi, chociaż wszyscy wiedzą, że np. złoża bełchatowskie są zasiarczone. Dzięki wysokim kominom elektrowni związki siarki nie spadają na Bełchatów, lecz gdy powieją „pomyślne" wiatry, spłyną na Łódź.

Tego roku po okresie upałów przyszła gwałtowna burza z ulewą i w stawach nastąpiły śnięcia ryb. W kałużach znajdowała się żółtozielona substancja, którą uznano za pyłki kwiatowe drzew.

MAREK MAMOS

Ślady zapomnianych przodków

Około 6 tysięcy lat temu na Bliskim Wschodzie następował świt cywilizacji rolniczej. W północnej części Mezopotamii na terenie dzisiejszego Iraku, Turcji i Palestyny zakładano pierwsze osady Dżarmo, Chatal, Hüyük oraz najsłynniejsze z nich Jerycho, którego mury później, znacznie później, runęły obalone dźwiękiem trąb Izraelitów.

Mieszkańcy dorzecza Eufratu i Tygrysu wiedzieli kiedy siać zboże, potrafili hodować zwierzęta, umieli w czasie polowań wykorzystać słuch i węch psa, a nocą jego czujność. Nie mamy pewności czy znali koło. Wiemy natomiast na pewno, że potrafili wypalać z gliny naczynia i figurki bóstw.

W tym czasie nad rzeczką Jasień na terenie dzisiejszej Łodzi również żyli ludzie. Dla współczesnego mieszkańca miasta jest to fakt zaskakujący. Przyzwyczajeni jesteśmy do myśli, że historia tych ziem zaczyna się w XIX wieku wraz z rozwojem przemysłu włókienniczego, który podbił rynki Rosji, Dalekiego Wschodu i Bałkanów. Zanim jednak poczęły huczeć fabryki, zanim Łódź stała się w 1423 roku miastem w dobrach biskupów włocławskich, zanim nawet stała się wsią jej teren był zamieszkany i to od kilku tysięcy lat.

Na ślad ówczesnych gospodarzy tych ziem wpadli pracownicy Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi badający metr po metrze brzegi łódzkich rzeczek. Podstawowym bowiem warunkiem wszelkiego osadnictwa jest woda. Woda, która jak mówią mędrcy, była kolebką życia na Ziemi i bez której życie na naszej planecie jest niemożliwe.

I tak oto wędrując krok za krokiem wzdłuż rzeczki Jasień, na wydmie porośniętej obecnie brzozowym zagajnikiem znaleziono okruchy kamieni ukształtowanych ręką człowieka.

Co możemy powiedzieć o tym jak żyli, czym się zajmowali „prałodzianie" 6 tysięcy lat temu?

Cała północno-wschodnia Europa pokryta była bezkresnymi lasami. Klimat nieco łagodniejszy od obecnego sprzyjał bogactwu roślin, a jeszcze bardziej zwierząt. Łatwo można było spotkać liczne stada jeleni, żubrów, wielkie tury i puszyste sobole. Wody obfitowały w ryby. Ludzie zajmowali się zbieractwem i łowiectwem. Żyli z tego co ofiarowała im sama przyroda.

Głównym materiałem było drewno, ale najlepiej przetrwały wyroby z kamienia. Z niego wytwarzano niezbędne narzędzia. Dlatego też tamte czasy zostały nazwane epoką kamienia.

Nad Jasieniem, a także na Stokach i Chojnach znaleziono kamienne siekierki precyzyjnie oszlifowane przez ówczesnych mistrzów, groty strzał, włóczni, krzemienne skrobaczki do skór upolowanych zwierząt oraz kościane igły. Jak wykazują najnowsze badania, ludzie dysponujący tymi prymitywnymi narzędziami poświęcali na zdobycie niezbędnego pożywienia jedną, dwie godziny dziennie.

Ciekawe jaki kształt miał

KRZEMIENNY NÓŻ CHIRURGICZNY.

Tak! To nie pomyłka. Archeolodzy znajdują dowody na to, że w epoce kamienia na ziemiach polskich przeprowadzano skomplikowane zabiegi chirurgiczne. W Łodzi takich śladów nie znaleziono, ale całkiem niedaleko stąd na Kujawach, w ogromnym grobowcu natrafiono na pochówek, który szczęśliwie zachował się do naszych czasów w stanie umożliwiającym badanie czaszki. Okazuje się, że zmarłym był mężczyzna około pięćdziesięcioletni, któremu przeprowadzano kilkakrotnie zabieg trepanacji. Dziś taka operacja nie jest żadną sensacją, aczkolwiek nadal bywa niebezpieczna. Tymczasem odkryty grobowiec pochodził sprzed 5 tysięcy lat.

Czym dysponowali ówcześni chirurdzy? Narzędziami krzemiennymi i ziołami, przy pomocy których odurzali pacjenta. W Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi znajduje się najlepiej w Polsce zachowana czaszka ze śladami zabiegów trepanacyjnych. Są w niej cztery otwory. Wiadomo, że nie powstały przypadkowo. Gdyby człowiek zmarł w wyniku urazów bądź nieudanego zabiegu ich brzegi byłyby ostre. Tymczasem trzy otwory mają krawędzie obłe, to znaczy, że zarastały się, czyli pacjent zabieg przeżył.

Któryś z wielkich renesansowych mistrzów dłuta (nie pamiętam który) powiedział, że posąg jest zamknięty w kamieniu. Rola rzeźbiarza polega tylko na obtłuczeniu tego co zbędne. Podobnie wyglądała obróbka krzemiennych toporów. Najpierw obtłukiwano drugim kamieniem kształt zbliżony do ostrza. Następnie polerowano brzegi mokrym piaskiem. Była to metoda niezwykle żmudna, ale bardzo prosta i skuteczna.

Gorzej przedstawiało się borowanie otworu na toporzysko. Ta praca wymagała najwyższych kwalifikacji i sporo cierpliwości. Otwór wykonywano przy pomocy rurki drewnianej, albo kościanej, którą dla większej skuteczności borowania także podsypywano mokrym piaskiem. Rurkę kręcono między dłońmi lub za pomocą cięciwy łuku.

Czy gospodarze obozowiska nad Jasieniem mieszkali w domach z drewna? Budulca było pod dostatkiem, posiadali odpowiednie narzędzia, ale żyli raczej w szałasach. Zbierali leśne runo i polowali, a więc musieli wędrować. Stałe siedziby zakładano dopiero w tzw. młodszej epoce kamienia, w okresie od 4.500 do 1.800 r. p.n.e., kiedy to nauczono się uprawiać ziemię.

Ziemie polskie w epoce kamienia były obszarem przenikania się różnych grup. W pewnym momencie dziejów wśród tutejszych ludów pojawili się

PRZYBYSZE Z POŁUDNIA,

znający rolnictwo. W morzu puszczy, na najżyźniejszych terenach powstały rolnicze wyspy.

Badania archeologiczne prowadzone w granicach dzisiejszej Łodzi nie wyjaśniają, niestety, jakie rośliny tu uprawiano i jakie zwierzęta hodowano. Możemy tylko przypuszczać, opierając się na badaniach z innych obszarów Polski, że zbierano pszenicę, żyto, owies, proso, len. Hodowano owce, krowy; udomowiono psa.

Nawozy były oczywiście obce ówczesnym rolnikom. Nie znali także trójpolówki. Polem był wypalony kawałek lasu, który uprawiano przez kilka lat, do wyjałowienia, a na ten czas opłacało się budować trwałe domostwa.

Pozostałości po budynkach drewnianych wykryto we wsi Dobroń. Chaty oblepiano wypaloną gliną, której fragmenty zachowały się do dziś. Poszczególne domy miały powierzchnię 25—30 metrów kwadratowych. Świadczą o tym zaciemnienia piasku, które archeologom mówią więcej niż się nam zdaje.

Człowiek od początku swego istnienia ma tę przypadłość, że śmieci. Dopóki nie wymyślono tworzyw sztucznych najczęściej były to odpadki organiczne, resztki pożywienia, kawałki drewna, jakieś rośliny, resztki skóry, tkanin itp. Te zaś z biegiem lat gniją, rozkładają się i powodują właśnie powstawanie zaciemnień, które mają dosyć regularne kształty domostw. Jeżeli jest ich kilka w najbliższej okolicy, jeżeli są jeszcze jakieś inne ślady materialne, to już nie może być wątpliwości, że w tym miejscu były ziemianki lub budynki drewniane.

O mieszkańcach tych chat można śmiało powiedzieć, że byli ludźmi cywilizowanymi w naszym pojęciu słowa cywilizacja. Przede wszystkim znali metody uprawy roli. Istniał handel. Prowadzono dalekosiężną wymianę towarową. Potrafiono prowadzić skomplikowaną obróbkę wielu materiałów: krzemienia, kamienia, skóry, rogu, kości. Wytwarzano tkaniny, o czym świadczą liczne krzemienne przęśliki — takie małe okrągłe kamienie z dziurką zakładane na wrzeciono. Potrafiono szyć kością, półokrągłą igłą podobną do dzisiejszych igieł chirurgicznych.

Strój kobiecy sprzed 5000 tysięcy lat składał się z wąskiej, prostej sukni sięgającej do kostek. Na suknię zakładano wierzchnią szatę wyraźnie zwężoną w pasie i poszerzoną mocno dołem. Szata ta nie posiadała zapięcia, a tylko podkreślone innym kolorem, prawdopodobnie za pomocą lamówki, brzegi. Całość zdobiono haftem. Włosy przewiązywano przepaską, na której powtarzał się ten sam motyw zdobniczy.

Okazuje się, na podstawie archeologicznych badań, że nie my wymyśliliśmy modę mini. Dziewczęta żyjące w epoce brązu nosiły spódnice sięgające przed kolana. Góra spódniczki to pasek o szerokości ok. 10 cm, z którego luźno zwisają pasma wełny tworzące coś w rodzaju frędzli ujętych dołem w ozdobne zakończenie. Do tego nosiło się obcisłą bluzkę z rękawami trzy czwarte, z łódkowym wycięciem przy szyi. Prawda, jak to współcześnie bywa.

Kawałki tkanin z tego okresu, choć nieliczne, przetrwały do naszych czasów. Między innymi fragment pradziejowego materiału odnaleziono w Łodzi, w Rudzie Pabianickiej. Była nim owinięta rękojeść wykonanego z brązu sierpu. Zachowały się również odciski tkanin na glinianych naczyniach.

W tym też miejscu zachował się

DŹWIĘK, JAKI SŁYSZELI PRAŁODZIANIE.

Stało się to za sprawą dziecinnej grzechotki odkopanej w jednym z grobowców. Wykonano ją z gliny w kształcie gruszki zakończonej małym oczkiem, przez które prawdopodobnie przeplatano rzemyk zakładany na dzielącą rączkę czy szyję, by zabawka się nie zgubiła. Do środka wkładano małe kamyczki lub zasuszone ziarnka grochu.

Wykopalisko w Rudzie Pabianickiej datowane jest na okres 650—500 lat przed naszą erą, a więc przypada na przełom między epoką brązu i żelaza.

Ziemie polskie znalazły się kilkaset lat później pod wpływem Imperium Rzymskiego. Wprawdzie legiony nie dotarły nad Wisłę, a granica cesarstwa leżała kilkaset kilometrów na południe, ale oddziaływanie kulturowe Rzymu było potężne. Tak to już jest, że pod jasnym słońcem wielkiej cywilizacji dojrzewają dzikie wina innych narodów i kultury. Świadczą o tym przedmioty, które zostawili po sobie prałodzianie.

Jednego z pierwszych wielkich znalezisk dokonano przypadkowo w 1902 roku. Mógł to być słoneczny letni dzień. Towarzystwo akcyjne budujące linię tramwajową do Zgierza zatrudniło kilkuset sezonowych robotników, najczęściej ze wsi, którzy przybyli do Ziemi Obiecanej po pracę i nadzieję. Nagle jeden z nich zaczął coś krzyczeć. Powstało zbiegowisko.

ZIEMIA URODZIŁA PIENIĄDZE.

Chłopi na swoich polach znajdowali czasami gliniane garnki. Święcie wierzyli, że to ziemia je rodzi, tak samo jak rodzi kamienie. Tym razem urodziła srebrne monety. Jednak majster niczego nie pozwolił wziąć. W końcu skarb trafił do zbiorów łódzkiego miłośnika starożytności, fabrykanta Hertiga.

Wielu odkryć dokonano w podobnych, banalnych okolicznościach i w miejscach, których nigdy byśmy nie podejrzewali o to, że zawierają ślady dawnych kultur. Monety rzymskie i bizantyjskie znaleziono na przykład przy ulicy Felsztyńskiego w czasie pracy w ogródku, przy kopaniu fundamentów pod bloki na Widzewie i Chojnach. W Łagiewnikach, obok klasztoru, dziewczynka będąca z klasą na wycieczce grzebała patykiem w ziemi i odkryła pięknie zachowany denar Marka Aureliusza. Co kilka lat zdarza się jakieś odkrycie. To jest dowód, że na terenie Łodzi coś się w tamtych czasach działo. Bez przyczyny starożytne monety nie byłyby znajdowane w takich ilościach.

Pieniądze są oczywiście świadectwem handlu. Słynny szlak bursztynowy biegnący przez ptolemeuszową Kalisię, aż po Bałtyk dostarczał powodów docierania na ziemie prasłowian rzymskich monet. Prawdopodobnie sprzedawano także produkty leśne i rolne.

Łódź — Marysin III — naczynie imitujące wyrób szklany, II/III w. n.e.

Może nawet — niewolników, ale to wszystko nie tłumaczy tak znacznej liczby znalezisk. Dopiero rewelacyjne odkrycia w Górach Świętokrzyskich i ostatnio na Mazowszu pod Warszawą dostarczają dobrych odpowiedzi. Odkryto tam, między innymi przy pomocy fotografii lotniczych, tysiące dymarek. Były to najprymitywniejsze piece hutnicze służące do wytopu żelaza z rudy darniowej. Ich możliwości produkcyjne znacznie przekraczały miejscowe zapotrzebowanie, a więc

SZTABKI ŻELAZA EKSPORTOWANO DO IMPERIUM,

które potrzebowało wszelkich surowców w niesamowitych ilościach.

Rzymskie monety trafiały do Łodzi prawdopodobnie w wyniku wewnętrznej wymiany. Ziemie polskie były bowiem tak nasycone tym pieniądzem, że mógł być on gromadzony, wydawany, puszczany w obieg już bez udziału jakichkolwiek kupców rzymskich czy innych pośredników. Poziom gospodarczy był tak wysoki, że ludzie po prostu potrzebowali pieniędzy.

Cmentarzyska ciałopalne pochodzące z II i III w. n.e. odkryte na Marysinie oraz w okolicy Szczecińskiej — na terenie dzisiejszego cmentarza rzymskokatolickiego wskazują, że import z Rzymu docierał również do prałodzian. Oprócz monet płynęły tu także inne wytwory cywilizacji, w tym luksusowe towary zaspokajające wyrafinowane gusty starszyzny plemiennej.

Na Retkini w miejscu dzisiejszego, zalanego asfaltem parkingu samochodowego odkryto przed wojną cmentarzysko ze schyłku epoki rzymskiej. Odkopano wiele grobów bardzo bogato wyposażonych, nawet w wyroby ze złota. Niestety, hitlerowcy w czasie okupacji wszystko zagrabili. Pozostała tylko jedna piękna misa należąca do tak zwanej ceramiki siwej (od koloru). Była toczona na kole garncarskim w przeciwieństwie do rodzimych naczyń lepionych jeszcze wtedy ręcznie.

Bardzo ciekawe odkrycie świadczące o zamożności „prałodzian" pochodzi z Teofilowa. Tam na jednej z działek, zupełnie przypadkowo, wykopano skarb przedmiotów brązowych.

STAROŻYTNY BOGACZ

w obliczu nieznanego nam niebezpieczeństwa schował najcenniejsze przedmioty do glinianego naczynia i zakopał. Nie wiemy co się dalej stało z właścicielem. Może został zabity lub wzięty do niewoli. Skarb czekał dwa i pół tysiąca lat na swoje odkrycie. Podobne ozdoby, tylko że zniszczone przez ogień odkopano na cmentarzysku w Rudzie Pabianickiej.

Zawartość grobów świadczy o ogromnych różnicach w zamożności ówczesnych łodzian. Ci, w których grobach znajdujemy przedmioty metalowe na pewno należeli do ludzi bogatych, bo metale były bardzo drogie. Włożenie do grobu żelaznej broni czy brązowych ozdób miało więc nie tylko znaczenie rytualne, ale i ekonomiczne. Nie każdego było na to stać. Są groby zawierające tylko same kości i [illegible].

Plemiona o ukształtowanej hierarchii i podziale na grupy zawodowe, żyjące na początku naszej ery można już śmiało nazwać słowiańskimi. Takie plemienne państwo czy księstwo musiało utrzymywać dla swej obrony zastępy wojowników. Świadczą o tym liczne militaria znajdowane w grobach na terenie Łodzi, groty włóczni, oszczepów,

RYTUALNIE ZGIĘTY MIECZ.

Metalową osłonę dłoni trzymającą imacz tarczy czyli umbo wyglądające jak niewielki metalowy kapelusik ze spiczasto zakończonym daszkiem.

Niewiele możemy natomiast powiedzieć na niezwykle frapujący, ale i trudny do interpretacji temat życia duchowego tych ludzi. Być może zgięty miecz był odbiciem wiary w to, że jeżeli umarł wojownik, to musi także umrzeć jego broń. Być może chodziło o coś zupełnie innego.

Bardzo rozpowszechniony był, podobnie jak i u innych ludów kult zmarłych. Groby miały prawdopodobnie formę kurchanów lub niedużych kopczyków, przy których oddawano cześć duszom przodków. Prasłowianie na pewno wierzyli w siły nadprzyrodzone, którym należy składać ofiary, aby uzyskać ich życzliwość lub przebłagać gniew. Całym światem rządzili bogowie — demony objawiające się w słońcu, deszczu, lesie, wodzie, ogniu. Duchy, które mieszkały w domu i zbożu, kamieniu i zwierzętach. Zbyt wiele jeszcze natura miała tajemnic, by tak nie było, by nie powstał system wierzeń dających oparcie ludzkiej drobinie walczącej z żywiołami.

Jak widać, teren Łodzi jest wbrew pozorom obszarem bardzo ciekawym dla badaczy starych kultur. Niestety śródmieście miasta jest już kartą zamkniętą na zawsze. Być może w czasach intensywnego rozwoju, budowy XIX-wiecznych domów i ulic dokonano odkryć, o których nie wiemy, ale wtedy nie było nimi zainteresowania. Jeśli więc były — przepadły bezpowrotnie.

Wszystkie znane nam miejsca interesujące archeologów pochodzą z obrzeży miasta i tworzą wokół śródmieścia pierścień odkryć: Marysin, Szczecińska, Teofilów, Ruda Pabianicka, Chojny, Widzew, Łagiewniki. Miasto będzie rozwijało się nadal, będzie pochłaniało coraz to nowe tereny. Pracownicy Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego rozpoczęli więc

WYŚCIG Z CZASEM.

Mają oczy i uszy otwarte na wszystkie doniesienia. Czasami przypadkowa informacja, jeden telefon wystarczy do wysłania na miejsce specjalisty w celu zbadania sprawy. I często okazuje się, że niebezowocnie.

Bywa i tak, że ślad archeologicznego odkrycia znajdzie się w gazecie na stronie ogłoszeń. Pewien mieszkaniec Turoszowa dał anons takiej mniej więcej treści: „Z powodu wyjazdu, kości mamuta, sprzedam". Po skontaktowaniu się z autorem ogłoszenia okazało się, że rzeczywiście jest on posiadaczem kłów mamuta, które zostały wykopane w tamtejszej kopalni odkrywkowej.

Czasami na podstawie jednej skorupy znalezionej na łące czy w ogródku można zlokalizować osadę. Tak było w Chocianowicach, gdzie pierwszymi odkryciami pozostałości po osadzie z XI wieku n.e. były odłamki glinianych naczyń. Nie są to badania tak efektowne jak odkrycia Troi, Pompei czy Biskupina, ale te okruchy przeszłości poskładane razem dają logiczny i piękny obraz naszej historii.

Artykuł ten został napisany na podstawie rozmów przeprowadzonych z DOC. DR HAB. ANDRZEJEM MIKOŁAJCZYKIEM, dyrektorem Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

Ernestyna

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nowela szwedzka (4)

D. A. F. DE SADE

Tymczasem wybiła ta zgubna godzina odjazdu; jakaż różnica, dla dwojga kochających prawdziwie serc, pomiędzy godziną odjazdu a godziną śmierci? Opuszczając to, co kochamy, mówimy, że serce pęka albo też rozdziera się, by tak rzec, ujarzmione przez drogi obiekt, od którego się oddala; wydaje się więdnąć w tym okrutnym momencie. Oddalamy się, powracamy, rozchodzimy, ściskamy, nie potrafimy się rozstać; gdy w końcu trzeba to uczynić, opuszczają nas wszystkie siły, i wydaje się nam, że to, co pozostawiamy, to, co pozostaje, traci życie, jakby całe istnienie tkwiło tylko w tym pozostawionym przedmiocie.

Postanowiono prosto od stołu wsiąść do powozu. Ernestyna spojrzała na swego ukochanego, ujrzała go we łzach, zraniło to jej duszę...

— Och! ojcze! — wykrzyknęła zalewając się łzami — spójrz, jakie poświęcenie czynię dla ciebie. — I rzucając się w ramiona Hermana: — Ty, którego nigdy nie przestałam kochać — mówi doń — ty, którego będę wielbić aż do grobu, przyjmij teraz od mego ojca przysięgę, iż przyrzekam być zawsze tylko twoja; pisz, myśl o mnie, słuchaj tylko tego, co będę ci mówić, i spójrz na mnie jak na najnikczemniejsze ze stworzeń, jeśli kiedykolwiek inny mężczyzna dostanie mą rękę albo me serce.

Herman jest poruszony; schylony do ziemi, całuje stopy ubóstwianej kobiety jakby całą duszą chciał tymi płomiennymi, ognistymi pocałunkami zatrzymać Ernestynę...

— Nie ujrzę cię już..., nie ujrzę cię już — mówił szlochając. — Ojcze, pozwól sobie towarzyszyć, nie pozwól, by odebrano mi Ernestynę, a jeśli, niestety, los mnie tak pokarze, wbij szpadę w mą pierś.

Pułkownik uspokajał przyjaciela, związał się słowem, iż nigdy nie sprzeciwi się zamiarom swej córki; ale nic nie uspokoi zatrwożonej miłości. Wielu kochanków rozstawało się w równie okrutnych okolicznościach, Herman dobrze o tym wiedział, lecz mimo to serce mu pękało. Trzeba było w końcu ruszać; Ernestyna przygnieciona bólem..., z oczami pełnymi łez, rzuca się obok ojca w powozie, który unosi ją tam, gdzie nie sięga wzrok ukochanego. Hermanowi wydaje się, że w chwili tej widzi śmierć, która, karawanem z ciemnymi zasłonami, uwozi jego najsłodszy ideał; przywołuje Ernestynę żałobnymi okrzykami, a jego zbłąkana dusza podąża za nią, lecz on już jej nie widzi... Wszystko umyka..., wszystko gubi się w gęstych pomrokach nocy. Nieszczęśliwy wraca do pani Scholtz w stanie takiego poruszenia, że tym bardziej pogłębia zazdrość tego niebezpiecznego potwora.

Pułkownik przybył do Sztokholmu nazajutrz o dość wczesnej godzinie, i gdy wysiadł u drzwi domu pani Plorman, spotkał senatora Oxtierna, który zaofiarował ramię Ernestynie. Choć od chwili, gdy po raz ostatni widział swą krewną minęło kilka lat, pułkownik został bardzo miło przyjęty. Zorientował się jednak łatwo, że na to wspaniałe przyjęcie wpłynęła protekcja senatora. Ernestynę spotkał podziw i pochlebstwa; ciotka zapewniała, że urocza bratanica przyćmi wszystkie piękności stolicy, i tego samego dnia podjęto starania, by przygotować jej wszelkie możliwe przyjemności, aby wprawić ją tym w osłupienie, odurzyć i pozwolić zapomnieć o ukochanym.

Dom pani Plorman stał na odludziu; kobieta ta, już wiekowa, i naturalnie skąpa, widziała niewiele świata; i być może z tej racji hrabia, wiedząc o tym, nie był wcale niezadowolony dokonanym przez pułkownika wyborem miejsca zamieszkania.

U pani Plorman był młody oficer z regimentu Gwardii, bliższy jej niż Ernestyna, mający zatem większe niż ona prawo do spadku; nazywał się Sindersen, poczciwy, odważny chłopak, ale, naturalnie, mało przychylny krewnym, którzy, dalej niż on spowinowaceni z ciotką, zdawali się jednak zgłaszać do niej takie same pretensje. Względy te wprowadziły pewien chłód w jego stosunki z Sandersem; był jednak uprzejmy wobec, zamieszkującej z pułkownikiem, Ernestyny i potrafił pod owym światowym blichtrem, zwanym uprzejmością, ukryć uczucia bardziej czułe, które zajęły pierwsze miejsce w jego sercu.

Ale pozwólmy pułkownikowi urządzić się, i powróćmy do Nordkoping, podczas gdy Oxtiern dokłada wszelkich starań, aby zabawić ojca, odurzyć córkę, i dopiąć w końcu perfidnych zamiarów, w których triumf wierzył.

Osiem dni po wyjeździe Ernestyny, zjawili się kupcy z Hamburga i zażądali zwrotu sum tysięcy dukatów, które Scholtz była im winna; suma ta, bez najmniejszej wątpliwości, powinna była znajdować się w kasie Hermana; ale oszustwo zostało już dokonane, i dzięki podwójnym kluczom, kapitały zniknęły. Pani Scholtz, która zatrzymała kupców na obiedzie, zawiadomiła natychmiast Hermana, by przygotował gotówkę; spodziewała się bowiem, że goście pragną odpłynąć do Sztokholmu tego samego wieczoru. Herman od dawna już nie zaglądał do kasy ale pewien, że kapitały powinny się w niej znajdować, otwiera ją z ufnością, i niemal pada zemdlony, gdy spostrzega dokonaną kradzież; biegnie do swej protektorki...

— Och! pani — wykrzykuje nieprzytomny — zostaliśmy okradzeni.

— Okradzeni, mój przyjacielu... nikt do mnie nie wchodził a za służbę ręczę.

— Musiał jednak ktoś wejść, pani, musiał, skoro nie ma kapitałów..., i skoro mnie możesz być pewna.

— Mogłabym być niegdyś, Hermanie, ale, gdy chłopcu takiemu jak ty zawróciła w głowie miłość, wraz z tą namiętnością mogły zrodzić się w twym sercu wszelkie występki... Nieszczęsny młody człowieku, zatroszcz się o to, co mogłeś uczynić; potrzebuję kapitałów w tej chwili. Jeśli jesteś winny, wyznaj mi to..., ale jeśli nie masz racji, i jeśli nie zechcesz nic powiedzieć, nie będziesz być może jedynym, kogo wciągnę w tę fatalną sprawę... Ernestyna wyjechała do Sztokholmu w chwili, gdy zniknęły kapitały..., kto wie, czy jest jeszcze w królestwie?... Ona wyrusza pierwsza..., zaplanowana kradzież.

— Nie, pani, nie, nie wierzysz w to, co mówisz — odpowiada Herman ze stanowczością — nie wierzysz w to, pani, oszust nie zaczyna od takiej sumy, a wielkie zbrodnie są zawsze poprzedzane wadami. Czy dostrzegłaś u mnie coś, co pozwoliłoby ci sądzić, że mógłbym być zdolny do takiego sprzeniewierzenia? Czyż, gdybym ukradł, pozostałbym w Nordkopinq? Czy nie ostrzegałaś mnie od ośmiu dni, że będziesz musiała zwrócić te pieniądze? Czyż, gdybym je zabrał, miałbym jeszcze czelność czekać tu spokojnie chwili, w której ma hańba się wyda? Czyż zachowanie takie jest prawdopodobne, i czy możesz je zakładać?

— Nie do mnie, gdy zostałam skrzywdzona twą zbrodnią, Hermanie, należy szukanie racji, które będą mogły cię wytłumaczyć. Ustalam tylko fakt, jesteś obarczony moją kasą, tylko ty za nią odpowiadasz; kasa jest pusta, kiedy potrzebuję kapitałów, które powinny się w niej znajdować; zamki nie zostały uszkodzone, nikt ze służby nie zniknął; kradzież, bez włamania, bez śladów, może być zatem dziełem tylko tego, kto posiada klucze. Mówię ci po raz ostatni, Hermanie, szukaj wyjaśnienia, zatrzymam kupców jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Jutro moje kapitały..., albo zajmie się tobą sąd.

Herman pogrążył się w rozpaczy, którą równie łatwo odczuć jak odmalować; zalał się łzami, przyzywał niebo, by pozwoliło mu przetrwać wobec tylu nieszczęść. Nasunęły mu się dwa rozwiązania: uciec albo strzelić sobie w łeb..., ale nim jeszcze przybrały wyraźną postać, odrzucił je ze wstrętem... Umrzeć nie zostając usprawiedliwiony..., nie niszcząc podejrzeń, które zrujnowałyby Ernestynę; czyż mogłaby się pocieszyć oddawszy serce człowiekowi zdolnemu do takiej podłości? Jej delikatna dusza nie udźwignęłaby ciężaru tej niesławy, umarłaby z bólu... Ucieczka zaś byłaby przyznaniem się do winy; czyż można pogodzić się z zarzutem zbrodni, gdy jest się równie dalekim od jej popełnienia? Herman woli poddać się losowi, i odwołać się listownie do protekcji senatora i przyjaźni pułkownika; sądził, że może być pewny pierwszego, i zupełnie nie wątpił w drugiego. Opisał im nieszczęsną sprawę, jaka mu się przydarzyła, zapewniał ich o swej niewinności, szczególnie zaś dał do zrozumienia pułkownikowi, jak smutna jest dlań podobna przygoda z kobietą, której serce przepełnione zazdrością nie ominie okazji, by go zniszczyć. W tych fatalnych okolicznościach prosi go o najwnikliwsze rady i powierza się wyrokom Boga, ośmielając się wierzyć, że jego sprawiedliwość nie opuściłaby niewinności.

Wyobrazisz sobie łatwo, panie, że nasz młody człowiek musiał spędzić straszną noc; rankiem, pani Scholtz wezwała go do swego apartamentu.

— Dobrze! mój przyjacielu — mówi doń z wyrazem szczerości i wdzięku — czy jesteś gotów wyznać swe błędy, i czy zdecydowałeś się w końcu wyjaśnić mi przyczynę tego, tak osobliwego, postępku?

— Oferuję siebie i oddaję mą osobę za całe usprawiedliwienie, pani — odpowiada odważnie młody człowiek; nie pozostałbym u ciebie, jeśli byłbym winny, pozostawiłaś mi czas do ucieczki, uczyniłbym to.

— Być może nie uciekłbyś daleko, schwytano by cię, i ucieczka skończyłaby się skazaniem; świadczyłaby ona, że jesteś niewprawnym oszustem, stanowczość zaś twoja pozwala mi widzieć w tobie kogoś innego.

— Załatwmy nasze rachunki, jeśli chcesz, pani; nie masz prawa traktować mnie w ten sposób, aż znajdziesz w nich błędy, a ja proszę, byś nim zarzucisz mi nieuczciwość, posłużyła się pewniejszymi dowodami.

— Hermanie, czyż tego powinnam się była spodziewać od młodego człowieka, którego wychowałam i w którym pokładałam wszelkie swoje nadzieje?

— Nie odpowiedziałaś, pani; dziwi mnie ten wykręt, niemal rodzi podejrzenie.

— Nie rozdrażniaj mnie, Hermanie, nie rozdrażniaj, gdy powinieneś starać się mnie ułagodzić... (i podejmując ciepło)... Czy nie wiesz, okrutny, jakimi darzę cię uczuciami? któż więc, wobec tego, byłby bardziej skłonny ukryć twe błędy?... Czyż wytykałabym ci je, gdybym nie pragnęła za wszelką cenę naprawić szkody, jakie wyrządziłeś?... Słuchaj, Hermanie, mogłabym wszystko naprawić, mam w banku mych korespondentów dziesięć razy więcej niż jest konieczne, by ukryć ten brak. Zgódź się poślubić mnie, a zapomnę o wszystkim — nic więcej od ciebie nie żądam.

— I kupiłbym nieszczęście całego życia za cenę strasznego kłamstwa?

— Nieszczęście całego życia? Perfidny! Cóż! w ten sposób widzisz więzy, jakich pragnę, i gdy mogę powiedzieć jedno słowo, by zgubić cię na zawsze.

— Wiesz dobrze, że me serce nie należy do mnie, pani, lecz do Ernestyny; wszystko, co pogmatwałoby nasze plany, by być razem, musi być dla mnie przerażające.

— Ernestyna?..., nie licz na nią, jest już żoną Oxtierna.

— Ona?..., to niemożliwe, pani, mam jej słowo i serce; Ernestyna nie potrafiłaby mnie oszukać.

— Wszystko, co się stało, było uzgodnione, pułkownik zgodził się na to.

— O Boże! dobrze! wyruszam zatem sam wyjaśnić sprawę, pędzę natychmiast do Sztokholmu..., zobaczę Ernestynę, dowiem się od niej czy oszukujesz mnie czy nie... Cóż mówię? Ernestyna mogłaby zdradzić swego ukochanego! nie, nie..., nie znasz jej serca, skoro możesz w to wierzyć; prędzej słońce przestałoby świecić niż taki występek mógłby splamić jej duszę.

I młody człowiek na te słowa chce wybiec z domu... Pani Scholtz zatrzymuje go.

— Hermanie, wyruszasz na swą zgubę; posłuchaj mnie, mój przyjacielu, mówię ci po raz ostatni... Czyż trzeba ci to mówić? Sześciu świadków zezna przeciw tobie, że widziano cię wynoszącego me kapitały z mieszkania; znany jest użytek, jaki chciałeś z nich zrobić; nie dowierzałeś hrabiemu Oxtiernowi; zaopatrzony w owe sto tysięcy dukatów, miałeś uprowadzić Ernestynę i zawieźć ją do Anglii... Postępowanie sądowe zostało rozpoczęte, powtarzam ci, mogłabym wszystko zatrzymać jednym słowem... Oto ma ręka, Hermanie, przyjmij ją, wszystko jest do naprawienia.

— Mieszanina okropności i kłamstwa! — wykrzykuje Herman, spójrz jak oszustwo i niekonsekwencja przebijają z twych słów. Jeśli, jak mówisz, Ernestyna jest żoną senatora, nie mogłem zatem ukraść dla niej sum, jakich ci brak, a jeśli zabrałem pieniądze dla niej, jest zatem fałszem, by była żoną hrabiego. Twe bezczelne kłamstwa stają się jedynie pułapką, w jaką złośliwie chcesz mnie schwytać; znajdę..., ośmielam się przynajmniej łudzić, środki, by odzyskać honor, który chcesz mi odebrać, a ci, którzy będą przekonani o mej niewinności, dowiodą jednocześnie wszystkich zbrodni, jakie popełniasz, aby zemścić się za me lekceważenie.

Herman odpycha otwarte ramiona pani Scholtz, która chce go jeszcze zatrzymać, i rzuca się natychmiast na ulicę z zamiarem udania się do Sztokholmu... Nieszczęsny, nie może zrozumieć, że łańcuchy już się zacisnęły... Dziesięciu ludzi chwyta go u drzwi mieszkania i wiecze haniebnie do więzienia dla zbrodniarzy, gdzie nie sięga nawet spojrzenie okrutnej kobiety, która go gubi, i która, odprowadzając go wzrokiem, zdaje się cieszyć ogromem niedoli, w jakiej jej wyuzdana wściekłość pogrążyła tego nieszczęśnika.

— Dobrze! — mówi Herman znalazłszy się w siedzibie zbrodni..., i to z powodu niesprawiedliwości — czyż mogę teraz stawić czoła Niebu, gdy zrodziło zło, które mogłoby rozszarpać mą duszę z największą furią? Oxtiernie..., perfidny Oxtiernie, ty sam kierujesz spiskiem, a ja jestem tylko ofiarą zazdrości, twych wspólników i twoją... Oto jak, w jednej chwili, może człowiek znaleźć się na ostatnim stopniu upokorzenia i niedoli! Sądziłem, że jedynie zbrodnia mogłaby poniżyć go aż do tego stopnia... Nie..., wystarczy zostać posądzony, aby stać się już zbrodniarzem, wystarczy mieć silnych wrogów, aby zostać unicestwionym! Ernestyno..., jedynie twoje przysięgi pocieszają jeszcze me serce, czyż jednak pozostaną mi w niedoli? Czy jesteś równie jak ja niewinna? i czy nie przyłożyłaś ręki do tego wszystkiego?... O Boże! jakieś ohydne podejrzenia! bardziej jeszcze niż całym złem, które na mnie spadło, przygnębiony jestem tym, że mogłem choć przez chwilę podejrzewać że... Ernestyna winna.. Ernestyna miałaby zdradzić swego ukochanego!... Czyż oszustwo i oszczerstwo mogły kiedykolwiek zrodzić się w tej wrażliwej duszy?... I czy ten czuły pocałunek, którym się jeszcze rozkoszuję..., ten jedyny i słodki pocałunek, jaki od niej dostałem, mógł zostać zerwany z ust skalanych kłamstwem?... Nie, nie, najdroższa, nie..., oszukują nas oboje... Gdyż te potwory, korzystając z okazji, chcą poniżyć mnie w twych oczach Aniele niebiański, nie pozwól się usidlić sztuczkami ludzi, i niech twa dusza, równie czysta jak Bóg, od którego pochodzi będzie, jak jej model, zabezpieczona przed ziemskimi nieprawościami.

Niemy i ponury ból owłada tym nieszczęśnikiem, w miarę jak pojmuje on okropność swego losu. Smutek, jaki go ogarnął przydał mu tyle sił, że zaczął się szamotać w kajdanach. Wkrótce chciał uciec się do usprawiedliwień; chwilę potem, pragnął znaleźć się u stóp Ernestyny; miotał się po podłodze wydając przejmujące okrzyki..., podnosił się, rzucał na zamknięte kraty, chciał je złamać własnym ciężarem, poranił się, pokrwawił, i wśród szlochów, łez i rozpaczliwych wstrząsów padł obok barier, których nawet nie ruszył z miejsca, a jego przygnębiona dusza pozostała jeszcze przy życiu.

Nie ma na świecie sytuacji, którą można by przyrównać do sytuacji więźnia mającego serce przepełnione miłością; niemożliwość wyjaśnienia sprawy ujawnia w sposób przerażający cały tragizm tego uczucia; znamiona Boga, tak słodkie na wolności, są dlań już tylko kąsającymi żmijami; opada go naraz tysiąc urojeń; on sam to wpada w niepokój, to się uspokaja, raz jest łatwowierny, raz podejrzliwy, obawia się prawdy i pragnie jej, to przeklina, to uwielbia obiekt swych uczuć, wybacza mu i posądza o perfidię, a dusza jego, podobna do zagniewanych fal morskich, staje się miękką substancją, w którą wszelkie namiętności wsiąkają po to tylko, by ją później pożreć.

Nadchodzi pomoc dla Hermana; ale jakąż fatalną przysługę oddaje się mu przykładając do jego smutnych warg cierpki puchar życia, z którego pozostała mu tylko gorycz!

Czując, że koniecznie musi się bronić i uznając, że palące pragnienie ujrzenia Ernestyny może zostać zaspokojone tylko, jeśli zajaśnieje jego niewinność, chwyta się jednak i tego. Zaczęło się dochodzenie, ale przyczyna, zbyt poważna dla niższego trybunału, jakim był trybunał w Nordkoping, miała zostać postawiona przed sędziów w Sztokholmie. Przetransportowano zadowolonego więźnia..., jeśli w tak okrutnej sytuacji można czerpać zadowolenie oddychając tym samym powietrzem co Ernestyna.

„Będę w tym mieście — mówił sobie z zadowoleniem — być może będę mógł powiadomić ją o mym losie..., niewątpliwie ukryto go przed nią!... Być może będę mógł ją zobaczyć; ale cokolwiek by się wydarzyło, nie będę tam już tak narażony na czyny skierowane przeciwko mnie; to niemożliwe, by wszystko, co zbliża się do Ernestyny, nie było tak czyste jak jej piękna dusza, blask jej cnót rozlewa się na wszystko co ją otacza... Są to gwiezdne promienie, które ożywiają ziemię... Nie powinienem obawiać się niczego tam, gdzie jest ona".

Nieszczęśni kochankowie, oto wasze urojenia..., pocieszają was, a to już wiele. Pozostawmy tu smutnego Hermana, aby zobaczyć co działo się w Sztokholmie z interesującymi nas ludźmi.

Ernestyna, zawsze roztargniona, zawsze prowadzona z uroczystości na uroczystość, daleka była od zapomnienia o swym drogim Hermanie; tylko oczy zwracała ku wciąż nowym widowiskom, jakimi starano się ją upoić; ale jej serce, oddane ukochanemu, biło tylko dla niego; pragnęła, by dzielił z nią rozkosze, które, bez Hermana, pozbawione były wyrazu. Pragnęła go, widziała go wszędzie, ale okrutna prawda rozwiewała złudzenia. Nie wiedziała nieszczęsna, w jakim strasznym stanie znalazł się ten, który ją tak zajmował; otrzymała odeń tylko jeden list, napisany przed przybyciem kupców z Hamburga, a przedsięwzięto środki, aby następne nie dotarły do niej. Gdy okazywała niepokój, ojciec i senator tłumaczyli opóźnienie ogromem spraw, jakimi młody człowiek był obarczony, i czuła Ernestyna, której delikatna dusza obawiała się bólu, skłonna była wierzyć temu, co choć trochę zdawało się przynosić ukojenie. Uspokajano ją zaledwie znów zaczynała rozmyślać, pułkownik w dobrej wierze, senator, oszukując ją; niemniej uspokajała się, a tymczasem pod jej stopami otwierała się przepaść.

Oxtiern zwodził również Sandersa; wprowadził go do kilku ministrów, a zaszczyty te schlebiały jego dumie i skłaniały do cierpliwego czekania na spełnienie obietnic przez hrabiego, który nie przestawał powtarzać, że, mimo odrobiny dobrej woli, droga na dwór była jeszcze długa.

Ten niebezpieczny uwodziciel, który, jeśli mógł dopiąć swego w inny sposób niż za pomocą zbrodni, jakie zamyślał, oszczędzał ich sobie i, w rozmowach z tą, którą zamierzał zdeprawować, próbował powrócić niekiedy do języka miłości.

— Zastanawiałem się kilkakroć nad mym postępowaniem — powiedział pewnego dnia do Ernestyny — czuję, że moc twych oczu niszczy obojętnie mą odwagę; moja uczciwość pragnie połączyć cię z Hermanem, ale serce sprzeciwia się. O Boże! dlaczego dłoń natury umieściła naraz tyle wdzięków w godnej uwielbienia Ernestynie, i tyle słabości w sercu Oxtierna? Służyłbym ci chętniej, gdybyś nie była tak piękna i może byłbym mniej zakochany, gdybyś nie była tak surowa.

— Hrabio — mówi Ernestyna zaniepokojona — wierzyłam że jesteś daleki od takich uczuć, i nie pojmuję, że jeszcze cię zajmują!

— Oddać jednocześnie sprawiedliwość obojgu, czy sądzić, że uczucia, jakie masz mogą osłabnąć, czy też wyobrażać sobie, że gdybyś mnie nimi obdarzyła, mogłyby nie być wieczne?

— Czy zatem uczucia twe mogą pozostać w zgodzie z honorem? i czy nie świętą przysięgą przyrzekłeś sprowadzić mnie do Sztokholmu jedynie w celu zapewnienia awansu ojcu i mego połączenia z Hermanem.

— Zawsze Herman Ernestyno; cóż! czy to fatalne imię nie zniknie nigdy z twej pamięci?

— Z pewnością nie, senatorze będzie przeze mnie wypowiadane tak długo, jak drogi wizerunek tego, kto je nosi pozostanie w duszy Ernestyny, i ostrzegam cię, że jedynym kresem będzie śmierć. Ale, hrabio, dlaczego zwlekasz ze spełnieniem obietnic, jakie mi składałeś? Miałam, według ciebie, zobaczyć wkrótce czuły i jedyny obiekt mej miłości, dlaczego zatem jeszcze się nie pojawił?

— Przyczyną opóźnienia, które tak cię niepokoi, są z pewnością jego rachunki z panią Scholtz.

Przekład:
BOGDAN BANASIAK

C.D.N.

„ZBIR" — strzelający komputer

Poszukiwania i wykorzystanie systemów komputerów np.: w przemyśle, administracji, medycynie jest dziś powszechne. Ostatnio bardzo duże zainteresowanie tą dziedziną przejawia wojsko. Szczególnie dużą aktywność wykorzystania komputerów do celów militarnych wykazuje Pentagon. Realizuje się tam szereg programów, które obejmują pracę nad komputerem stosowanym w lotnictwie, marynarce wojennej i wojskach lądowych.

Wprawdzie komputtery dziś jeszcze nie mogą myśleć, rozumować ani czytać myśli człowieka, ale rozwiązanie tych problemów jutro, zdaniem naukowców, mogłoby stworzyć „sztuczną inteligencję", która zastosowana w robotach mogłaby zmienić radykalnie zagadnienia prowadzenia wojen. Maszyny, które mówią, słyszą, widzą oraz wykonują nakazane czynności mogą z powodzeniem zastąpić ludzi w mundurach — bezpośrednich realizatorów rozkazów.

W USA zarowno w wojsku, jak i w firmach prywatnych — pracuje się nad zbudowaniem robotów zdolnych celowo zabijać ludzi. W ubiegłym roku ukończono prototyp takiej maszyny. Nazywa się „ZBIR". Producentem jest firma RDS — Robot Defense Systems — której zakłady znajdują się w Thornton w stanie Kolorado. „ZBIR" — to pojazd przypominający miniaturowy czołg, wyposażony w mikrokomputery, oprogramowanie stwarzające „sztuczną inteligencję"; czujniki informujące o tym, co znajduje się w oddali, pozwalają mu patrolować obrzeże bazy wojskowej, lotniska, rejonu zastrzeżonego, wykrywać intruzów i o próbie wtargnięcia informować człowieka w centrum dowodzenia. Uzbrojony w 2 karabiny maszynowe typu „M-60" i granatnik przeciwpancerny ma możliwość likwidacji osób próbujących wtargnąć na strzeżony obiekt. Zdaniem specjalistów uzbrojony robot to idealny sposób ochrony rurociągów, baz lotniczych, gdzie napastników zawsze może być więcej niż straży.

Duże zainteresowanie tego typu robotami w 1985 roku przejawiały Iran i Irak oraz inne państwa arabskie. Cena egzemplarza jest dość wysoka, około 200 tys. dolarów. Jednak Don Davis, zatrudniony w koncernie jako specjalista od ochrony fizycznej obiektów uważa, że nie uniknie się stosowania robotów-strażników:

„Na dłuższą metę robot jest tańszy od wartownika i nie znudzi go praca, nie poczuje się osamotniony, nie zdrzemnie się, nie chce urlopów, nie przynosi zwolnień lekarskich. Ponadto zawsze robi to, co mu się każe".

„ZBIR" jest jeszcze prymitywną maszyną, mogącą w najlepszym razie spełniać ograniczoną ilość poleceń. Ale nawet taki jaki jest, okazał się użyteczny. Firma Demising Mobile Robotros w Wobourn w stanie Massachusetts wyprodukowała robota — strażnika więziennego. Kierowany ultradźwiękami i wiązkami podczerwieni patroluje w nocy korytarze więzienne, wykrywa więźniów przebywających na zewnątrz cel, każe im stać, nie ruszać się i od razu przekazuje ostrzeżenie personelowi straży. Wykrywa również ogień, nienormalne dźwięki w swym otoczeniu i ogłasza alarm. Koszt jednego robota ocenia się na 64 tys. dolarów.

Naukowcy na całym świecie od połowy lat siedemdziesiątych trudzą się nad przemieszczającymi się robotami. Naukowcy twierdzą, że udoskonalenie ruchomych robotów może być najlepszym sposobem dopracowania się „sztucznej inteligencji". Wyrażają wprawdzie pogląd, że roboty nie będą uzbrojone: „Nie sądzimy, żeby ktoś pozwolił, by coś tak głupiego jak robot kręciło się z bronią między ludźmi".

Najbliższe lata na pewno będą należeć do dalszego doskonalenia rodzajów uzbrojenia dotychczas znanego, zarówno jądrowego, jak i konwencjonalnego. Ale doskonalenie i ciągły postęp w pracach nad komputerami, których najnowszy model — wyprodukowany w Media Laboratory (MIT) — rozpoznaje ludzkie gesty, czyta z ust, śledzi ruch oczu i rozumie mowę — jeszcze pod koniec tego wieku może doprowadzić do istotnych przewartościowań w sposobach planowania, organizacji i prowadzenia działań bojowych w latach 2-tysięcznych.

Do takiego stwierdzenia upoważnia rozwój superkomputerów — np. Cray-2 firmy Cray Rosearch pracuje 100 tys. razy szybciej niż najlepszy komputer osobisty z roku 1984. Maszyny z takimi komputerami jak Cray-2, Cyber-250 mogą symulować eksplozję bomby atomowej. Stwarza to możliwość ograniczenia liczby doświadczalnych wybuchów. Agencje wywiadowcze wykorzystują tego typu maszyny do analizy ogromnych ilości danych dostarczanych przez satelity. Przedsiębiorstwo filmowe Digital Productions podobnymi komputerami posłużyło się do stworzenia niezwykłych efektów w takich filmach jak „The Day After", „Amadens", „The Last Starfighter".

Przyjmując za model układy nerwów w mózgu ludzkim, konstruktorzy równoległych procesorów osiągają ultraszybkie ich działanie przez wzajemne sprzężenie tysięcy mikroprocesorów. Urządzenia takie przetwarzają ogromne ilości materiałów równocześnie, a nie kolejno, jak dzieje się to w konwencjonalnych komputerach. Najbardziej zaawansowane wśród tych urządzeń jest Connection Machine, skonstruowane przez firmę Thinking Machines w Cambridge. Jest to prototyp finansowany przez DARPA. Ma być gotowy pod koniec 1986 r. i zostanie wykorzystany wraz z programami sztucznej inteligencji do prób z bezzałogowym pojazdem wojskowym do sporządzania planów pola walki oraz doświadczeń z systemem sterowania samolotami odrzutowymi przy pomocy słownych rozkazów pilota.

Wielkie nadzieje budzone były już w przeszłości przez entuzjastów komputerów, ale nigdy z taką jak obecnie pewnością. W okresie, gdy technika przekracza swe najnowsze granice — a komputery osiągają czułość zmysłów ludzkich — deklaracje wielkich nadziei brzmią jak proroctwa, a nie wybujałe fantazje. Charles Lecht, dyrektor nowojorskiej firmy konsultacyjnej wyraża opinie, że tego rodzaju wynalazki „będą już niedługo dostępne dla tych, którym na nich zależy". Czyli można powiedzieć, dla tych, którzy użyli broń jądrową na miasta japońskie i militaryzację kosmosu.

W wydanej w 1953 r. powieści z serii fantastyczno-naukowej pt. „Ja, robot" Izaak Asimow dał sławne dzisiaj — „trzy przykazania dla robotów". Najważniejsze z nich było to, które zakazywało robotom ranić i zabijać ludzi. Dzisiaj jest niemal pewne, że zakaz ten będzie wkrótce złamany. To, co dzisiaj jest wizją fantastyczno-naukową, jutro będzie prawdą.

Robot w wojsku, podobnie jak i w przemyśle, medycynie czy administracji w pełni nie zastąpi człowieka. Wprowadzenie w przyszłości do armii maszyn posiadających własną inteligencję może jednak radykalnie zmienić obraz przyszłego pola walki i stworzyć złudną wizję „bezpiecznej wojny" dla ludzi rozkazujących takim maszynom — z daleka przygotowanego i zabezpieczonego centrum kierowania i dowodzenia.

ADAM JAROS
MARIAN JĘDRZEJCZAK

1 Spojrzenie znad szachownicy

Tajny magister minister

To było miłe, ale lekkomyślne. Człowiek, nieprawdaż, wysyła widokówkę z pozdrowieniami do zaprzyjaźnionej redakcji, a ta — buch — publikuje cały tekst na zaprzyjaźnionych łamach. Tymczasem konkurencja nie śpi i zwiedziawszy się o moich twórczych zamysłach mogła była nas — to jest mnie i zaprzyjaźnioną redakcję — bezczelnie ubiec.

Szczęśliwie morze, com je zamierzał odkrywać, okazało się już dawno odkryte, powiem więcej: kiełkują koncepcje, iżby je na trochę zakryć, aby się ustało. Z kolei marne pogłowie — czy też poogonie — ryb wypływa ponoć z równie marnego zasolenia, stąd pomysł rzucenia hasła: kto może, dosala morze, solniczka do solniczki, nie żałujmy Wieliczki!

2.

No dobrze, skoro jednak pojechałem odkrywać, trzeba było koniecznie coś odkryć. Astronomowie, jak wiemy, z perturbacji w ruchach planet wnioskowali o istnieniu innych, jeszcze nie wypatrzonych na nieboskłonie, podobnie Mendelejew tworząc swoje słynne tablice wskazał na parę pierwiastków, które stanowczo powinny były występować, mimo iż wedle ówczesnej nauki wcale nie występowały.

Idąc tym śladem zadałem sobie pytanie: czy w miarę uporządkowane ruchy cen we wszelkiego rodzaju sklepikach i budkach zawalonych towarami z tak zwanego prywatnego importu nie wskazują aby czasem że ktoś lub coś całym tym interesem rządzi? I założyłem hipotetycznie, że na tajnym konklawe prywaciarze fundnęli sobie równie tajnego magistra ministra, może nawet z klasy prof. Krasińskiego. Dlatego magistra, że mniej kosztuje — tu o uposażeniu myślę — a dlatego tajnego, że jawny byłby obłożony podatkiem, w tym wyrównawczym. Za tajnym natomiast, zwłaszcza jeżeli bierze wypłatę w towarze, sam czort nawet nie trafi.

3.

Myliłby się jednak ktoś, kto sądzi, że hipotetyczny magister minister nic tylko przewala się na kanapie, ewentualnie pospołu z piękną, golą dziewczyną, trochę popatrzy na sufit, trochę na biust i okolice, zaś nasyciwszy oczy wykrzykuje do telefonu:

— Tu tajny! Cytryny od jutra drożeją o stówę i niech mnie szlag trafi, jeżeli coś popuszczę!

Otóż nie, pracowity ten młodzian musi badać podaż i popyt, zaopatrzenie sklepów państwowych tudzież sklepów „Pewexu", znać ceny w tych sklepach, aktualny kurs dolara, a nawet aktualne plotki, dopiero bowiem dysponując podobnymi danymi może robić prawidłowe ruchy na cenowej szachownicy.

Popatrzmy, jak to było z kawą. Dopóki mniej więcej regularnie oferowały ją państwowe sklepy, cena ćwierć kilogramowej paczki u prywaciarzy wahała się zależnie od gatunku w granicach 1200—1400 złotych. Komunikat o zmniejszeniu dostaw spowodował zwyżkę. Ceny skakały kolejno na 1500, 1550, 1600, 1700, aż stanęły na 2000 zł za paczkę, w Łodzi przynajmniej. Trójmiasto, w którym bawiłem na jesiennym urlopie, asortyment ma szerszy i jest przeciętnie o stówę na paczce tańsze, ale to chyba dlatego, że transport w głąb kraju też musi kosztować, zaś magister minister pamięta o transporcie.

O parędziesiąt złotych na tabliczce tańsze są czekolady, o paręset złotych na kilogramie — cytryny i pomarańcze. Z tym, iż ceny są zadziwiająco wyrównane, próżno włóczyć się od Gdańska przez Wrzeszcz i Sopot aż do Gdyni, aby coś utargować, co najwyżej jakaś nielegalna babinka sprzeda coś człowiekowi po cichu z nielegalnego koszyka, ale rynek babinek nie kocha i przegania je bez litości, chociaż powołują się na synów marynarzy.

4.

Zgodnie z zasadą zwaną uczenie brzytwą Ockhama nie należy wprawdzie mnożyć bytów ponad konieczność, liczni mądrale twierdzą tedy uparcie, że bazar orientuje się po prostu na „Pewex", zaś tajnego ministra nie ma i nigdy nie było. Ot, bierze się cenę w dolarach, przelicza po aktualnym kursie, dopisuje marżę za uniknięcie kłopotów związanych z kupowaniem walorów u koników, no i po krzyku. Ewentualnie można dopisać jedną jeszcze marżę za regularność dostaw, dlatego nad morzem — gdzie „Pewex" i „Baltona" mają niemal stale cytrusy po dolar dwanaście centów kilogram — ich ceny rynkowe nie przekraczają 1200 zł, gdy w Łodzi skoczyły w ostatnich tygodniach po paręset złotych w górę.

Jest to wytłumaczenie niezłe, ale nie za bardzo, tak patrząc każdy prywaciarz musiałby bowiem dzień w dzień latać do „Pewexu", sprawdzać ceny dolarów u koników, no i wydzwaniać po kolegach, jaki niby zastosowali przelicznik. Brzytwa brzytwą, a fatyga fatygą, powołanie tajnego ministra obiecuje poważne oszczędności energetyczne, dlatego on z pewnością jest, chociaż niby go nie ma.

Istnieje drugi jeszcze powód, dla którego minister być musi. Badając całą sprawę wbiłem się w koszta, wszelkie tajne dochody stały mi się w konsekwencji dziwnie miłe, przyjąłbym tedy chętnie funkcję tajnego rzecznika prasowego tajnego ministra, a wówczas — obiecuję — na tajnej konferencji odeślę go ponownie w niebyt, z którego na trochę wychynął.

JERZY P.

2 Wódeczna kwadratura

Pan Stasiek, sąsiad z szóstego w tym samym pionie, prowadzi lokal z wyszynkiem i zakąską. Panu Staśkowi dobrze się żyje, bo ma duży przerób w dobrym punkcie. Wszędzie blisko.

Od czasu do czasu jednak pan Stasiek potrzebuje trzeźwego spojrzenia na świat. Wtedy zamyka lokal i schodzi dwa piętra w dół, żeby pogadać. Kiedy panu Staśkowi bardzo doje zalane towarzystwo oraz trudności zaopatrzeniowe, zwłaszcza jeśli się rozchodzi o świeżutką wątróbkę wołową, otwiera się w panu Staśku dusza. Ta dusza brzydzi się, okazuje się, pijakiem, a już szczególnie takim, co wynosi z domu meble, leje żonę i nie daje potomstwu cukierków. Ostatnio pan Stasiek wypowiedział się krytycznie o polityce. Nie, żeby zaraz nie podobała mu się linia polityczna, reforma gospodarcza, albo coś takiego, skądże znowu. Jemu nie podoba się polityka na odcinku zwalczania alkoholizmu.

Uważa pan Stasiek, że nawet gdyby wódka kosztowała tyle, co cała pensja, ludność i tak pić będzie, szczególnie tamocno przywiązana do kultywowania tradycji narodowych w postaci imienin, komunii, nie wspominając o świętach państwowych. Nie od tego końca należy się wziąć do rzeczy — powiada sąsiad. Owszem, ja tam akurat żyję z pijaków, ale też mam do nich złość. Ja ich znam. Ludzie w ogóle dzielą się na tych co czasem wypiją, ale żyją i bez tego i na takich, co bez wódki ani dudu. Tymi pierwszymi nie będziemy się zajmować w naszej teorii, wódka jest dla ludzi. Za to ta druga połowa jest na odwrót, oni są dla wódki. A w ogóle to oni nie są ludzie. Pani! — denerwuje się pan Stasiek — to są zwykłe świnie. Co to za ludzie jak im już nic mózgu się nie zostało. To z nimi trzeba jak z prusakami. Wytępić i już. Sąsiad nerwowo sięga po popularnego i aż mu się ręce trzęsą z tych nerw na pijaków.

— To z czego by pan żył, panie Staśku? — pytam grzecznie.

Wystarczy mi tych, co się im nagle goście na łeb zwalili, albo akurat spotkali kolegę z wojska, albo teściową mają wredną i potrzebują się napić, żeby baby nie utłuc.

Pan Stasiek postuluje do tych wszystkich co się zajmują pijactwem, rozlepiają głupie plakaty, wypisują, że wódka szkodzi przed trzynastą na zdrowie i podnoszą cenę. Trza inaczej. Wódka — powiada sąsiad — ma być po pięć złotych za pół rury. I wszędzie. W każdym sklepie, w dzień i w nocy. Wyjdzie dużo taniej, niż z tą całą propagandą, a i ludziom trzeba zapłacić w tych tam komitetach alkoholowych i szpitalach do leczenia pijaków. Po co? Jak już każden jeden kupi tyle flaszek ile dusza zapragnie, zajedzie pod sklep ciężarówką z przyczepą, załaduje, napcha w walizę, to taki pijak będzie cały szczęśliwy. A potem to on zacznie pić tak długo, aż się napije do syta. Do pełna, do przelania się. Zaleje się w trupa. Otrzeźwieje, poprawi klinem, aż do skończenia zapasów, kupi nowe, aż mu się forsa skończy. I o to chodzi panu Staśkowi. Taki pijak nie wytrzyma. Trafi go nagły szlag. Szkody wielkiej nie będzie, bo i tak pożytku z niego żadnego, na rentach siedzą, z państwowej kasy doją — zatroszczył się sąsiad o interesy ludowej ojczyzny. — Wtedy wystarczy przejechać przez miasto paroma spychaczami i puścić tyralierę służb komunalnych, żeby wyzbierała padlinę z kątów i melin. Wykopie się dół z wapnem i dokończy sprawy Bacutil. Kłopot z głowy.

Tylko trzeba operację powtarzać co jakiś czas, żeby starczyło dla wszystkich, co się chcą nachlać do syta. I niech mi nikt nie mówi — zastrzega się pan Stasiek — że to niehumanitarne, albo że trzeba nawracać zbłąkane owieczki, leczyć pijaków i litować się nad nimi. Człowiek według pana Staśka posiada mózg. A taki utrapiony pijak to ma kalafior a nie mózg. To i co on za człowiek? No co, proste jak konstrukcja cepa, no nie? Pan Stasiek bardzo jest z siebie rad. Ma też tylko jedną niejasność w tym temacie. Czy czasem taka operacja z wódką za pięć złotych nie zrujnuje gospodarki narodowej. Kto będzie dla niej zarabiał te złotówczyny, jak się „Polmos" zawali? No kto? Bo pan Stasiek nie widzi innej firmy przynoszącej tyle zysku. Więc on nie jest pewien czy można narażać ojczyznę na takie straty ekonomiczne. No i poza tym, pozostaje egzystencjalne pytanie, na co społeczeństwo miałoby wtedy wydawać pieniądze, jeśli nie będzie monopolu?

MALAGA

3 Sport

Sztuczna trawa

Niby to mówi się, że wynik osiągnięty w sportowej rywalizacji zależy przede wszystkim od ludzkiego wysiłku, ale wiadomo też, że dziś coraz silniej technika wspiera człowieka. Przekonali się o tym ostatnio Hindusi i Pakistańczycy. Na VI Mistrzostwach Świata w Londynie hokeiści grający na trawie z Indii i Pakistanu uplasowali się na końcu, a przecież do niedawna nazywano ich magami. Byli czarodziejami. Nie do pokonania. Cóż się zatem stało?

Ano zdecydowała właśnie technika. Wymyślono sztuczną trawę. Do tej pory tylko w Indiach i Pakistanie były znakomite boiska naturalne, na których można było grać i trenować przez okrągły rok. Dzięki sztucznej trawie można to robić wszędzie indziej. A na dodatek bieganie po sztucznej trawie wymaga większego wysiłku, a zatem i lepszej kondycji. Zawodnik dobrze wyposażony i wyszkolony na sztucznej trawie poradzi sobie i na naturalnej. I tak poradzili sobie Australijczycy zdobywając mistrzostwo świata. Hokeiści Nowej Zelandii, którzy w 1976 roku byli też mistrzami świata uplasowali się dopiero na dziesiątym miejscu.

A Polacy?

Polaków nazwano „czarnym koniem". Jak wiadomo — nie mamy sztucznej trawy. Mamy pewne doświadczenia z malowaniem naturalnej trawy na zielono przez wizytami dostojników państwowych, ale to w sporcie zupełnie się nie przydaje. Mimo tych braków — wyposażenia nowoczesnego nasi hokeiści też nie mają — Polska zajęła 8 miejsce, co w kręgach specjalistów uznano za duże osiągniecie, tym bardziej, że po drodze trzeba było wygrać z drużynami o dużych tradycjach. Polakom nie dawano żadnych szans, a jednak... Gdybyśmy mieli sztuczną trawę i dobre wyposażenie... Ale nie mamy. Możemy sobie tylko jeszcze raz uświadomić, co dziś w sporcie znaczy technika.

Technika liczy się też w propagandzie. Na 91 Sesji MKOl w Lozannie Szwajcarzy zainstalowali się w holu „Pałacu Obrad" z telewizyjnymi monitorami i głośnikami. Z głośników nawoływano do walki w sporcie fair play, a na monitorach można było obejrzeć najbardziej brutalne sceny ze sportu. Robiło to podobno silne wrażenie.

Do techniki odwołano się też w walce propagandowej o organizację igrzysk olimpijskich w 1992 roku. Poważnymi konkurentami Barcelony w walce o organizację letnich igrzysk był Paryż i Belgrad. Jugosłowianie ponoć zachwycili tańcami. Katalończycy natomiast postawili na technikę w propagandzie. Przewidzieli, że na posiedzenie MKOl zjadą dziennikarze z całego świata i nie przeliczyli się. Przygotowali więc foldery w wielu językach — po polsku również. Nagrali filmy pokazujące czym dysponuje Barcelona. Zaprezentowali to dziennikarzom. Przywieźli też artystów, którzy demonstrowali dorobek kulturalny Katalonii. Walka szła na ostro. Francuzi nie ustępowali, ale mieli w pogotowiu drugi wariant — igrzyska zimowe w Albertville. I te wygrali.

Ale wszystkich zadziwili Holendrzy. W 10 minut po ogłoszeniu werdyktu o tym, że w 1992 roku igrzyska letnie odbędą się w Barcelonie, a zimowe w Albertville wydali biuletyn z... gratulacjami. Gdyby nam przyszło zrobić coś takiego, to biuletyn z gratulacjami ukazałby się w... pół roku po ogłoszeniu werdyktu i uznano by to za rekord.

Ale i nam coś się udało. Na wniosek zgłoszony przez Włodzimierza Reczka MKOl zdecydował powrócić do przyznawania medali olimpijskich za dzieła sztuki. Ostatnie przyznano w Londynie w 1948 roku, gdzie złoty medal za „Olimpijską Symfonię" otrzymał kompozytor Zbigniew Turski.

Nie mamy sztucznej trawy, ale mamy fantazję. Niech żyje sztuka!

BOGDA
MADEJ

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(23)

Dzielni naukowcy, Rycerze Pana, za pomocą ładunków jądrowych wysadzili w powietrze zabarykadowane i opatrzone siedmioma diabelskimi ryglami wrota i z piekieł, w otoczeniu cumulonimbusów dymu palonej smoły i siarki, kłąb jaskrawych płomieni buchnął aż do podnóżka Tronu Świętego. Przypiekany w bose stopy Pan ocknął się i pochylił z dobrotliwą ciekawością nad światem. I czarny ten dym palonej smoły i siarki wniknął do Jego Nozdrzy. I rozległo się boskie kichnięcie. A wytworzony kichnięciem tym prąd powietrza uderzył pionowo w ziemię i zaczął po jej powierzchni rozprzestrzeniać się koliście, obracając wniwecz wszystko, co stało mu na drodze.

NO, WYRAŹNIE COŚ SIĘ ZMIENIA

Wczoraj wieczorem stacje telewizyjne i agencje prasowe podały wiadomość, że Elias w południe przybył do Miami, gdzie zjadł lunch i skąd przed upływem godziny wyruszył w kierunku zachodnim, by po przejechaniu około dziesięciu mil razem ze swoją świtą rozkwaterować się w pensjonacie „Patriarchal", podczas gdy jego słuchacze, adepci i wyznawcy zajęli pokoje w pobliskich motelach: „Auntie Providence" „Victor" i „Little" Conqueror". Wiadomość ta podana w dzienniku radiowym dużo wcześniej, bo już o siedemnastej, zastała pracownika Agencji Cedrica Eccelsa i jego pasażera Sabo Lynena w Północnej Karolinie, na autostradzie wychodzącej z Fayetteville, za mostem okraczającym rzekę Cape Fear.

— Wychodzi na to — powiedział Eccels zwalniając — że muszę zmienić marszrutę. Floryda! — Zatrzymał samochód na poboczu, wyjął ze skrytki mapę i rozłożył ją przed sobą na kierownicy. — Mamy jeszcze jakieś dwadzieścia minut jazdy do Lumberton. Można by tam zjeść obiad. Przy odrobinie szczęścia uda nam się chyba dotrzeć do Georgii przed północą. Nocleg w Savannah, a jutro od samego rana długa podróż do Miami i tylko dwa krótkie postoje: w Jacksonville i w Melbourne. Co ty na to, Sabo?

— Jeśli chcesz przez to powiedzieć, Ced, że nadal masz dla mnie wolne miejsce w swoim wozie, to ja mówię: świetnie!

— Tak, właśnie to chciałem powiedzieć — odparł Eccels, na powrót składając mapę.

— No, wyraźnie coś się zmienia na lepsze. Po tamtych dwóch dniach i czterech przesiadkach nareszcie chwyciłem fart.

— To mój fart także. Masz do załatwienia jakiś interes w Coral Gables, więc będziesz blisko Eliasa, a to już wystarcza, żeby traktować cię jako wyraziciela opinii publicznej o pożądanych kompetencjach, respondenta Instytutu Gallupa. Dzisiejszy obiad, jutrzejsze śniadanie i lunch będę mógł zjeść z tobą na koszt swojej firmy.

— Ach, tak — Sabo zachichotał cicho. — No i co twoja firma... Instytut Gallupa... co chce ode mnie usłyszeć?

Co też takiego Instytut Gallupa chciałby usłyszeć od Sabo, Eccels mógł się zaledwie domyślać, doskonale jednak wiedział, co chciałaby usłyszeć Agencja — i to nie od Sabo, ale od kogoś, kto jest dobrze poinformowany

— Jak sądzisz, kim jest Elias? Prawdziwym przywódcą duchowym, autentycznym wizjonerem czy zwykłym szarlatanem?

W ten sposób swoje pytanie zapewne sformułowałby Instytut Gallupa Agencja sformułowałaby je inaczej: Kim jest Elias? Czy jest on którymś z tych trzech Murzynów wytypowanych przez komputer czy kimś zupełnie innym? Czy jest on jeszcze jednym konkurentem wszystkich tych Dzieci Boga, Dzieci Światła, Moonów, Jim Jonesów, Mansonów, Jerome'ów, Billy Grahamów i różnych Braci Rayów czy może komunistycznym szpiclem, wyszkolonym we Wschodniej Europie, znakomicie zakamuflowanym specjalistą od prowadzenia brudnej roboty ideologicznej?

Takie podejrzenia wobec Eliasa Agencja powzięła wkrótce po ukazaniu się w sprzedaży jego „Ewangeliarza", a pogłębił je pewien szczegół.

„Zgadzam się — powiedział Heston w toku dyskusji, na pierwszej odprawie poświęconej Eliasowi. — Zgadzam się z tobą, Chico, że każdy ma prawo operować jednostkami jakimi zechce. Metry, kilometry, kilogramy... to brzmi nawet chwytliwie, daje do zrozumienia, że autor pisał w oparciu o poważne opracowania naukowe. Ale brakuje tu konsekwencji. Kilogramy sąsiadują z funtami. Albo z galonami".

„Słowo »galon« zostało użyte w potocznej wypowiedzi któregoś z bohaterów »Ewangeliarza« — odparł Chico. — Nie dotyczy skutków działania bomby. Po prostu tam, gdzie nie było to konieczne, Elias nie stosował tych podręcznikowych jednostek".

„Ja jednak podtrzymuję zarzut, że brak tutaj konsekwencji. Czemu ten chłopak na basenie skacze do wody z wysokości dziesięciu metrów, zamiast trzydziestu stóp? Ten skok przecież też nie ma żadnego związku z wybuchem".

„Krótko, Heston — wtrącił MacTea. — Jakie wnioski?"

„No... na wstępie powiedziałem, że »Ewangeliarz« zawiera błędy charakterystyczne dla materiałów kontrpropagandowych rozpowszechnianych na terenie naszego kraju przez ugrupowania prosowieckie. Twierdzę, że Elias nie jest autorem tej książki. Spreparowano ją za Żelazną Kurtyną".

„Al — odezwał się z drugiego końca stołu LeeSing. — Chciałbym dostać tę sprawę".

Są ludzie, których wygląd nieodparcie kojarzy nam się z określonym zawodem. Mówimy, że ktoś wygląda „jak barman", „jak dyrektor z branży tekstylnej", „jak były bokser" i tak dalej. Są ludzie, których sam wygląd mówi nam wszystko o ich charakterze i temperamencie, a ich nastrój wyczuwamy natychmiast i bezbłędnie. Otóż wygląd LeeSinga przyjaznym, jowialnym tonem słał w świat komunikat: „Dobroduszny szef kuchni w pogodny dzień pięćdziesięciolecia swoich urodzin". Ale tylko tajne kartoteki Agencji wiedziały, ilu przestępców przy jego wydatnej pomocy przeniosło się na tamten świat — niezupełnie wskutek niestrawności.

„Już ją dostałeś" — odpowiedział mu MacTea.

I tak sprawę tę przejął zespół LeeSinga; inni zostali z niej wyłączeni. Nazwisko Eliasa nie padło odtąd na żadnej z odpraw ogólnych, pracownicy Agencji nie wymieniali go także w rozmowach prywatnych. Po raz pierwszy od tamtej pory Eccels usłyszał je z ust Alberta MacTea przedwczoraj rano, w jego gabinecie, w którym na muzealnie czystym i pustym blacie biurka leżała gruba, szara koperta zawierająca wydruki komputerowe.

Rzeczywiście długo — pomyślał — LeeSing grzebał w tej sprawie. Marnie spisali się jego chłopcy, skoro ustalili tak niewiele. I to zlecenie teraz: „zrób kilka rund po barach, pogadaj, poniuchaj i sprawdź, czy nasz drogi czarny brat pasuje do któregoś z tych trzech Murzynów" Tak jakby się chciało znaleźć coś, nie mając pojęcia, czego właściwie się szuka.

Z dłońmi na poręczach fotela, z głową wtuloną w jego oparcie MacTea podjął:

„Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinieneś wiedzieć Ced. Czytałeś »Ewangeliarz«?"

„A znasz kogoś, kto tego nie czytał?"

„Nie. Ja sam czytałem go siedem razy. Pamiętasz aferę Lucy Joliffe?"

„»Lucy Całkiem Seksowna«? »Lucy Wełniste Włosy«?"

„Lucy Całkiem Seksowna" albo „Lucy Wełniste Włosy" — tych dwu określeń, nie licząc szeregu mniej popularnych, niewybredni dziennikarze z niewybrednych gazet używali wymiennie w stosunku do jednej z bohaterek „Ewangeliarza", a pośrednio w stosunku do Lucy Joliffe, która istniała realnie, o czym jej rodacy dowiedzieli się z prasy pewnego ranka kilka miesięcy temu. Bo istniejąca realnie Lucy Joliffe po przeczytaniu książki Eliasa wniosła przeciwko niemu pozew o zniesławienie. Będąc samotną, trzydziestoczteroletnią (w „Ewangeliarzu" autor postarzył ją złośliwie) kobietą, właścicielką dwóch samochodów (kabrioletu Charger i Chryslera Rout-Dignity) i wprawdzie tylko czterech salonów mody (projekt piątego był już jednak rozpięty na desce kreślarskiej), w których zatrudniała aż dwie midynetki o imieniu Connie, i będąc stałą klientką Dewlapa i okolicznych ogierni, mając kochanka Hermana... no, zważywszy to oraz inne podobieństwa między nią a tamtą, książkową bohaterką, Lucy Joliffe uznała, że to portret jej osoby, wampirowato zdeformowany, został przedstawiony na kartach „Ewangeliarza" i poczuła się ośmieszona, znieważona i skompromitowana.

„Tak — powiedział MacTea. — Baba narobiła piekielnego rabanu, ale wcale lub prawie wcale nie chodziło jej o reklamę. Zbadaliśmy to dyskretnie własnymi kanałami i wiesz... podobieństwo jest uderzające. »Lucy Wełniste Włosy« to Lucy Joliffe, tylko że o dwa lata starsza. Jakby nasz drogi czarny brat przepowiadał przyszłość".

„Są nawet tacy, co w to wierzą".

„W jego zdolność przepowiadania przyszłości?"

„Tak. Wierzą, że jest prorokiem".

„Ja sam jestem gotów w to uwierzyć, bo... I to jest ta rzecz, o której powinieneś wiedzieć, Ced. Jeden z naszych chłopców wpadł na interesujący pomysł, żeby sprawdzić, czy da się odnaleźć pozostałych bohaterów »Ewangeliarza«. Zaproponował taki eksperyment. — Przez chwilę MacTea w milczeniu gładził kciukiem bransoletę zegarka. — Odnaleźliśmy ich wszystkich: Williama Frankleya, jego żonę i współpracowników, Rebby i Quenta Courgan, Michaela Tomashka, Adama i Lindę Tossey, pułkownika Dowda i małego Eddie'ego Dowda, porucznika wojsk lądowych Normana MacLorrena i całą rodzinę Leinsterów. Dosłownie wszystkich. To nie są jakieś wymyślone postacie, ci ludzie istnieją naprawdę i Bogu niech będą dzięki, żeśmy ich odnaleźli szybciej niż dziennikarze".

„No..."

„Wiem, co chcesz powiedzieć, Ced. Nasz drogi czarny brat mógł znać ich wszystkich i opisać. Szkopuł w tym, że oni temu zaprzeczają. Nikt z nich nie zetknął się z Eliasem osobiście i dopiero po rozmowie z nami nabrali na to ochoty Wobec tego, może nasz drogi czarny brat dowiadywał się o nich poprzez informatorów? Załóżmy, że tak było, chociaż faceci z wywiadu wojskowego, których pewne dane ujawnione w »Ewangeliarzu« postawiły na nogi, nie wpadli na żaden trop do dzisiaj. Ale załóżmy, że tak było. To jednak też niczego nie wyjaśnia, chyba że ci jego informatorzy byli jasnowidzami."

„Mówisz o Lucy Joliffe?"

„Mówię nie tylko o Lucy Joliffe, mówię o nich wszystkich. »Ewangeliarz« wydany został w tamtym roku, a wtedy Adam jeszcze nie chodził z Lindą Tossey, wtedy żona Williama Frankleya jeszcze nie leczyła się u doktora Oughatersona, wtedy panna Rebby jeszcze nie znała Quenta Courgana, wtedy rodzice małego Eddiego Dowda jeszcze nie zginęli w wypadku samochodowym, wtedy porucznik Norman McLorren jeszcze nie awansował do stopnia kapitana i wtedy państwo Leinster jeszcze nie adoptowali sieroty Powella".

„Niezła robota" — skonstatował Eccels".

Jego konstatacja równie dobrze mogła dotyczyć treści „Ewangeliarza" jak i odkryć dokonanych przez pracowników Agencji i Eccels sam nie był pewien, co ma na myśli.

„Jak tak dalej pójdzie — powiedział MacTea — w następnym roku Adam zdobędzie tytuł mistrza okręgu w pływaniu i utraci Lindę Tossey, Lucy Joliffe nawiąże słodki romans z Ronniem, żona Frankleya grzmotnie w katafalk, panna Rebby, już jako pani Courgan, zajdzie w ciążę, pułkownik Dowd po przejściu na emeryturę skończy razem z wnuczkiem budowę schronu, a państwo Leinsterowie zaplanują wyjazd do zapuszczonej posiadłości Halla Toyesa, gdzie rozłożą się biwakiem. Sytuacja międzynarodowa tak się zaostrzy, że budzić nas będą i kołysać do snu syreny alarmowe".

„Ładne jajo ci komuniści nam podrzucili — zauważył Eccels. — Jeśli ludzie usłyszą, że te przepowiednie się spełniają, wybuchnie taka panika... — nagle oprzytomniał... — Chryste Panie, ile z tego wie prasa?"

„Tyle, ile chcemy, żeby wiedziała. Ci wszyscy z »Ewangeliarza« są pod naszą stałą i troskliwą opieką i trzymamy rękę na pulsie. Ale, Ced... — MacTea uśmiechnął się szeroko — ...ja też ułożyłem przepowiednię. Może kiedyś napiszę o niej w swoich pamiętnikach, na razie mam ją w głowie. Posłuchaj: oprócz najbliższych ludzi prezydenta, o tym szczególnym aspekcie sprawy Eliasa i jego »Ewangeliarza« wiedziało tylko siedem osób, do których zaliczał się Cedric Eccels. Spotkaliście się na pewno z tym rodzajem facetów. Mają wygląd urzędników bankowych niższego szczebla albo zwariowanych kolekcjonerów wymieniających między sobą etykietki zapałczane, guziki czy stare żelazka. Ced miał właśnie taki wygląd. Ci, którzy go dobrze nie znali, byli przekonani, że jest bezbarwny, tępawy, potulny, zaskleiony we własnym światku, nudnym i zakurzonym, i wielu z nich na tym przekonaniu fatalnie się przewiozło. W lepiej zorientowanych kręgach mafijno-terrorystyczno-lewackich Ced słynął z nieprzejednania i z bezkompromisowości i uchodził za najbardziej niebezpiecznego gościa między Filadelfią a Los Angeles. Ja osobiście uważałem, że był on odważnym, doświadczonym i piekielnie utalentowanym detektywem. Te cechy zresztą przesądziły, by powierzyć mu zadanie rozpracowania Eliasa, nad którym zespół LeeSinga biedził się bezskutecznie od roku. I Ced nie zawiódł. Kiedy po tygodniu wszedł do mojego gabinetu, niósł pod pachą pakunek. Była to owinięta w trzy warstwy papieru i włożona do worka z plastykowej folii głowa naszego drogiego czarnego proroka".

Wspominając teraz tę rozmowę Eccels usiłował dociec, czy MacTea przejrzał jego poglądy na kwestię myślenia slajdami. Poglądy, które chyba trzeba będzie zrewidować lub przynajmniej zmodyfikować, bo ten Sabo Lynen, aczkolwiek wygląda jak studenciak na wakacyjnej włóczędze, jak jeden z tych zarozumiałych i cynicznych nihilistów, jest jednak w miarę taktowny, okazuje sporo szacunku i składa dowody wrażliwości wprost ministranta katolickiego. Eccels miał cały wczorajszy dzień na to, by go poznać i parę dowodów, by zmienić o nim zdanie, ku czemu coraz bardziej się skłaniał.

No i kto by przypuszczał... — rozmyślał za kierownicą Aston-Martina, podczas gdy usadowiony obok Sabo wertował „Ewangeliarz". — Chłopak wypowiada swoje sądy bez tej ironicznej wzgardy, z jaką robi to większość młodych ludzi, ale też bez popadania w tanią, powierzchowną afektację typową dla zwolenników tego proroka, do których z pewnością należy. Taki inteligentny, grzeczny i zrównoważony sympaciula, wybaczalnie gadatliwy.

— Wiesz co — odezwał się Sabo całkiem à propos — nie daje mi spokoju twoje wczorajsze pytanie o Eliasa. Główkowałem nad tym i doszedłem do wniosku, że jego działalność jest tak ważna i wartościowa dlatego, że on ciągle zmusza nas do myślenia o przyszłości.

— To posłannictwo każdego kaznodziei.

— Uch, tak. Ale jemu nie chodzi o przyszłość naszych dusz, o nasze zbawienie, takie bzdety, on chce, żebyśmy myśleli o swojej przyszłości jako gatunku ludzkiego. No, owszem, często cytuje Biblię, dobiera te cytaty tendencyjnie, interpretuje je dowolnie, ale to wszystko służy nadrzędnemu celowi. Zawsze, kiedy otwieram „Ewangeliarz", odkrywam w nim coś nowego. Czy zwróciłeś uwagę na tę egzegezę, w której Elias przytacza urywki z „Apokalipsy", rozdział szesnasty?

Zanim Eccels zdążył cokolwiek powiedzieć, Sabo już czytał z emfazą:

— „I usłyszałem donośny głos mówiący ze świątyni do siedmiu aniołów: Idźcie i wylejcie siedem czasz gniewu Bożego na ziemię. I wyszedł pierwszy, i wylał czaszę swoją na ziemię; i pojawiły się złośliwe i odrażające wrzody na ludziach... A drugi wylał czaszę swoją na morze; i przemieniło się w krew jakby z umarłego, i wszelkie stworzenie żyjące w morzu, zginęło. A trzeci wylał czaszę swoją na rzeki i źródła wód; i przemieniły się w krew. A czwarty wylał czaszę swoją na słońce, i dana mu została moc palenia ludzi żarem. I byli ludzie popaleni wielkim żarem... A piąty wylał czaszę swoją na świat zwierząt; i pogrążył się świat zwierząt w ciemnościach, i gryźli ludzie z bólu swoje języki, I bluźnili Bogu Niebieskiemu z powodu swoich bólów i z powodu swoich wrzodów... A szósty wylał czaszę swoją na wielką rzekę Eufrat; i wyschła jej woda, aby można było przygotować drogę dla królów ze wschodu słońca. A siódmy wylał czaszę swoją w powietrze... I nastąpiły błyskawice i donośne grzmoty, i wielkie trzęsienie ziemi, jakiego nie było, odkąd człowiek istnieje na ziemi; tak potężne było to trzęsienie ziemi. I rozpadło się wielkie miasto na trzy części, i legły w gruzach miasta pogan... I znikły wszystkie wyspy i gór już nie było. I spadły z nieba na ludzi ogromne cetnarowe kawały gradu; a ludzie bluźnili Bogu z powodu plagi gradu, bo plaga ta była bardzo wielka". — Sabo podniósł wzrok znad książki i nie zmieniając tonu, jakby nadal odczytywał treść „Ewagneliarza", ciągnął z emfazą: — Te czasze gniewu Bożego wręczyła siedmiu aniołom istota wyobrażająca cztery stworzenia: lwa, wołu, orła i człowieka, czyli cztery symbole: wojowniczość, siłę, szybkość i mądrość. Są to oczywiście symbole naszej epoki. Ponadto tych siedmiu aniołów wyszło z „Namiotu Świadectwa", to znaczy ze starotestamentowego „przybytku na pustyni", no a gdzież, do diabła, jak nie na terenach pustynnych, w różnych miejscach odludnych rozlokowane są wyrzutnie rakiet strategicznych? Więc czy ten rozdział „Apokalipsy" nie przedstawia obrazu termojądrowej zagłady świata?

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".